



Anne Stuart

***WYJŚĆ Z
MROKU***

PROLOG

Niebo nad Los Angeles nabrało koloru krwi.

Z początku sądzono, że przyczyną jest nieznaną dotąd rodzaj toksycznych wyziewów. Że czerwony smog spowodowało zanieczyszczenie powietrza przez przemysł, na które nałożyły się szczególne warunki atmosferyczne. Porządny wiatr powinien rozwiązać problem. Wierzono, że to tylko kwestia czasu.

Jednak czerwonokrwista chmura utrzymywała się na tyle długo, że zaczęła niepokoić naukowców. Może spowodowała ją niedawna katastrofa jądrowa, albo pożar poszycia leśnego tłące się gdzieś poza ludzką kontrolą? A może była dziełem samego Boga?

Historycy również nie byli w stanie rozwiązać tej zagadki. Przypomnieli, że niebo czerwieniało już wcześniej. W piętnastym wieku we Francji, kiedy to Gilles de Retz podążał krwawym szlakiem od jednej wsi do drugiej; w Londynie, jesienią 1888 roku, gdy Kuba Rozpruwacz odbywał swe nocne spacerki; i w Niemczech, w roku 1905, kiedy to niejaki Peter Kurten napawał trwogą mieszkańców Dusseldorfu.

Powiało grozą. Wichry z Santa Ana hulały po czerwonym niebie, niosąc ze sobą gorące, pustynne powietrze. Odnotowano trzykrotny wzrost liczby samobójstw. Później nadeszły niezliczone burze i wzgórza Los Angeles spływały deszczem. A w ciemnych, mokrych uliczkach Venice pojawił się Jack Błyskawica, Krwawy

Jack, Kuba Rozpruwacz...Popłynęła krew. Tyle krwi, że nawet deszcz nie był w stanie jej spłukać.

Scandalous

Lizzie Stride odgarnęła włosy z twarzy, pozostawiając ślad czerwonej farby na policzku. W pracowni było zdecydowanie za gorąco, ale nie mogła sobie pozwolić na włączenie klimatyzacji. Nie mogła też otworzyć okna - od kilku dni lało bez przerwy, tak że nawet skórę miała lepka. Odwilżacz powietrza pochłonął już prawie połowę tego, co mogła przeznaczyć na elektryczność, więc nie stać jej było na dodatkowe włączenie klimatyzatora.

Tak długo, jak nie szkodziło to jej pracy, gotowa była cierpieć. W końcu nikt jeszcze nie roztopił się od nadmiaru gorąca i wilgoci, nawet wtedy gdy czuł się tak, jakby miało to lada chwila nastąpić. Naprawdę ważna była tylko maska w jej rękach, którymi właśnie wygładzała czerwonawą glinę nad grubo zarysowanymi brwiami. Właściwie ta pogoda wręcz sprzyjała pracy, pozwalając glinie dłużej utrzymać plastyczność. Dostatecznie długo, żeby mogła się zdecydować, jaki tym razem nadać jej kształt, jak ją udoskonalić.

Odetchnęła głęboko. Z pewnością mogłaby obniżyć temperaturę parującej skóry poprzez medytację. Umysł ma przecież nieograniczone możliwości. Tyle że Lizzie nie do końca potrafiła nad nim panować.

Z radia płynęła jakaś tajemnicza piosenka Kate Bush. Jej nastrój korespondował z rysami twarzy maski powstającej właśnie pod opuszkami palców - ponura twarz nabrała złowieszczonego wyrazu. Lizzie pomyślała, że ostatnio zdarza się to zdecydowanie zbyt często.

Nie zamierzała jednak poświęcać zbyt wiele czasu analizie swych prac. W jej długich, zwinnych palcach każda maska rodziła się sama, jakby bez woli i wiedzy jej autorki. Czasem był to clown o jaskrawych policzkach i absurdalnym wyrazie twarzy, czasem boginka opleciona strusimi piórami, cała w klejnotach, a czasem łotr z piekła rodem.

Potworki niestety sprzedawały się lepiej niż bardziej sympatyczne maski. Nic w tym dziwnego, pomyślała, ponownie odgarniając włosy. W końcu świat pełen jest potworów w ludzkiej skórze, a w Los Angeles jest ich szczególnie dużo.

Ciało szóstej z kolei ofiary Rozpruwacza odkryto dwa dni wcześniej w kontenerze na śmieci w Venice. Kilka godzin po tym Lizzie znowu siedziała jak w klatce w komisariacie policji, próbując odnaleźć jakiś sens w bezładnym akcie dzikiego okrucieństwa, które nie powinno było mieć żadnego związku z jej osobą.

A jednak miało - każda z ofiar miała twarz przykrytą jedną z jej masek.

Mówili o nim Rozpruwacz z Venice. Dziennikarze, na szczęście, nie informowali ani o maskach, ani o przerażających szczegółach masakry dokonywanej z lekarską wręcz dokładnością na zwłokach mordowanych prostytutek. Lizzie na razie pozostawała w cieniu, poza podejrzeniem, wciągnięta jednak w świat grozy przez swą sztukę i bezsensowny podziw szaleńca.

Kiedy policja ustaliła, że druga z kolei maska też była jej autorstwa, Lizzie na krótko zaprzestała pracy. Za bardzo przeraziło ją

to, co zobaczyła. Kawał przesiąkniętego krwią papier mache, który przedtem był twarzą laleczki Kewpie, oraz świadomość, że morderca użył tej maski w swym potwornym, zbrodniczym transie, wywołały w niej niezdrowe uczucie nieświadomego współuczestnictwa w dziele szaleńca.

Jednak przerwanie pracy i ukrycie się w domu w sytuacji, kiedy ledwie wiązała koniec z końcem, zarabiając jako kelnerka w barze „Pod Różowym Pelikanem”, pozbawione było sensu. W ciągu ostatnich dwóch lat, które spędziła w okolicach Los Angeles, zrobiła przecież mnóstwo masek i sporo z nich zostało sprzedanych, więc zabójca mógł mieć do nich nieograniczony dostęp.

Odchyliła się do tyłu i przyjrzała kolejnej pracy. Czerwone smugi na twarzy wyglądały jak krew, usta zdawały się otwierać w niemym, zatrważającym krzyku. Zupełnie jakby gdzieś w pobliżu czaił się morderca z maską w dłoniach.

Kate Bush przestała śpiewać. Spiker przytłumionym głosem odczytał najświeższą wiadomość - wiadomość, której miała nadzieję nigdy nie usłyszeć.

Rozpruwacz upomniał się o kolejną ofiarę. Ciało odnaleziono za jakimś budynkiem przy plaży.

Lizzie uderzyła pięściami w maskę, która rozpadła się na drobne kawałki.

Damien stał przy oknie, spoglądając na szare, niekończące się miasto. W rękę mocno ścisnął kubek kawy. Przez ostatnie kilka miesięcy schudł bardziej niżby należało. Nie było w tym nic

dziwnego. Żył tylko dzięki czarnej kawie, czystej tequili i jedzeniu z barów szybkiej obsługi, jeśli akurat sobie o nim przypomniał. Zwykle jednak potrzeba jedzenia umykała jego pamięci.

Tym się jednak nie przejmował. Kilka lat wcześniej przybrał na wadze i stracił dawną lekkość ruchów. Tak bywa, gdy na człowieka spłynie za dużo nagród i pieniędzy i wszystko zaczyna przychodzić zbyt łatwo.

Jednak teraz już nic nie było proste. Porzucił pracę w „Chronicie” po drugim morderstwie. Po drugim koszmarze. Zrezygnował z szans na kolejną nagrodę Pulitzera i wysoką emeryturę. Przestał zauważać śliczną, inteligentną asystentkę, która dawała mu do zrozumienia, że chętnie poświęciłaby się nie tylko załatwianiu jego spraw na mieście. Zostawił najtwardszego i najuczciwszego ze wszystkich znanych sobie wydawców. Zobojętniały mu cotygodniowe wypłaty łączące go dotychczas z normalnym światem.

Wszystkie te sprawy przestały się liczyć. Nic z bezpiecznego, wygodnego życia, na które zapracował, nie miało już znaczenia. Zawładnął nim jeden jedyny cel.

Odnaleźć Rozpruwacza.

Powstrzymać go.

Spojrzał na swoje odbicie w ociekającej deszczem szybie. Zapadnięte, nieogolone policzki, ciemne, umęczone oczy, długie, zmierzwiłone włosy. Rozpruwacz z pewnością wygląda podobnie.

Nawiedzony.

Ścigany.

Opętany.

Damien wpatrywał się w ponury zmierzch, opierając czoło o szarą szybę. Zamknął oczy. Znowu zobaczył krew, usłyszał krzyk umierającej kobiety. Ten głos miał nigdy go nie opuścić. Zacisnął pięści, uderzył głową w okno, aż rozległ się dźwięk pękającego szkła.

Kiedy kilka godzin później Lizzie otworzyła drzwi i weszła do środka, w mieszkaniu było spokojnie i cicho. Przed wyjściem wyłączyła klimatyzację, więc teraz oblała ją fala wilgoci i gorącego powietrza. Nie zapalając nawet światła, oparła się o drzwi. Czuła zapach gliny, unoszący się ze zniszczonej maski, i gorzką woń porannej kawy zmieszaną z zapachem wczorajszego obiadu. W tej chwili gotowa była marzyć, by zerwał się pustylny wiatr i wywał wielodniowy, ulewny deszcz.

- Chętnie zapewnimy pani ochronę policji - zapewnił przydzielony do sprawy Rozpruwacza detektyw Finlay Adamson, gdy późnym popołudniem odwoził Lizzie do domu. Był to porucznik policji w średnim wieku. Miał wygląd dobrego wujka. Bez przerwy pił kawę. Tym razem spędziła w komisariacie tylko trzy godziny. - Nie sądzę, żeby groziło pani jakieś szczególne niebezpieczeństwo. Ten maniak poluje tylko na prostytutki, więc nie ma powodu, żeby miał panią skrzywdzić. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale nasz psychiatra sądzi, że uważa panią za kogoś w rodzaju sprzymierzeńca i...

- Niech pan przestanie! - poprosiła Lizzie, czując że ogarniają ją mdłości. - Przecież to nie moja wina, że jakiś potwór upodobał sobie moje maski.

- Proszę się uspokoić, panno Stride. Nikt pani nie obwinia - odrzekł cierpliwie.

- Ale czy pan nie widzi, że ja się sama obwiniam? O ile wiem, nigdy nikomu nie zdarzyło się kupić więcej niż dwie, trzy maski. Pytałam wszystkich swoich sprzedawców. Żaden nie pamięta, żeby ktoś kupił więcej. Czy na pewno sprawdziliście we wszystkich galeriach i sklepach z upominkami?

- Nie uwierzy pani ile razy - odparł zmęczonym głosem. - Tyle że miejsca, w których sprzedają pani prace, rzadko prowadzą spisy sprzedaży. I tak mieliśmy szczęście, że udało się nam dotrzeć do pani. Pewien dziennikarz rozpoznał jedną z masek pozostawionych przez mordercę. Zdaje mi się, że sam ma ich kilka.

Lizzie nadal czuła mdłości.

- Dziennikarz? Zbiera maski i w dodatku zajmuje się sprawą Rozpruwacza... Nie wydaje się panu, że to trochę podejrzane? Czy on na pewno... ?

- Proszę nie próbować mnie zastąpić. W tej sprawie każdy jest podejrzany, nawet pani. Oczywiście nie wykluczyliśmy Damiena, choć mało prawdopodobne, żeby to on był mordercą.

- Damiena?

- Tak. Ten człowiek nazywa się J.R. Damien. Pracował w „Chronicie”. Zrezygnował kilka miesięcy temu, żeby całkowicie

poświęcić się tej sprawie. Wygląda na to, że pisze o niej książkę. - Ton głosu porucznika nie pozostawiał wątpliwości, jak ocenia takie postępowanie. - Nadal też pisze większość artykułów na ten temat w „Chronicie”. Na szczęście nie ujawnił sprawy masek. Wiemy o nich tylko my i on. Jak wiadomo, dziennikarze niezbyt chętnie współpracują z policją, ale do tej pory Damien zachowuje się dość przyzwoicie. Niech się pani nie da zwariować. Zdaje się, że Rozpruwacz ma chwilowo dostatecznie dużo masek. Mówiła pani, że ostatnią udało się sprzedać ponad rok temu. To znaczy, że planował te morderstwa od dłuższego czasu. Proszę po prostu zamykać drzwi na klucz i zachować czujność.

- I tak mam to w zwyczaju. Niech pan nie zapomina, że mieszkamy w południowej Kalifornii. - Po plecach Lizzie przeszedł lekki dreszcz.

- Ja miałbym o tym zapomnieć? - roześmiał się porucznik i powiedział z uspokajającym uśmiechem na pożegnanie: - naprawdę nie ma powodów do paniki, pani Stride. Proszę po prostu zadzwonić, gdyby zdarzyło się coś podejrzanego.

Teraz, gdy Lizzie znalazła się sama w swoim mieszkaniu, zaczęła rozglądać się z niepokojem po mrocznym pokoju. Próbowwała nie wyobrazić sobie nie istniejących cieni mordercy, ale...

Do licha! Nie powinna była tak łatwo rezygnować z ochrony policji. Nie powinna była tak łatwo uwierzyć, że jest bezpieczna.

Zapaliła światło, zrzuciła z nóg sandały i skierowała się po surowej, drewnianej podłodze w kierunku rozbitej maski. Powtarzała

sobie uparcie, że jest bezpieczna. Nikt nie wie, kim jest. Rozpruwacz chyba też. Ten szaleniec po prostu czuje jakiś związek z jej maskami, to wszystko.

Na samą myśl o tym ponownie przeszedł ją dreszcz. Przeszła do części pokoju wydzielonej na kuchnię i sięgnęła po butelkę z sokiem. Musi się stąd wydostać, wyjechać gdzieś. Gdyby tylko miała rodzinę, pieniądze, gdyby tylko miała dokąd uciec!

Jej rodzice nie żyli od dawna. Ojciec był dla niej tylko nazwiskiem na świadectwie urodzenia, matki prawie nie pamiętała. Pieniądzy nigdy nie miała zbyt wiele, a rzemiosło artystyczne w tak przeludnionej okolicy, jak Los Angeles dawało zbyt mały dochód, by zapewnić Lizzie pełną wypłacalność.

Jej przyjaciele, głównie aktorzy, pisarze i im podobni, byli zresztą jeszcze biedniejsi. Nikt nie mógł pożyczyć jej pieniędzy na wyjazd z miasta w jakieś miejsce, gdzie świeci słońce, a ponury wichur nie rozwiewa włosów; w miejsce, gdzie mogłaby swobodnie oddychać, a spojrzenie przechodnia nie napawałoby jej lękiem. Może kiedyś będzie to możliwe. Może uda się zapomnieć o tym wszystkim, czego ostatnio doświadczyła.

Na razie jednak uwięziona była w dusznym, gorącym mieszkaniu. Dobrze i to, że na razie nikt nie łączy jej ze sprawą Rozpruwacza, próbowała się pocieszać. Poza policją i tym dziennikarzem nikt nawet nie wie o maskach.

Z wyjątkiem, oczywiście, Rozpruwacza.

Lecz nawet i on nie zna przecież jej adresu. Nie może znać. Rozprowadzała maski przez sklepy i galerie, chętnie godziła się na marżę po to tylko, żeby nie mieć nic wspólnego z nieciekawą, finansową stroną całego przedsięwzięcia. Nie zostawiła po sobie żadnych śladów. Nikt nigdy się o nią nie pytał, nie próbował ustalić jej adresu... Detektyw Adamson miał rację - póki co z pewnością jest bezpieczna.

A jednak Lizzie nie w pełni podzielała jego zdanie. Co będzie, jeśli Rozpruwacz dowie się, gdzie mieszka, jeśli zechce złożyć jej wizytę?

Dzwonek telefonu przeszył ciszę tak nagle, że Lizzie podskoczyła, oblewając sokiem swoje luźną, białą bluzkę. Nie chciała odbierać. To będą złe wiadomości - była tego pewna. Nie miała już siły na kolejny dramat.

Telefon zadzwonił jeszcze dwa razy, po czym włączyła się automatyczna sekretarka, podając spokojną, rzeczową informację. Po chwili wysoki, aktorski i choć raz pozbawiony sztuczności głos Courtland wypełnił pokój.

- Masz poważne kłopoty i nic mi nie powiedziałaś! - lamentowała. - Wszystko jest w gazetach. Nawet jeśli ktoś nie zna twojego adresu, wystarczy, żeby sięgnął po książkę telefoniczną i...

Lizzie natychmiast zerwała słuchawkę z widełek.

- O czym ty mówisz?

- A, jesteś tam. Powinnam się była domyślić. Mówię o tym artykule w „Chronicie”. O Rozpruwaczu. I o maskach. Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- To jest w gazecie? - Lizzie poczuła, że to już koniec. Teraz skończy się jej anonimowość, jej bezpieczeństwo. - Co piszą?

- Wszystko. Dali nawet jakieś okropne zdjęcie twojej osoby. Już mówiłam, naprawdę wpadłaś w poważne kłopoty. Jak policja mogła pozwolić temu facetowi coś takiego wydrukować?

-Jakiemu facetowi?

- Nazywa się Damien. Od drugiego morderstwa pisze wszystkie artykuły na ten temat. Nie czytasz „Chronicie” czy co? Moim zdaniem powinnaś go pozwać do sądu.

Za oknem panowały prawie nieprzeniknione ciemności, choć nie było jeszcze późno. Z nieba płynęły strumienie deszczu. I gdzieś tam, na zewnątrz, czekał Kuba Rozpruwacz.

- Pozwać go do sądu? Akurat - powiedziała drżącym głosem. - Ja po prostu go zabiję.

Rzuciła słuchawkę. Trzęsły się jej ręce. Dlaczego Adamson jej nie ostrzegł? Rzadko czytała „Los Angeles Chronicle”, a i wtedy starała się omijać wszystko, co dotyczyło morderstw, a Rozpruwacza w szczególności.

Ten dziennikarz musiał zdawać sobie sprawę, że jest wystraszona całą tą sprawą. Czy to możliwe, żeby o tym nie wiedział? Czy możliwe, by nie domyślał się, w jakie przerażenie wpędzi ją, publikując w wysokonakładowej gazecie swój cholerny artykuł?

Sytuacja była i tak makabryczna, zanim jeszcze cały świat dowiedział się o jej ponurym związku z kolejnymi morderstwami.

Przeczesała palcami gęste włosy i zaczerpnęła głęboko powietrze. Dlaczego Rozpruwacz ogranicza się tylko do prostytutek? Dlaczego nie złoży wizyty pewnemu facetowi o nazwisku Damien? Gdzie podziwiają się seryjni mordercy, kiedy naprawdę są potrzebni?

Potrząsnęła głową, próbując uwolnić się od upiornych myśli zaprzatających jej umęczony umysł. Z zewnątrz dobiegał monotony odgłos kropli uderzających o ściany piętrowego budynku, który zajmowała wspólnie z dwojgiem przymierających głodem aktorów. Teraz wyjechali z miasta i została sama. Zupełnie sama.

Wichura, deszcz, ciemność...

I morderca, który wciąż pozostaje na wolności. Morderca, który odczuwa jakiś niewytłumaczalny, groteskowy związek z jej osobą.

Wyciągnęła książkę telefoniczną i zaczęła przewracać kartki. Było w niej ponad dwunastu Damianów, ale żaden nie miał inicjałów J.R. Już miała zrezygnować, kiedy pomyślała o drugiej możliwej pisowni tego nazwiska - Damien, przez „e”, nie przez „a”. Tym razem odnalazła go bez trudu. Dowiedziała się, że J.R. Damien mieszka o dziesięć minut drogi od jej domu. W Venice. Właśnie tam, gdzie czyhał morderca.

Wystukała numer, zanim zdążyła się zastanowić, co powie. Nie musiała jednak nic mówić. Cała Kalifornia porozumiewała się przy pomocy automatycznych sekretarek i podobnie było w tym przypadku. Zaraz po pierwszym sygnale włączył się automat.

Głęboki, ochryply, opanowany męski głos przekazał nagraną wiadomość, odsyłając wszystkich dzwoniących do „Los Angeles Chronicle”.

Cisnęła słuchawką na widelki.

To on. Ten sam J.R. Damien, o którym mówił porucznik Adamson. Nie było siły, która powstrzymałaby ją teraz przed spojrzeniem mu w oczy. Tak, właśnie teraz, jeszcze tej nocy.

Zapadła się w kanapę, pozwalając obmyć się falom gorąca. Mimo zaduchu i wysokiej temperatury drżała na całym ciele. Na chwilę zamknęła oczy. Była wyczerpana. Ostatnio nie sypiała dobrze. Oczywiście, trudno się było temu dziwić - upał, który nie ustawał nawet w nocy, robił swoje, lepka wilgoć utrudniała oddychanie. Najgorsze jednak było to, że morderca, który na miejscu kolejnych zbrodni pozostawiał wykonane przez nią maski, wciąż pozostawał na wolności. Mimo że starała się wiedzieć jak najmniej, unikać różnych przerażających szczegółów, to niektóre docierały do niej, podsłuchane niechcący w kolejce po warzywa lub w barze, gdzie pracowała jako kelnerka. Wracały do niej w środku nocy, gdy leżała w swoim wąskim łóżku. Budziła się wtedy zlna potem, owinięta w białe prześcieradła niczym w całun.

W domu coś zatrzęszczało. Zbudowany został za tanie pieniądze zaraz po wojnie, żeby pomieścić jak najwięcej mieszkańców. Ściany miał cienkie, fundamenty popękane i zapadnięte, okna ledwie trzymały się we framugach...

Znowu trzask.

I jeszcze jeden.

Lizzie próbowała nie poddawać się panice. Jared i Frank wyjechali z miasta, tłumaczyła sobie. W mieszkaniu na górze nie ma więc nikogo, nikt tam nie chodzi. Nie słyszy żadnych kroków. Nikt się nie czai w pobliżu, nikt jej nie obserwuje, nikt nie czeka na odpowiedni moment.

Podniosła się z kanapy zdjęta nagłym niepokojem. Nie, nie będzie sprawdzać, czy drzwi i okna są na pewno zamknięte. Oznaczałoby to, że przyznaje się do strachu, a przyznanie się oznaczałoby kapitulację.

Podeszła do lodówki. Zjadła kartonik truskawkowego jogurtu, popiła sokiem. Wzięła długi, chłodny prysznic, włożyła stare dzinsy i wypłowała wojskową bluzę. Włączyła klimatyzator i postanowiła posprzątać resztki rozbitej maski. Musi wziąć się za nową. Może tym razem ulepi podobiznę pięknej księżniczki. Albo karykaturę jakiegoś polityka. A może czarnoksiężnika.

Wpatrując się jednak w okruchy gliny, zdała sobie sprawę, że nie zrobi żadnej z tych rzeczy. Było już późno, ulewny deszcz nadal dzwonił o szyby, ale Lizzie nie zamierzała kierować się rozsądkiem i pozostać w domu. Nie zamierzała włączyć telewizora ani skulić się na kanapie z dobrą książką. Zamierzała wyjść, odnaleźć J.R. Damiana i powiedzieć mu, co o nim myśli. Może potem będzie w stanie odpocząć. Albo zabrać się do pracy.

Wiedział dobrze, kim jest.

Zbawicielem, zabójcą zesłanym przez Boga po to, by dochodził sprawiedliwości i brał odwet na zbrukanych grzechem dziwkach z Los Angeles. Pojawiał się już wiele, wiele razy przedtem, w różnych miastach

i różnych stuleciach, przyjmując postać różnych śmiertelników, mimo że jego misja pozostawała niezmiennie ta sama.

Czasem udawało im się go złapać. Bywał ścinany, wieszany i topiony, ginął od kul. W innych wypadkach, zaspokoivszy żądę krwi, odchodził w niebyt, pozwalając tym, w których się wcielał, prowadzić normalne, spokojne życie, w którym pamięć spełnienia krwawej misji wydawała się tylko snem.

Występował w różnych przebraniach, więc zwykle pozostawał nieuchwytny. Tym razem też nie zamierzał dać się złapać. Mógł przybrać każdą postać, a siła jego woli była tak wielka, że ludzie dostrzegali tego, kogo chciał udawać, a nie tego, kim był naprawdę.

Nic dziwnego, że ci kretyni z policji nie mogli go znaleźć. Jak mogli znaleźć wykonawcę wyroków, który jednego dnia przybierał postać obdartego starca, a następnego grał nastolatka? Raz biznesmena w szykownym garniturze, a raz zaawansowaną w latach matkę?

Spojrzał na swoje ręce, zwinne ręce chirurga. Niezliczonym rzeszom nierządnic przypadła z tych rąk należna zapłata. Już niedługo jego misja dobiegnie końca. Dopiero wtedy będzie mógł odpocząć, wrócić do codziennego życia. I nikt nigdy się nie dowie o wielkim dziele, jakiego dokonał. Tak jak zwykle.

Tym razem - pomyślał - zostanie kobietą.

W kobiecej postaci łatwiej mu było je podejść. Ostatnio, po tym co się stało, zaczęły uważać. Miały się na baczności i musiał wysilać swój spryt, żeby zwabić je do jakiejś bocznej alejki. Od razu chwycił za nóż, żeby uciąć ich wrzaski, zanim ktoś mógłby nadejść z pomocą.

Do tej pory nie popełnił ani jednego błędu. I nie zamierzał tego zmieniać. Wcieli się w kobietę. Kobieta wymierzy sprawiedliwość przedstawicielkom własnej płci. Jeszcze raz spojrzął na ręce, podziwiając jaskrawoczerwone, starannie wypielegnowane paznokcie.

J.R. Damien oparł się o od dawna nie sprzątny kuchenny blat. Nie widzącym wzrokiem wpatrywał się w otwarte drzwiczki szafki. Telefon dzwonił przez cały wieczór, a on słuchał głosów płynących z głośniczka automatycznej sekretarki. Niektóre należały do przeszłości, inne do dnia dzisiejszego, lecz Damien ignorował je wszystkie. Podobnie pozostawał głuchy na głos własnego sumienia.

Wydrukowanie artykułu o autorce masek używanych przez mordercę było aktem rozpaczki. Wiedział, że nie powinien być tego robić. Policja zaufała mu, że nie ujawni tej konkretnej informacji. Nic więc dziwnego, że Adamson próbował teraz dodzwonić się do niego już od dobrej pół godziny. Był wściekły. Krzyczał, że artykuł naraził Lizzie Stride na śmiertelne niebezpieczeństwo. Damien jednak nawet nie podniósł słuchawki.

Nie miał wyboru. I nie czuł się winny. Tak długo jak Rozpruwacz pozostaje na wolności, śmierć czyha na kolejne kobiety. A policja to banda kretynów. Adamson jest może bystrzejszy od innych, ale i tak zbyt przyzwoity, żeby posunąć się dostatecznie daleko w poszukiwaniu mordercy. A akurat w tej sprawie nie można było mieć skrupułów. Żadnych.

Damien wiedział coś, co mógł zakomunikować wprost jedynie Adamsonowi. Wiedział, że to on sam, J. R. Damien, musi powstrzymać mordercę. Że właśnie on musi go złapać i to najlepiej na gorącym uczynku. I że musi go zniszczyć. Sam, bez niczyjej pomocy.

Niestety, istniało duże prawdopodobieństwo, że niszcząc Rozpruwacza, będzie musiał poświęcić samego siebie.

Zatrzasnął drzwiczki szafki, lecz te, ze złościwością właściwą przedmiotom martwym, do której zdążył się już przyzwyczaić, otworzyły się ponownie. Wrócił do pokoju. Gdzie, do cholery, wśród papierów, książek i brudnych naczyń, mogą leżeć papierosy? Tak, wiedział, że pali za dużo. I co z tego? Kiedy trzyma papierosa, przynajmniej ręce ma zajęte. Nie musi się martwić o to, co zrobią lub pamiętać o tym, co, być może, komuś wyrządziły.

Wszystko przez te senne koszmary.

Nie, Damien nie wierzył w parapsychologię, telepatię i temu podobne bzdury, tak ostatnio modne w Kalifornii. Był pragmatykiem, miał zmysł praktyczny i wierzył tylko w to, czego można dotknąć, zobaczyć, usłyszeć lub powąchać.

Ale w swoich snach widział śmierć. Słyszał krzyki mordowanych kobiet. W sennych widzeniach dłonie splamione miał lepka, ciepłą jeszcze krwią, której zapach czuł wszędzie dookoła.

W dodatku znał szczegóły, o których nie wiedział nikt inny. Tego nie można było wyjaśnić w żaden racjonalny sposób. Istniało tylko jedno, zatrważające rozwiązanie tej mrocznej zagadki, lecz, przynajmniej na razie, Damien nie chciał przyjąć tego faktu do wiadomości.

Właśnie znalazł papierosy, kiedy usłyszał kogoś przy drzwiach. Dzwonek nie działał od lat. Damien zamarł i przez chwilę bez ruchu wsłuchiwał się w uporczywe walenie do drzwi.

Wreszcie podszedł do nich i powoli uchylił je, tak że przez wąską szczelinę mógł wyrzeć na ciemny, zakurzony korytarz. Stała tam dziwnie wyglądająca kobieta. Poczł wielkie rozczarowanie. W chwili gdy usłyszał kogoś na zewnątrz, wypełniło go niejasne poczucie nieuchronności. Poczucie, że tam, za ciężkimi, stalowymi drzwiami znajdzie odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania.

Miał nadzieję stanąć oko w oko z Rozpruwaczem.

Kobieta za drzwiami była jednak zbyt wątła, żeby być mordercą. Człowiek, który z rzeźniczym znowstwem mordował prostytutki, musiał być nieprzeciętnie silny. Ta zaś wysoka, szczupła dziewczyna przy drzwiach w żaden sposób nie byłaby w stanie tak władać nożem.

Już miał zatrasnąć drzwi, lecz coś go powstrzymało. Może ciekawość? A może właśnie poczucie nieuchronności? Patrzył przez szparę w drzwiach i zastanawiał się, czy ta kobieta może znać odpowiedzi na pytania, które sobie zadawał. Wątpił w to.

Lizzie pomyślała, że nie powinna była tu przyjeżdżać. Wściekłość opuściła ją w ciągu dziesięciu minut, jakie jej starzejącej się toyocie zajął dojazd do zniszczonego budynku, w którym mieszkał ten dziennikarz. Kiedy wchodziła na zaśmieconą klatkę schodową, była już prawie spokojna. Drzwi wejściowe zastała otwarte. W ogóle wyglądało na to, że nie mieszka tu wielu lokatorów.

Damien zajmował mieszkanie na najwyższym piętrze. Wsiadła do windy i nacisnęła guzik. Winda ani drgnęła, więc przycisnęła ponownie.

Chciała zawrócić. Sam pomyśl, żeby przyjechać tu samotnie, w nocy, pod wpływem niekontrolowanej wściekłości, i stanąć oko w oko z człowiekiem, który może się okazać mordercą, wydał jej się absurdalny. W momencie, kiedy zdała sobie sprawę ze swojego położenia, poczuła się bliska popadnięcia w panikę.

Nie, teraz nie może się poddać. Strach uczyni z niej łatwą ofiarę, a Rozpruwacz może chcieć to wykorzystać.

Powtórzyła sobie, że nie zmierza na spotkanie z mordercą, lecz z dziennikarzem „Los Angeles Chronicle”, który dla pieniędzy naraził jej życie na niebezpieczeństwo. Wie, kogo się może spodziewać. Jakiegoś cynicznego, dobrze ubranego bufona w średnim wieku.

Winda poruszała się w żółtym tempie. Po dobrych trzydziestu sekundach zatrzymała się wreszcie ze zgrzytem i Lizzie wysiadła. Na piętrze paliła się tylko jedna żarówka. Ktokolwiek spoglądał teraz na nią przez szparę w ledwie uchylonych drzwiach, nie mógł się jej dobrze przyjrzeć.

- Kim, do diabła, pani jest?

- Jeszcze się pan pyta! - odpowiedziała z furią w głosie. -

Rujnuje mi pan życie dla własnej kariery i jeszcze udaje, że nie wie, kim jestem.

- Proszę sobie darować melodramatyczne gesty - odparł zmęczonym głosem. - O ile wiem, przez ostatnie trzy godziny nikomu życia nie zrujnowałem. Proszę powiedzieć, o co pani chodzi, i odejść.

- Nazywam się Elizabeth Stride. A skoro był pan na tyle uprzejmy, żeby podać mordercy moje imię, nazwisko i zdjęcie, że nie

wspomnę już o dość dokładnych wskazówkach dotyczących miejsca zamieszkania, to chyba śmiało mogę powiedzieć, że zrujnował mi pan życie, nie sądzi pan?

- A niech to... - Drzwi nie były zamknięte na łańcuch. Otworzył je szerzej. - Proszę wejść.

Przez chwilę nie ruszała się z miejsca, tylko uważnie wpatrywała w jego postać. Był inny niż oczekiwała. Mocno przyblakła świetność jego mieszkania nijak nie przystawała do jej wyobrażeń. Myślała, że spotka zadowolonego z siebie gruboskórnego, cuchnącego piwem dziennikarza o wielkim brzuchu, właśnie leczącego kaca. Tymczasem człowiek w drzwiach był całkowitym zaprzeczeniem tego stereotypu.

Przede wszystkim był zbyt chudy. Miał ciemne, nieco za długie włosy, co nie było wynikiem świadomego działania, lecz zaniedbania. Zdecydowanie powinien się też ogolić, a z pewnością przydałby mu się porządny posiłek i ze dwa tygodnie uczciwego snu. Kiedy przyglądał się jej smętym, udreńczonym wzrokiem, Lizzie poczuła ogarniające ją bolesne współczucie.

- Nie wygląda pan na zdobywcę nagrody Pulitzera - odezwała się w końcu i weszła do mieszkania.

- Nie? - Zamknął drzwi. - A jak według pani powinienem wyglądać?

- Jak bufon.

Rozglądała się po mieszkaniu, z trudem próbując ukryć wrażenie, jakie robiło na niej zagracone, prawie rozsypujące się wnętrze. Stosy papieru i brudne naczynia leżały praktycznie wszędzie.

W powietrzu unosił się zatechły zapach papierosów i wilgoci, wzmagając jeszcze ogólną atmosferę rozpacz. Lizzie pomyślała, że powinna pootwierać okna, żeby wpuścić do środka świeże, choć też wilgotne powietrze. Nie ruszyła się jednak z miejsca.

- Jestem na równi pochyłej - powiedział Damien i zaczął przerzucać kartki na zaśmieconym stoliku.

- To widać. Czego pan szuka?

- Nie pani zafajdany interes. Zresztą i tak nie chciałyby pani tego oglądać. - Położył się na kanapie i wyciągnął nogi. Wpatrywał się w nią z wyzywającym wyrazem twarzy. - Jeśli chodzi o ścisłość, są to policyjne zdjęcia ostatniej ofiary Rozpruwacza. W kolorze - dodał, próbując dociec, jak duże wrażenie wywarły na niej te słowa.

Lizzie nerwowo przełknęła ślinę. Starła się zachować spokój.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytała. Rozejrzała się po zagraconym pokoju w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby usiąść. W końcu wybrała krzesło, na którym pozostało trochę miejsca obok sterty książek.

Była pewna, że przez jego twarz przebiegł wyraz trwogi.

- O co pani chodzi?

- O ten artykuł. Policja starała się zataić sprawę masek dla dobra śledztwa. Teraz różni wariaci będą dostarczać im fałszywe ślady. Inni mordercy mogą zacząć naśladować. W końcu policja zacznie znajdować moje maski przy każdym trupie na Zachodnim Wybrzeżu - mówiła coraz bardziej podniesionym głosem.

- Niech się pani nie przecenia. - Damien sięgnął po papierosy. Lizzie zauważyła ze zdziwieniem, że jego długie, delikatne dłonie lekko drżą. - Przez całe życie nie zrobiła pani tyle masek, żeby starczyło dla wszystkich ludzi zamordowanych w Los Angeles w ciągu doby. Mogą pokryć zapotrzebowanie najwyżej jednego mordercy.

- I pańskie.

Zaskoczyła go. Podążył za jej wzrokiem w kierunku dwóch masek wiszących na ścianie. Lizzie rozpoznała je w chwili, kiedy weszła do mieszkania. Były to jedne z jej wcześniejszych prac i chyba zarazem jedne z najlepszych. Jedna przedstawiała gderliwego starca. Była śmieszna i zwykle wprawiała ją w dobry humor. Druga była twarzą clowna z pomarańczowymi włosami i pękatym nosem. Usta wykrzywione w przerysowanym uśmiechu zdradzały smutek. Fakt, że mężczyzna zawiesił na ścianie akurat te maski, że wybrał być może najlepsze z tych, jakie znalazły się na rynku, sprawił, że poczuła się jeszcze bardziej nieswojo.

- Wynika z tego, że Rozpruwacz i ja mamy ze sobą coś wspólnego - zauważył Damien. - Właśnie próbuję dociec, czy tylko artystyczne upodobania.

- Co pan przez to rozumie?

- To, że staram się złapać mordercę. Policja jak to policja - działa, jakby chciała, a nie mogła. Ofiar jest coraz więcej, a rozwiązania jak nie było, tak nie ma.

Właściwie pani jest jedyną osobą, która czerpie z tego jakieś korzyści. Przynajmniej ma pani stały rynek zbytu.

Pomyślał, że go uderzy. Nawet nie mógłby mieć jej tego za złe - przecież specjalnie ją prowokował.

Lizzie opanowała się z wysiłkiem. W sumie była ekstrawertyczką, często wyrażała swe uczucia gestem, ale nigdy dotąd nie była tak blisko rzucenia się na kogoś z pięściami.

- Pan jest chory - syknęła z wściekłością przez zaciśnięte gardło.

- Inni też tak twierdzą. Mimo to niech pani mnie posłucha.

Przykro mi, jeżeli naraziłem panią na niebezpieczeństwo, ale sądzę, że w swojej naiwności nie docenia pani mordercy. Jest dostatecznie inteligentny, żeby wiedzieć, kto robi te maski. To nie jest przypadkowy wybór. On świetnie wie, kto je robi i gdzie mieszka.

- To dlaczego jeszcze się do mnie nie dobrał? Wzruszył ramionami i przez długą chwilę zapalał papierosa bez filtra, wydmuchując smugę dymu prosto w jej kierunku.

- Tego nie wiem. Powiedziałem, że to inteligentny facet, ale nie wiem, czy jest przy zdrowych zmysłach. Przypuszczam, że nie jest panią szczególnie zainteresowany. Nie jest pani prostytutką, a te maski... Widocznie w jakiś sposób mu pomagają.

- Ale dlaczego moje maski? Przecież nie jestem jedyną producentką masek w Los Angeles!

Popatrzył na nią.

- Może dlatego, że są dobre?

- Niech się pan wypcha - ucięła ostro. - Nie potrzebne mi pańskie komplementy tylko prawda. Z jakichś swoich pokrętnych powodów wywlókł pan tę sprawę na światło dzienne. Więc może pan się przynajmniej posilić o wyjaśnienie.

- Nie mam żadnych pokrętnych powodów. Po prostu chcę znaleźć i złapać Rozpruwacza, zanim znowu kogoś zabije. Wydaje mi się, że jest to wystarczająco dobry powód. - Cynizm bijący z jego głosu zdawał się zaprzeczać szlachetności celu, o którym mówił. - Sądzę, że wybrał pani maski nie tylko z powodu ich wysokich walorów artystycznych, ale także ze względu na to, jak się pani nazywa.

- Dlatego, że na imię mi Lizzie? Myśli pan, że to może coś znaczyć.

- Nie, moja droga. - Mówił powoli, tak że Lizzie nie mogła pozbyć się wrażenia, że gra z nią w kotka i myszkę. Powoli zaciągnął się papierosem, jakby chciał osiągnąć jeszcze większy efekt. - Prawdziwy Kuba Rozpruwacz, ten brytyjski, zamordował co najmniej pięć kobiet. Wszystkie były brzydkimi prostytutkami w średnim wieku. Nasz wybiera młodsze i ładniejsze. Ale założenie jest to samo. Kuba zabił Annie Chapman, Catherine Eddowes, Polly Nichols i Mary Kelly. Oraz pijaną czterdziestotrzyletnią prostytutkę, która nazywała się Elizabeth Stride.

Lizzie poczuła, że zaraz zwymiotuje. Nie zrobiłoby to na nim większego wrażenia, pomyślała. Jako dziennikarz na pewno widywał gorsze rzeczy.

Zachwiała się. No nie, chyba nie zemdleje tu w iście wiktoriańskim stylu. Damien zerwał się ze zniszczonej kanapy, upuścił papierosa i Lizzie poczuła, jak te długie, delikatne dłonie wypychają ją w głąb krzesła, zrzucają na podłogę stertę książek i przyciskają jej kark, tak żeby głowa znalazła się między kolanami.

- Niech pani głęboko oddycha - jego głos dobiegł Lizzie gdzieś z oddali.

Próbowała zrzucić tę dłoń, ale ręka Damiena mocno przyciskała jej kark. Ciepło z niej płynące rozgrzało ją w jakiś dziwnie niebezpieczny sposób.

Po chwili ją puścił i zniknął w kuchni. Poprawiła się na krześle i odetchnęła głęboko. Chciała wierzyć, że nie ma powodu do paniki, że nie musi uciekać.

Mężczyzna wrócił z kuchni z dwiema wysokimi szklankami. Jedną z nich, nie zwracając uwagi na jej sprzeciwy, wcisnął w dłoń Lizzie.

- Proszę się napić - rzekł rozkazującym tonem. - To pani dobrze zrobi.

Nie chciała się kłócić, więc posłusznie podniosła szklankę do ust. Była to tequila, trunek którego szczerze nie znosiła. Jednak tym razem poczuła miłe pieczenie i uspokajający wpływ alkoholu.

- Ma pan więcej takich okropnych informacji? - zapytała zmienionym głosem.

Damien usiadł naprzeciw niej.

- Na razie nie. O ile wiem, policja jest świadoma tej zbieżności nazwisk, tylko nie chcieli pani niepokoić.

- Myślą, że to przypadek? - Lizzie wypła kolejny łyk tequili. Damien, bez żadnego wzdrygnięcia, wychylił swoją do dna. Potrząsnął głową.

- Oni nie wierzą w przypadki. Tak samo jak ja. Lizzie przeszedł dreszcz.

- Przynajmniej o tym pan nie napisał. Pewnie powinnam czuć się wdzięczna za taką dozę powściągliwości.

- Proszę darować sobie ironię. To będzie w jutrzejszym wydaniu.

- Słucham!?

- Artykuł składa się z dwóch części. Jutro też wydrukują zdjęcia pani masek. Niech pani postara się to przyjąć jako darmową reklamę.

- Darmową reklamę? - wymamrotała bezwiednie i wypła kolejny łyk. - Może mam panu podziękować?

- Może pani podwoić cenę za maski - odrzekł obojętnie. - Przynajmniej wyciągnie pani z tego jakieś pieniądze.

- Żeby pokryć koszty pogrzebu! - Lizzie wypła do końca.

- Przecież on nie na panią poluje.

W śmiechu Lizzie nie było nic wesołego.

- Tak pan sądzi? Cieszę się, że ma pan tę pewność.

- Proszę pani, gdyby to panią chciał zabić, znalazłby panią wiele miesięcy temu. Powtarzam, mamy do czynienia z inteligentnym facetem. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że interesuje się

panią tylko ze względu na maski. Według mnie, tak długo jak je pani robi, nic pani nie grozi.

Lizzie nie spuszczała z niego oczu.

- A jeżeli pan się myli?

Ewidentnie nie brał pod uwagę takiej możliwości. Przez chwilę przyglądał jej się w napięciu. To, co sobie wyobraził, przeraziło go tak, że aż zbladł.

Szklanka pękła mu w dłoni. Przez długą chwilę wpatrywał się Lizzie w milczeniu.

- Pani już teraz nie jest bezpieczna - powiedział pozbawionym wyrazu głosem.

- Dlaczego? Czy dlatego, że jakiś szaleniec upodobał sobie moje maski? - Zobaczyła w jego oczach coś, co ją zaniepokoiło.

- To po pierwsze — powiedział i wstał z kanapy, strzepując z dzinsów kawałki szkła. - Po drugie, jest pani samotną kobietą.

- Skąd pan wie, że jestem samotna? - Lizzie czujnie śledziła jego ruchy. Posuwał się w jej kierunku.

- Panno Stride, jestem dziennikarzem i odrabiam swoje lekcje. Mieszka pani przy Sunrise Avenue w starym, białym domu, który zajmuje pani do spółki z parą aktorów. Mieszka tam pani od prawie trzech lat i przez ten czas miała pani dwóch przyjaciół, którzy wprowadzali się na stosunkowo krótko. Jeden nazywał się Freddy Peeples, znany raczej jako Franz Peters. Drugi to początkujący scenarzysta, w tej chwili nie przypominam sobie jego nazwiska. Ma pani kiepski gust jeśli chodzi o mężczyzn.

Próbował ją speszyć swoim zachowaniem, znajomością jej życia. Zbliżał się coraz bardziej. Lizzie jednak nie dawała się łatwo zbić z tropu.

- Może to pan ma kiepski gust w wyborze kobiet - odcięła się.

W odpychający sposób ocenił wzrokiem jej kobiecość. Wyraźnie nie odnotował nic atrakcyjnego, choć zrozumiał, że innym mogła się podobać.

- Tego bym nie powiedział. Niech pani wystarczy, że wiem, że mieszka pani samotnie. Poza tym, przyjechała tu pani sama, po nocy, żeby złożyć wizytę dziwnemu facetowi, o którym wiadomo, że ma silne powiązania ze sprawą Rozpruwacza. Założę się, że nawet nikomu pani nie powiedziała, dokąd pani jedzie.

Wojowniczy nastrój opuścił Lizzie. Powoli zaczynała się bać.

- Nie jestem aż tak głupia - odparła, przeklinając się w duchu za to, że miał rację. - Powiedziałam...

- A komuż to? - Damien nachylił się nad nią i oparł ręce na poręczach krzesła, tak że Lizzie nie mogła się poruszyć.

- Mojej przyjaciółce. Na imię ma Courtland. I w dodatku nie powiedziałam jej, że jadę się z panem spotkać, tylko że zamierzam pana zabić. - Wiedziała, że Damien celowo próbuje ją przestraszyć, śmiertelnie przerazić. Nie miała jednak pojęcia, w jakim celu tak postępuje. Przecież to mało prawdopodobne, żeby to właśnie on...

- Tym lepiej. Jeśli mnie złapią, będę mógł powiedzieć, że działałem w obronie własnej.

Nie była w stanie wydusić słowa. Damien nachylił się jeszcze niżej.

- Nie wierzy mi pani. - Lizzie, jak urzeczona, wpatrywała się w jego chmurną, niegdyś z pewnością piękną twarz.

Dostrzegła jakiś szczegół w ciemnych, umęczonych oczach mężczyzny. Wydawało jej się, jakby dziesiątki lat wcześniej, gdzieś w innym życiu i innym świecie, widziała już ten wzrok.

Nagle zerwała się i prześlizgnęła pod jego ramieniem, zanim zdążył ją powstrzymać.

- Nie boję się pana, panie Damien - powiedziała łamiącym się głosem.

- Przejdźmy na ty, zgoda? - Damien wyprostował się. Wcale nie próbował jej złapać. - A poza tym kłamiesz, bo boisz się mnie jak diabli.

Lizzie nie zaprzeczyła. Westchnęła głęboko, na próżno starając się uspokoić.

- Może pan jakoś wstrzymać ten artykuł? - zapytała, żeby zmienić wreszcie temat i nakłonić go do mówienia o konkretach.

- Nie, nawet gdybym chciał, to bym nie mógł - odrzekł głosem, w którym nie było poczucia winy. Może tylko odrobina żalu. - Ale mam dla ciebie dobrą radę. Wyjedź z miasta, pojedź dokądś, gdzie nie pada, a ulice nie spływają krwią. Wyjedź, jak najdalej możesz, i nie wracaj, dopóki go nie złapią. Do tej chwili nikt, absolutnie nikt, nie będzie bezpieczny. A już na pewno nie ty, autorka tych wszystkich masek.

- Nie mogę. - Lizzie nadal wpatrywała się w jego twarz.
- Wiec niech Bóg ma cię w swojej opiece, panno Elizabeth

Stride - powiedział głosem wiekowego starca.

Lizzie rzuciła się do wyjścia, a Damien nawet nie próbował jej przeszkodzić. Wybiegła na ulicę, wyciągnęła kluczyki i trzęsącymi się dłońmi otworzyła drzwiczki samochodu. Była przerażona.

Jechała mokrymi ulicami, znacznie przekraczając dozwoloną prędkość. Opony jej toyoty były prawie łyse, ale jakie mogło to mieć w tej chwili znaczenie? Chciała jak najszybciej oddalić się od tego straszego domu i tego straszego człowieka.

Czasami Lizzie nie była w stanie nadziwić się własnej głupocie. Jak mogła być tak naiwna i łatwowierna? Jak to możliwe, że pognęła do mieszkania mężczyzny, o którym wiedziała, że mógł się okazać poszukiwanym mordercą? A może podświadomie od dawna życzyła sobie śmierci?

Bzdura. Wiedziała, że nie chce umrzeć. Chciała żyć. I zrobić dokładnie tak, jak jej poradził - uciec z miasta, uciec przed mordercą i przed samym Damienem.

Przypomniała sobie jego tajemniczo błyszczące źrenice. Przez głowę przebiegła jej myśl, że oto w momencie, w którym spojrzała w te ciemne, uciemnione oczy, zdecydował się jej los.

Zakląła cicho. Ten człowiek miał rację. Jest niespełna rozumu. Jak mogła iść do obcego mężczyzny, kiedy wiedziała, że morderca przebywał na wolności, jak mogła patrzeć mu w oczy i wyobrażać sobie, że widzi tam przebłysk wieczności?

A może to, co zobaczyła, rzeczywiście było jej przeznaczeniem?

Dość tego! Musi wyjechać z miasta. Jutro pracuje na popołudniowej zmianie w „Pelikanie”. Nie ma ochoty tam iść, ale potrzebne są jej pieniądze, pójdzie więc, ostatni raz. Poza tym ma tam przyjaciół, którzy wprowadzą tak jak ona ledwie wiązą koniec z końcem, ale na pewno jej pomogą.

Tak, zrobi dokładnie to, co poradził jej Damien. Wyjedzie z miasta. I spróbuje zapomnieć o jego dziwnych oczach.

Damien patrzył, jak dziewczyna wybiega z mieszkania, zatraskując głośno ciężkie, metalowe drzwi. Przez chwilę wdychał jej delikatną woń unoszącą się w powietrzu. Uciekała tak szybko, jakby gonił ją sam Rozpruwacz.

- Szlag by to trafił - przeklął cicho i podszedł do okna.

Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim pojawiła się w strugach deszczu na dole. Już miał wyjść, by sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Winda w budynku ledwie się poruszała, ale czy można było się temu dziwić? Z dwudziestu czterech mieszkań tylko pięć było zajętych. Na górze nie mieszkał nikt poza nim.

Widział, jak biegła pustą ulicą do starej toyoty, lecz po ciemku nie mógł rozróżnić koloru. Jednak z pewnością rozpozna ten samochód, kiedy znowu go zobaczy. Jeżeli kiedyś rzeczywiście znowu go zobaczy.

Patrzył, jak odjeżdża z nadmierną prędkością i zastanawiał się, czy uda jej się bezpiecznie dotrzeć do domu.

Gdyby pozostała w nim odrobina przyzwoitości, zadzwoniłby do Adamsona z prośbą o przyznanie jej ochrony.

Jednak w połowie przypadków, kiedy był mu potrzebny, detektyw Finlay Adamson znajdował się poza komisariatem, a żaden z jego podwładnych nie przypadł Damienowi do gustu. Poza tym, nie ma podstaw do obaw. Lizzie Stride z pewnością dojedzie bezpiecznie do domu. Damien miał stuprocentową pewność, że nic jej się nie przytrafi. Nie bez powodu.

Wrócił do kuchni i nalał sobie kolejną porcję tequili. Czy nie ostrzegano go, że nigdy nie powinno się pić samotnie? Mimo to chciał się napić i dobrze wiedział dlaczego. Musiał wymazać z pamięci przerażenie malujące się w oczach Lizzie.

Wmawiał sobie, że niczemu nie zawinił. A może jednak tak? Ale przecież zrobił wszystko, co mógł, żeby dowiedzieć się, kim lub czym jest Rozpruwacz, nawet jeśli oznaczało to narażenie na niebezpieczeństwo kogoś takiego jak ta dziewczyna, która była na tyle głupia, żeby przyjść do niego w środku nocy.

Spotkanie z nią bardziej wytrąciło go z równowagi, niż gotów był przyznać. Z pewnością nie była w jego typie. Lubił eleganckie kobiety o wyrafinowanym guście. Lizzie była inna. Była kobietą z krwi i kości.

Odtworzył w myślach jej wygląd. Miała mocniejszą budowę, niż wydawało mu się na pierwszy rzut oka. Wojskowa bluza pozbawiona rękawów odkrywała wyraźnie zarysowane mięśnie rąk. Jej stare, wyblakłe dzinsy były zdecydowanie za luźne jak na jego gust. Dość

długie, kasztanoworude włosy, wciąż mokre od deszczu, wiły się bezładnie wokół głowy. Co jeszcze... Miała czujne, zielonkawe oczy i szerokie, zmysłowe usta, którym brakowało uśmiechu. Nic dziwnego. Sam też nie miał ochoty się śmiać.

Ciekawe, czy uprawia sport, czy całe ciało ma tak mocne, jak te opalone ramiona? Chwilę później przypomniał sobie, że Lizzie zajmuje się robieniem masek z papier mache i gliny, a czasem nawet z kamienia i metalu. Tak, musi być silna. A w ogóle po co, do diaska, rozpamiętuje jej wygląd zamiast zastanowić się, czy przypadkiem ona sama nie jest morderczynią. Przecież musi brać pod uwagę nawet pozornie najbardziej absurdalne możliwości. Nawet taką.

Nie podobała mu się. Nie dostrzegął niczego powabnego w jej wąskiej talii, dość obfitym biuście okrytym wojskową bluzą, gęstych włosach i pełnych ustach. Właściwie nic mu się w niej nie podobało.

Było jednak w tej dziewczynie coś, co go poruszyło. Stała w jego mieszkaniu to agresywna, to wystraszona, rozsiewając delikatny zapach mydła i skóry, deszczu we włosach i kropli tequili na ustach. Damien zastanowił się, jaki smak miałyby te usta, gdyby zbliżył się do niej jeszcze bardziej i zdecydował na pocałunek. Czy miałyby smak życia?

Znów przypomniał sobie jej oczy. Teraz wydały mu się nagle cudowne, duże, zielonobrazowe, pełne ciepła i niepewnej czujności. I czegoś jeszcze. Wyrażały z jednej strony doświadczenie, z drugiej wątpliwość i zdawały się odbijać, niczym lustro, dziesiątki lat straconych możliwości i przebrzmiałych marzeń. Gdy wpatrywał się

w te oczy, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów poczuł jakąś nieokreśloną tęsknotę, tkliwość; i nagle to co nieprawdopodobne wydało mu się możliwe - zrobiło mu się jej żal.

Damien oparł się o blat i niechcący strącił biodrem talerz do zlewu, gdzie ten rozbił się na drobne kawałki. Przyglądał się mu nie widzącym wzrokiem. Nie może złamać danego sobie przyrzeczenia tylko dlatego, że nagle zaczął odczuwać coś w rodzaju winy. I pożądanego. Przyrzekł sobie zrobić wszystko, żeby złapać i zniszczyć Rozpruwacza, kimkolwiek on jest.

Nawet gdyby miało się okazać, że to John Ripley Damien we własnej osobie.

Stara kobieta szła mokrą ulicą, a z jej ust płynęła niekończąca się litania przekleństw. Na cienkich łydkach miała luźne, przedpotopowe pończochy, po chodniku ciągnęła siatki na zakupy. Spod kosmyków tłustych, siwych włosów ogarniała wszystkich bystrym spojrzeniem. Musiała strzec się ludzi, którzy chcieliby ją zatrzymać. Różnych dobroczyńców przychodzących z pomocą. Obiecywali czystą pościel, prysznic i przyzwoite jedzenie, tak jakby nie wiedzieli, że jej domem jest ulica.

Jedzenie może znaleźć, razem z innymi niezbędnymi rzeczami, w wypełnionych po brzegi koszach na śmieci. Jest przecież w Kalifornii. Jest ciepło. Nie chce ani łóżka, ani pościeli; ani prysznic, ani lekarstw. Leków najadła się na całe życie, kiedy rodzina zamknęła ją w szpitalu. Ale gdy już ją przenieśli do sanatorium, przestała brać proszki. Chowala je, a potem wyrzucała. Nie były jej potrzebne. Zagłuszały głosy, które chciała słyszeć. Głosy Boga i aniołów.

Głosy, które kazały jej zabijać złych ludzi.

Zajrzała do siatki na zakupy. Krew zaczynała przesiąkać. Powinna była użyć folii zamiast papieru. Zaśmiała się pod nosem i zaczęła nucić starą dziecięcą rymowanekę.

Kuba Rozpruwacz nie żyje, Nikogo już nie zabije. Zaciął się mydłem przy goleniu I w łóżku uległ wykrwawieniu. Kuba Rozpruwacz nie żyje.

Lizzie naumyślnie spóźniła się do pracy. Wbiegła do baru „Pod Różowym Pelikanem” w ostatniej chwili, ubrana w przesiąknięte deszczem regulaminowe czarne spodnie i białą koszulę. Gęste włosy miała spięte na karku. Kiedy biegła przez zaplecze, wiedziała, że wszystkie oczy skierowane są na nią. Telewizja zdążyła już przekazać rewelacje zawarte w artykułach Damiena i wszyscy, dokładnie wszyscy, wiedzieli o jej powiązaniu ze sprawą morderstw.

- Nie spodziewałam się ciebie dzisiaj - odezwała się Courtland, kiedy Lizzie podeszła do lady.

- A niby dlaczego miałyby mnie nie być? Potrzebuję pieniędzy - odrzekła Lizzie, przewiązując biały fartuszek wokół pasa.

- Nie wystarczy ci to, co zarabiasz na maskach? - zapytała Julianne, jedna z niedoszłych aktorek zatrudnionych w barze. - Zdaje się, że masz stałego odbiorcę.

- Dziwka - parsknęła Courtland, zanim Lizzie zdążyła odpowiedzieć.

- Każdy sądzi według siebie - odcięła się Julianne i oddaliła w kierunku stolika zajętego przez dobrze ubranych gości.

Lizzie i Courtland odprowadziły ją wzrokiem.

- niesprawiedliwość i świństwo. Tej zawsze trafiają się najlepsze stoliki. - Courtland odrzuciła do tyłu opadające na ramiona srebrzyste blond włosy. - Nie przejmuj się nią. Ona ci po prostu zazdrości.

- Zazdrości? - Lizzie powtórzyła bezwiednie -Czego?

- Tego rozgłosu. Powiązania z Rozpruwaczem. Sama wiesz, że w tym mieście każda reklama jest dobra. Julianę dałaby sobie rękę uciąć, żeby ktoś chciał ją połączyć z tą sprawą.

- Szlag by ją trafił. - Lizzie zauważyła, że trzech klientów obsługiwanych przez Julianę przygląda się jej z zainteresowaniem. - Wiesz, ona chyba im o mnie opowiada.

- Słuchaj, twoje zdjęcie jest we wszystkich gazetach, pokazali je we wszystkich programach telewizji w Los Angeles i okolicy. Nie ma szans, żeby cię nie rozpoznali. Na twoim miejscu poszłabym się schować w domu.

- Mówiłam ci już, że potrzebuję pieniędzy.

- Jeśli o to chodzi, to ja jestem bez grosza. Naprawdę nie mogę ci pomóc. Poza tym, chyba nic ci strasznego nie grozi. Postawiłam ci wczoraj tarota i wygląda na to, że masz jakiegoś opiekuna. Kogoś, kto będzie pilnował, żeby ci się nic nie stało.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. - Lizzie starała się nie patrzeć w kierunku sali. - Jednak wołałabym nie ryzykować.

Courtland położyła starannie wypielegnowaną dłoń na ramieniu Lizzie.

- Jesteś bezpieczna, możesz mi wierzyć. Śmierć czai się wszędzie, ale ciebie nie dosięgnie. Wpadnij jutro, to postawię ci kabałę i sama się przekonasz.

- Nie znam się na tym. Wierzę ci na słowo.

- W porządku - Courtland uśmiechnęła się krzepiąco. -

Tymczasem zajmij się tym stolikiem.

Lizzie przyjrzała się dwóm kobietom w średnim wieku. Nie mogła się po nich spodziewać wysokiego napiwku.

- Kochana jesteś - powiedziała z ironią. Gdy zbliżała się do stolika, usłyszała za sobą śmiech przyjaciółki.

Damien obudził się z kacem. Nie dlatego, że za dużo wypił, lecz że spał za krótko.

Od czasu kiedy zaczęły prześladować go koszmary, starał się unikać snu. Kładł się tylko wtedy, kiedy organizm wyraźnie się tego domagał, i to rzadko na dłużej niż na godzinę. Robił to tylko po to, żeby móc dalej funkcjonować. Obawiał się, że gdy zapadnie w głębszy sen, znowu rozbudzi demony.

Nie chciało mu się myć dzbanka po kawie. Nastawił nową i przyglądał się, jak czarny płyn skapuje do brudnego naczynia. Jednocześnie próbował uładzić myśli. Znowu miał to straszne uczucie, że wydarzyło się coś okropnego, coś, czemu mógł zapobiec.

Powinien już się do tego przyzwyczaić. Po raz pierwszy takie uczucie nawiedziło go wiele miesięcy, może nawet dwa lata wcześniej. Długo przed pierwszym morderstwem. To było tej nocy, kiedy zginęła Ashanti Mizrak vel Betty Brinston. Nie zrobił wtedy nic, żeby ją uratować.

Zaczekał, aż w dzbanku uzbiera się kilka centymetrów płynu, po czym przelał go do kubka, nie zwracając uwagi na to, że kawa dalej kapie prosto na blat. W cukrze było pełno mrówek, mleko skwaśniało. Wzdrygnął się i jednym haustem wypił prawie wszystko.

W tym momencie przypomniał sobie, dlaczego obudził się z poczuciem winy.

Tym razem nie wywołało go żadne widziadło ani też zastarzałe wyrzuty sumienia. Tym razem naprawdę miał powód, żeby czuć się winnym. Naraził na niebezpieczeństwo niewinną dziewczynę, i to znowu po to, żeby narobić szumu swoim artykułem.

Zdawał sobie oczywiście sprawę, że Lizzie Stride i tak nie jest bezpieczna. Policja też o tym wiedziała. Sama Lizzie z pewnością też. Zbyt wiele inteligencji malowało się w jej zielonych, dziwnie znajomych oczach, żeby miała o tym nie wiedzieć. Tak naprawdę to jednak zrobił jej przysługę, ujawniając prawdę. Nie mogła już uciec przed faktem, że istnieje jakiś związek między jej osobą a maniackalnym mordercą. I mimo że wiodła stosunkowo cnotliwy tryb życia, według wszelkiego prawdopodobieństwa Rozpruwacz dotrze do niej później lub prędzej. Uprzedzona o tym, będzie mogła przynajmniej się bronić.

- Cholera, Damien, robi się z ciebie istna Matka Teresa. Jakie jeszcze szlachetne posunięcia trzymasz w zanadrzu? - zakpił sam z siebie i dopił kawę.

Kiedy wreszcie zrozumie, że nie może się wtrącać w życie innych ludzi? Że nie jest w stanie zmienić całego świata? Że nie potrafi nawet powstrzymać jednego szaleńca napadającego na samotne kobiety?

Gdyby tylko przestały go męczyć koszmary. Gdyby tylko mógł spokojnie spać. Ale nie może sobie na to pozwolić, zanim nie znajdzie

odpowiedzi. Zanim nie dowie się, czy potworne wizje nawiedzające go w nocy to tylko wytwór zmęczonej wyobraźni, czy może też obrazy ukryte gdzieś głęboko w jego pamięci.

Piętnaście po siódmej Lizzie Stride uznała, że ma za sobą najczarniejszy dzień w życiu. Courtland miała rację. Wszyscy ją rozpoznawali. Wpatrywali się w nią natarczywie, próbując coś dostrzec w jej twarzy. Nikt nie chciał się do niej zbliżyć, tak jakby poznanie Lizzie miało narazić ich na kontakt z samym Rozpruwaczem. Cholera - pomyślała - skoro jestem taką atrakcją, to przynajmniej mogliby mi płacić wyższe napiwki.

Bolały ją nogi i plecy. Głowa jej pękała. Czuła się, jakby wisiało nad nią jakieś przekleństwo. W dodatku właściciel dostrzegł niechętny stosunek klientów do jej osoby i nie spuszczał z niej oka. Wyglądało na to, że do listy swoich kłopotów będzie musiała dopisać strach przed utratą pracy.

- Masz gościa - krzyknęła Courtland w drodze do kuchni. - Trzeci stolik pod oknem.

Lizzie spojrzała we wskazanym kierunku, ale gąszcz paproci zdobiących wnętrze restauracji skutecznie zasłaniał widok. — Pewnie jest biedny i brzydki, co?

- Wcale nie. Julianne i ja ustawiliśmy się do niego w kolejce, ale chce tylko ciebie. Wygląda całkiem, całkiem, jeśli ktoś gustuje w ascetycznych typach.

Lizzie cofnęła się, zdjeta nagłym strachem.

- Nie chcę... - wyszeptała przez ściśnięte gardło.

- Daj spokój. To nie ten, o którym myślisz, mówię ci - Courtland zapewniła ją rzeczowym tonem.

- Skąd ta pewność?

- Przecież wiesz, że znam się na tych sprawach. Poza tym Rozpruwacz nie może tak bosko wyglądać.

Ten facet chce tylko pogadać. Jakiś nieszkodliwy typ, dziennikarz, czy ktoś w tym rodzaju. Lizzie nie ruszyła się z miejsca.

- Jak wygląda?

- Mówiłam ci, bosko. Taki trochę nawiedzony, w typie Jamesa Deana.

- To Damien - powiedziała Lizzie głosem pozbawionym emocji.

- Ten dziennikarz? To on tak wygląda? Naprawdę zrobił na mnie wrażenie. Może mu powiem, że już wyszłaś. W końcu mi też należy się trochę przyjemności. - Courtland poprawiła włosy, gotując się do kolejnego podboju.

- Dobrze. Idź. I tak muszę stawić czoła Harkinowi. Przez cały czas patrzy na mnie złym okiem. Coś mi się zdaje, że chce mnie wylać.

- Nie będzie śmiał.

- Zobaczymy. Zajmij czymś Damiena, a ja tymczasem załatwię sprawy i wymknę się tylnym wyjściem.

Spotkanie z właścicielem poszło lepiej, niż się spodziewała. Poważnym, pełnym współczucia głosem Harkin wyraził głębokie zaniepokojenie jej sytuacją. Następnie, tonem nie znoszącym sprzeciwu, zasugerował, żeby Lizzie wzięła kilka tygodni urlopu.

Zapłacił jej całą należność, dzięki czemu stała się posiadaczką osiemdziesięciu trzech dolarów i sześćdziesięciu trzech centów. To, plus sześć dolarów i czterdzieści dwa centy, które zarobiła na napiwkach, mogło jej wystarczyć najwyżej na dojazd do West Hollywood.

Kiedy wyszła z baru na ciemną ulicę, ulewa zmieniła się w orzeźwiającą mżawkę. Zgarbiona, ruszyła w kierunku samochodu. Bała się obejrzeć i sprawdzić, jak Courtland daje sobie radę z Damienem.

Właśnie otwierała drzwi, kiedy jakaś ręka wynurzyła się z ciemności i obróciła ją ku sobie.

Krzyk zamarł jej na ustach. Miała przed sobą Damiena.

- Gdybym to ja był Rozpruwaczem, zdążyłbym już poderznąć ci gardło.

Lizzie odetchnęła z ulgą, choć prawdę mówiąc, wcale nie czuła się zbyt pewnie po takim przywitaniu.

- No to mam szczęście - odparła, starając się, by słowa te zabrzmiały nonszalancko.

- Nie miałaś gdzie zaparkować wozu?

Rozejrzała się. Dookoła nie było żywej duszy. Gdyby Damien chciał wyrzucić jej krzywdę, nikt by go nie powstrzymał, nie byłoby żadnego świadka.

- Parkuję, gdzie się da. W tak zatłoczonym miejscu człowiek nie może być wybredny.

- Idiotka - skomentował z goryczą w głosie.

- Przyszedł pan, żeby mi to powiedzieć? Poprzedniej nocy Lizzie nie zauważyła, że jest aż tak wysoki. Teraz miała przed sobą szczupłego, a właściwie wychudzonego mężczyznę, przez co wydawał się jeszcze wyższy. Mokra od deszczu, dżinsowe ubranie wisiało na nim luźno, długie włosy odgarnięte miał do tyłu. Lizzie nie chciała się przed sobą przyznać, jak bardzo, w pewien trudny do określenia sposób, Damien się jej podoba.

- Między innymi po to - rzekł powoli. - Poza tym, chciałem ci powiedzieć, że żałuję tego artykułu. Być może powinienem był uprzedzić Adamsona. Nie żeby Rozpruwacz nie wiedział, kim jesteś; po prostu niepotrzebny ci dodatkowy rozgłos.

- Na pewno nie. - Lizzie zdała sobie sprawę, że Damien nie należy do tego rodzaju mężczyzn, którym łatwo przychodzi wyrażenie skruchy. Co więc mogło go skłonić do takiego zachowania? - Chyba ma pan rację. Zresztą, w sumie to bez znaczenia.

- Jednak on w końcu przyjdzie po ciebie. Pamiętaj o tym.

Lizzie poczuła, jak przechodzi ją dreszcz strachu.

- Po co pan to mówi? Wczoraj twierdził pan, że jestem bezpieczna.

- Nikt nie jest bezpieczny - odrzekł głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu. - Jesteś bystrą dziewczyną. Niezależnie od tego, jak bardzo udajemy, że nic ci nie grozi, wiesz tak samo dobrze jak ja, że prawda jest zupełnie inna. Wcześniej czy później przyjdzie po ciebie. Pewnie na razie wyobraża sobie, że jesteś jego bratnią duszą, albo wybrał cię na ostatnią ofiarę.

- Proszę przestać! Przecież policja pilnuje... - zaczęła łamiącym się głosem.

- Policja to banda nieudolnych idiotów. Jedyne facet z głową to Finlay Adamson, ale on nie może zajmować się wszystkim. Policja... Tak samo cię ochronią, jak te osiem kobiet zamordowanych do tej pory.

- Siedem.

- Słucham?

- Do tej pory było siedem morderstw, nie osiem

- poprawiła go Lizzie.

- A co za różnica? Chodzi o to, że ty możesz być następna.

Lizzie oparła się o samochód. Na plecach poczuła chłód mokrej karoserii;

- Co więc mam robić? Ma pan jakieś sugestie?

- spytała. Nerwowo obracała kluczykami, choć wiedziała, że powinna wskoczyć do samochodu i jak najszybciej odjechać.

JR. Damien zachowywał się, jakby był nawiedzony. Czuła, że trawi go wewnętrzna gorączka i tego się bała. Jednak nie na tyle, żeby ratować się ucieczką.

- Mówiłem ci, musisz wyjechać z miasta.

- Nie mam pieniędzy.

- Masz samochód. Jakies karty kredytowe?

- Nie mam żadnych kart.

- Więc wsiadaj do wozu i jedź przed siebie, dopóki nie zabraknie ci benzyny.

Znowu zaczęło bardziej padać. Biała koszula przylepiła się Lizzie do pleców.

- Starczyłoby na jakieś dziesięć mil, panie Damien. To zbyt blisko, żeby znaleźć się poza jego zasięgiem.

- Dam ci pieniądze. - Sięgnął ręką do kieszeni, lecz Lizzie go powstrzymała.

- Nie - powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

- Dlaczego? Przecież ci się należą. W końcu to ja naraziłem cię na niebezpieczeństwo...

- Chyba już ustaliliśmy, że i tak nie byłam bezpieczna. Nie potrzebuję pana pieniędzy, panie Damien. Dam sobie radę.

Nawet przez chwilę nie pomyślała, że właściwie mogłaby wziąć te pieniądze. Gdyby miała trochę rozumu w głowie, wzięłaby każdą sumę, żeby tylko wydostać się z miasta. Lecz nie od niego.

Damien spojrzał na nią zrezygnowany.

- Mogłem się tego spodziewać. Wiesz, że to twój pogrzeb.

- Być może.

Przyglądał się jej bez uśmiechu.

- Odwiozę cię do domu.

- Nie trzeba. Mam samochód.

- To poczekam, aż ruszysz.

Lizzie wzruszyła ramionami. Po co ma się kłócić? Chciała jak najszybciej odjechać, schować się przed deszczem, nie czuć bliskości jego ciała. Obecność Damiena wzbudzała w niej wewnętrzny niepokój. A przecież i tak miała dostatecznie dużo kłopotów.

Wsunęła się na przednie siedzenie i przekręciła kluczyk. Z rosnącym przerażeniem zdała sobie sprawę, że samochód wydał z siebie tylko głuchy jęk.

Damien wciąż stał w strugach deszczu, przyglądając się jej z twarzą pozbawioną wyrazu. Lizzie opuściła szybę.

- Wygląda pan tak, jakby wiedział, że nie ruszy - powiedziała.

- Czyżby oskarżała mnie pani, że majstrowałem przy samochodzie, panno Stride? Po co niby miałbym to robić? - Widać było, że jej słowa nie zrobiły na nim większego wrażenia.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Uparcie przekręcała kluczyk i naciskała na gaz z nadzieją, że silnik w końcu zaskoczy.

Na próżno. Westchnęła ze złością i wysiadła, głośno zatraskując drzwiczki. Oczywiście mogła wrócić do baru i poprosić Courtland, albo nawet Julianne, o podwiezienie do domu. Byłoby to zachowanie bezpieczne i logiczne. Lecz bliskość Damiena zakłóciła jej zdolność logicznego myślenia.

- Proponował pan, że mnie podrzuci? - spytała.

Nie zauważyła żadnej zmiany w wyrazie jego twarzy, a jednak wiedziała, że z satysfakcją przyjął to pytanie.

- Tam stoję - wskazał głową w kierunku źle utrzymanego sportowego wozu, który wprawdzie miał już za sobą lata świetności, ale w innych rękach mógłby nadal jeszcze wyglądać imponująco. W rękach Damiena zamienił się we wrak.

W środku unosił się zapach skóry, papierosów i deszczu. Pasy były zepsute, na siedzeniach walały się papiery i pomięte torebki.

- Niezły wóz - powiedziała Lizzie, patrząc na popękana deskę rozdzielczą.

- Przynajmniej zapala mimo deszczu. - Nawet na nią nie spojrział.

- Pada już prawie trzy tygodnie i do tej pory mi się nie psuł.

- Może w końcu zamókł na dobre.

Lizzie wsiadła, próbując znaleźć miejsce na stopy między śmieciami zalegającymi na podłodze. Musiała przyznać, że mimo ogólnego, dość odpychającego wrażenia, jakie sprawiało auto, jego silnik pracował wyśmienicie. Wiedziała, że nie powinna była zgodzić się na podwiezienie, ale dopiero gdy znalazła się wewnątrz tego starego angielskiego samochodu, sam na sam z mężczyzną, który zdecydowanie wytrącał ją z równowagi, przytłaczał i przerażał, zdała sobie sprawę, jak wielki popełniła błąd.

- Sądzę, że zna pan adres - powiedziała beznamiętnym tonem.

Wpatrywała się w mokrą ulicę przed sobą. Czowała na sobie wzrok Damiena, lecz nie miała odwagi spojrzeć

w jego kierunku. Obawiała się, że gdy znów napotka jego udęczone spojrzenie, ta sama udęka stanie się jej udziałem.

- Znam - odrzekł, naciskając pedał gazu.

Lizzie nie zdziwiło, że w samochodzie nie było ani radia, ani magnetofonu. Nie posądzała Damiena o muzyczne upodobania. W ogóle nie posądzała go o żadne upodobania.

- Smakowało panu jedzenie? - próbowała zacząć rozmowę na jakiś neutralny temat, żeby rozładować napięcie.

- Jakie jedzenie?

- W „Pelikanie” - starała się zachować cierpliwość

- Nic nie jadłem. Wypiłem tylko kawę. Nie poszedłem tam przecież, żeby jeść, tylko żeby zobaczyć się z tobą.

- Mamy tam naprawdę niezłe zarcie.

- Nie interesuje mnie jedzenie.

- To co pana interesuje?

- Rozpruwacz.

- I nic więcej?

- Nic.

- To co pan teraz tu robi? - spytała. Byli już blisko domu i Lizzie próbowała wmówić sobie, że to, co czuje, to uczucie niekwestionowanej ulgi.

- Chcę uratować ci życie.

- To część pana szlachetnej misji, panie Damien?

- Prosiłem już, żebyśmy przeszli na ty. - Spojrzenie, które jej rzucił, jeszcze bardziej zaniepokoiło Lizzie. - Powiedzmy, że czuję się za ciebie odpowiedzialny.

Na moment zaległa cisza. Po chwili jednak Lizzie wybuchła.

- Więc zwalniam cię z tej odpowiedzialności! Sama potrafię zadbać o swoje sprawy.

- Pewnie, że potrafisz. Parkujesz w zupełnie wyludnionych miejscach, wsiadasz do samochodu z facetem, który wie podejrzenie dużo o całej sprawie... Skąd wiesz, że to nie ja unieruchomiłem twój wóz?

A zrobiłeś to?

- Sama się domyśl - odparł i zaparkował pod jej domem. - Masz tu jakieś zabezpieczenia?

- Zamki na drzwiach. Damien zaklął tylko pod nosem.

- A kiedy wracają sąsiedzi?

- A skąd wiesz, że wyjechali? - odparowała.

- Jestem dziennikarzem, więc muszę dużo wiedzieć. Poczekaj.

Zostań w samochodzie. Sprawdzę, czy wszystko w porządku.

- Akurat. - Wysiadła prawie tak szybko jak on. - Damien, odczep się ode mnie, słyszysz? Dam sobie radę.

Damien nie zwrócił uwagi na jej słowa. Zaczął wchodzić po schodkach prowadzących do wejścia. Nagle zatrzymał się gwałtownie i Lizzie wpadła prosto na niego. Chwycił ją mocno za ramiona i przyciągnął do siebie, tak że poczuła ciepło bijące z jego napiętych mięśni. Chyba zwariowała, przecież powinna wyrwać się i uciekać. Coś jednak zatrzymało ją w miejscu.

- Co robisz ... - zaczęła, lecz on nie zwolnił uścisku. Uciszył ją tylko i wskazał głową w kierunku wejścia.

Lizzie z przerażeniem zauważyła, że drzwi, które zamknęła dokładnie, kiedy wychodziła z domu, stały teraz otworem.

Chwilę później Damien uwolnił Lizzie z uścisku i cofnął się o krok do tyłu. Stała przed nim w przemoczonej białej bluzce. Nadal czuła na ramionach ciepło jego rąk. Przeszedł ją dreszcz.

- Już dobrze. Nie ma go - stwierdził Damien. Lizzie przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Skąd wiesz, że go nie ma? Byłeś w środku? A w ogóle skąd wiesz, że to on?

- Bo wiem - odrzekł. Minął ją i wszedł do mieszkania. Zapalił światło przy drzwiach.

Lizzie stanęła w progu. Nie podzielała jego pewności. Ogarnęła wzrokiem wysprzątaną pracownię. Sądziła, że zastanie wszystko porozrzucone, a tymczasem nie zauważyła żadnego śladu włamywacza. Weszła do środka i dokładnie zamknęła drzwi.

Nareszcie nie padało. Wciąż jednak był z nią Damien.

- Wygląda na to, że nikogo tu nie było. Nic nie zostało ruszone. Może po prostu wiatr otworzył drzwi - zaczęła się zastanawiać.

Damien spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- On tu był - powiedział i przeszedł przez pracownię. Zatrzymał się obok stołu, przy którym pracowała. Obrzucił spojrzeniem równo ustawione naczynia z gliną i gipsem, starannie pozakręcane tubki z farbą. - Zawsze masz taki porządek? - zapytał.

- I tak już jakiś czas nie sprzątałam - Lizzie przybrała obronną pozę.

- Musisz mieć obsesję na punkcie porządku i czystości.
- Nie lubię melin.
- Chciałaś przez to powiedzieć, że ja mieszkam w melinie? -
odparł z prawie niezauważalnym wyrazem rozbawienia na twarzy. -
Cóż, nie mógłbym żyć w tak sterylnych warunkach jak tu.
- Dobrze więc, że nie mieszkamy razem - odparowała.
- Właśnie. - Przez chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym zaczął
przyglądać się ścianom. - Czegoś tu brakuje.
- Nie bądź śmieszny. - Tym razem poczuła prawdziwą irytację,
dzięki której opanowała ogarniający ją lęk. - Nigdy tu przedtem nie
byłeś, a ja tu mieszkam, więc dobrze wiem, czy wszystko jest na
swoim miejscu.

Damien nie odpowiedział. Podeszedł do stojaka, na którym
trzymała suszące się maski. - Zabrał maskę.

- Przestań! - Lizzie ogarnęła kolejna fala niepokoju. - Nikogo tu
nie było i nikt nie zabrał żadnej maski. Chyba nie wydaje ci się, że... -
urwała nagle, głos zamarł jej w gardle.

- No, którą wziął? - Damien oszczędzał słowa. Nie próbowała
dalej zaprzeczać.

- Boże... Zrobiłam ją w zeszłym tygodniu. Nazywa się
„Damulka”. W sumie jest dość sympatyczna. Ma pulchne policzki i
taką trochę pomarszczoną twarz. Musiałam ją gdzieś położyć, ale...

- Zabrał ją.

- Po co?

- Przecież to jasne - odpowiedział zmęczonym głosem. - Planuje kolejne morderstwo.

Lizzie spojrzała na niego z przerażeniem.

- Dość tego. Wynoś się - powiedziała cicho.

Nie poczuł się w żaden sposób urażony. Od razu skierował się ku drzwiom.

- Powinnaś zawiadomić Adamsona. Pewnie go nie złapiesz, bo jego nigdy nie ma, kiedy jest potrzebny, ale przynajmniej spróbuj. Pewnej nocy Rozpruwacz zabił dwie kobiety. Nikt nie wie, dlaczego. Może potrzebować kolejną maskę, a wtedy na pewno tu wróci.

- Przestań mnie straszyć.

Otworzył drzwi, wpuszczając do środka falę gorącego, wilgotnego powietrza z zewnątrz.

- Po prostu chcę uratować ci życie. Jeżeli w tym celu trzeba cię przerazić, to trudno. Każda kobieta

w Los Angeles i okolicy powinna być śmiertelnie wystraszona. A ty w szczególności.

Wyszedł i Lizzie została sama. Ze złością przekręciła zasuwę i oparła głowę o białe drzwi. Słyszała, jak odjeżdżał. Potem z zewnątrz dobiegały ją już tylko normalne odgłosy ulicznego ruchu.

- Jak na kogoś kto chce mnie ratować, poszedł sobie zbyt szybko - powiedziała do siebie.

Wróciła do stojaka z maskami. Nie mogła uwierzyć, że ktoś zabrał tylko „Damulkę”, że nie ruszył niczego poza maską. Przecież

gdyby to Rozpruwacz zakradł się do pracowni, na pewno zaczekałby, aż wróci jej lokatorka.

Nawet jeżeli ktoś rzeczywiście się włamał, skąd pewność, że to właśnie on? Mógł to być przecież jeden z setki, tysięcy złodziei, którzy zamieszkiwali to miasto, Dlaczego miałyby sądzić, że to akurat Rozpruwacz się zakradł?

Tylko że ten ktoś wybrał właśnie jej mieszkanie. I zabrał maskę.

Rozglądała się po nieskazitelnie czystym wnętrzu, szukając jakichkolwiek śladów włamania. Niczego nie zauważyła. Jedynym świadectwem czyjejś obecności były otwarte drzwi i brak maski.

A w ogóle jak się dostał do środka? Nie mogła sobie wprawdzie pozwolić na żadne drogie zabezpieczenia, ale zamki na drzwiach były dość mocne, a okna dokładnie zamknięte. Powinny więc zostać jakieś ślady.

Chyba że, ktokolwiek tu był, umiał przenikać przez ściany.

- Muszę przestać o tym myśleć, bo zwariuję - powiedziała do siebie w drodze do kuchni. W lodówce znalazła tylko słoik płatków zbożowych, przeterminowany jogurt i trochę soku pomarańczowego. Na sam widok zrobiło jej się niedobrze. Miała ochotę na coś konkretnego, na solidną kolację, która mogłaby poprawić jej podły nastrój. Chyba jednak nawet półkilowy befsztyk nie byłby w stanie podnieść jej na duchu.

Spróbowała zadzwonić na policję i przekonała się, że Damien miał rację. Adamson był chwilowo nieosiągalny. A Lizzie nie miała ochoty zwierzać się ze swych irracjonalnych obaw jego podwładnym.

Instynkt podpowiadał jej, że włamywacz nie pozostawił żadnych odcisków palców. Kimkolwiek był, przeszedł jak cień, bez śladu. Uznała, że wcześniej lub później, w końcu uda jej się skontaktować z Adamsonem i zawiadomić go o zniknięciu maski. Dziś czy jutro, jakie to mogło mieć znaczenie?

Nie chciała rozmawiać na ten temat z żadnym innym policjantem. Adamson ją znał. Wiedział, że jej rola w tej sprawie była prawie żadna. Czy inni podzielali to przekonanie? - tego nie była pewna. Prawdę powiedziawszy, bała się, że podejrzenie padnie na nią. Czy może być bardziej logiczna i przekonująca hipoteza niż ta, że to ona, autorka masek, wylała owo morze krwi? Jest przecież dostatecznie silna, żeby móc popełnić te morderstwa. Na kursie pierwszej pomocy, który przeszła w college'u, poznała podstawy anatomii. Nie ma wprawdzie motywu, ale kto może mieć jakiś racjonalny motyw, popełniając tak okrutne zbrodnie?

Tymczasem w jej przekonaniu najbardziej podejrzany był Damien. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, że miało miejsce włamanie, że złodziej już sobie poszedł, że brak było jednej maski. Jedynym logicznym wyjaśnieniem może być to, że to on sam się włamał.

Jednak jeżeli to on, to po co ją przywiózł, a potem odjechał? Dlaczego od razu nie potraktował jej nożem? Czyżby grał z nią w kotka i myszkę?

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem. Mimo upału panującego w mieszkaniu i wszechobecnej wilgoci Lizzie była zmarznięta do szpiku

kości. Miała ochotę na prysznic, jednak coś ją powstrzymywało. Skóra jej cierpła na myśl o tym, że ktoś, kto jest uosobieniem wszelkiego zła, był tu przed nią. Bała się rozebrać, choć wiedziała, że jest sama, a drzwi i okna są dokładnie zamknięte.

Przecież ten ktoś potrafi przez nie przenikać.

Sięgnęła po tkaną bawełnianą chustę, na którą kiedyś wymieniła się z koleżanką, owinęła się nią i zwinęła w kłębek na kanapie. Zwykle spała na materacu na podłodze, ale uznała, że tam byłaby w razie niebezpieczeństwa bezbronna.

Nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w rząd masek przed sobą. Nie mogła przestać myśleć o Da-mienie, jego umęczonych oczach, twarzy, wąskich, delikatnych dłoniach. Przypominał opętanego przez demony bohatera gotyckiej powieści. Takiego jak Heathcliff w „Wichrowych Wzgórzach”. W Heathcliffie było tyleż zła co dobra i spotkał go marny koniec. Czy demony prześladowające Damiena są też tak silne, żeby go pokonać?

Walczył z nimi. To przynajmniej było dla Lizzie jasne. Walczył ze złem, z ciemnością, której na imię Rozpruwacz z Venice. Mogła się tylko domyślać, jakie były motywy, którymi się kierował. Zaniedbane mieszkanie, nerwy napięte do ostateczności, jakaś dziwna determinacja w jego spojrzeniu - wszystko to świadczyło, że idzie tu o coś więcej niż tylko dążenie do sławy. Poza tym, jako dziennikarz, był już u szczytu kariery i nie musiał się więcej narażać, by potwierdzić swą pozycję.

Najwyraźniej złapanie Rozpruwacza stało się jego obsesją. Żeby jeszcze podzielała ją policja. Gdyby Adamson przejawiał choć ułamek takiej żarliwości, z jaką Damien podchodził do sprawy, morderca już dawno znajdowałby się za kratkami.

Żarliwość. To słowo najlepiej pasuje do Damiena - pomyślała. Był żarliwy, opętany, nawiedzony i mimo to wszystko - niepokojąco pociągający.

Byłaby głupia, gdyby próbowała temu zaprzeczać. Oszukiwanie samej siebie nie leżało w jej zwyczaju. Damien jej się podoba. Nie powinien, ale taka jest prawda. Wydawało jej się, że nauczyła się już trzymać z daleka od mężczyzn, po których nie można się niczego dobrego spodziewać, a tu proszę - kolejna fascynacja; fascynacja Damienem, przy którym wszyscy jej poprzedni partnerzy mogliby uchodzić za ludzi godnych najwyższego zaufania.

Wszystko przez tę pogodę. Całe tygodnie deszczu mogą każdemu zrobić wodę z mózgu. I jeszcze to widmo Rozpruwacza krążącego o północy po ulicach Venice. Nic dziwnego, że głupie, nieodpowiedzialne myśli przychodzą jej do głowy.

Nagle poczuła się zupełnie bezbronna. Co robić?

Powinna była przyjąć te pieniądze. Zapomnieć o dumie. Powinna była wziąć każdą zaoferowaną sumę, wsiąść do samochodu i wyjechać do Nebraski, albo gdzieś równie daleko, gdzie mogłaby czuć się bezpieczna. Znaleźć jakiegoś miłego, mało skomplikowanego faceta, wyjść za mąż i chować dzieci.

Tyle że nigdy nie gustowała w miłych, mało skomplikowanych facetach. W dodatku nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek ktoś pociągał ją tak bardzo jak Damien. Boże, za jakie grzechy...

Wtuliła się jeszcze głębiej w miękki koc i zamknęła oczy. Słyszała monotonne uderzenia kropli o szyby. Z oddali dochodziły ją odgłosy ruchu na ulicy. Raz nawet wydało jej się, że rozpoznała warkot samochodu Damiena. W końcu zasnęła.

Damien nie był w nastroju do jeżdżenia po mieście w strugach deszczu. Nie zamierzał też wracać do domu, samotności i ciszy. Usta wygięły mu się w uśmiechu. Melina, chyba tak powiedziała.

Lubił tę swoją melinę. Nie, to nie tak. Po prostu jej nie zauważał, nie zwracał uwagi na to, jak mieszka. Zmywał naczynia, gdy brakło mu czystych. Wyrzucał śmieci, gdy widział robaki. Resztą się nie przejmował. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż utrzymywanie porządku.

Lizzie widocznie odczuwała ich brak. Trochę go to dziwiło. Zajmowała się sztuką, pracowała w barze. W dodatku to jej powiązanie z mordercą. Czy to wszystko zbyt mało, żeby poświęcić się czemuś ważniejszemu niż woskowanie podłogi?

Po prostu potrzebny jej mężczyzna, pomyślał i znów uśmiechnął się do siebie. Potrzebny jej ktoś, kto zajmie ją tak bardzo, że zapomni o brudnych talerzach i nie wyrzuconych śmieciach. Kto porwie ją na ten cienki materac w rogu pokoju.

Wyobraził sobie ich ubrania porozrzucane w nieładzie, nagie ciała splecione na podłodze.

- Dość - powiedział głośno. Dość fantazjowania. Lizzie nie jest dla niego. Tej dziewczynie potrzebny jest ktoś, kto skupi się wyłącznie na niej. Kto będzie ją kochał. Dzięki komu z jej oczu zniknie troska. Damien wiedział, że nie on jest tym mężczyzną.

I po raz pierwszy, od kiedy pamiętał, żałował, że tak nie jest.

Zaparkował swojego austina na chodniku. Stąd może swobodnie obserwować jej dom. Zobaczy, jeśli ktoś będzie chciał dostać się do środka. Nie przypuszczał, żeby coś takiego miało się wydarzyć, ale nie mógł po prostu założyć, że Lizzie jest bezpieczna, i spokojnie wrócić do domu.

Będzie siedzieć i patrzeć. I tak prawie nie sypia. Zamiast przemierzać w tę i z powrotem własne mieszkanie, równie dobrze może spędzić tę noc w samochodzie.

Wyciągnął się w popękany, skórzany fotelu. Ulice były prawie puste, Tylko jakaś bezdomna kobieta, jakich niezliczone rzesze w Kalifornii, szła powoli chodnikiem. W obu rękach dźwigała torby na zakupy. Spódnice płątały jej się między spuchniętymi kostkami. Tłuste, siwe włosy przewiązała brudną chustką. Pod nosem mruzczała jakąś piosenkę. Damien próbował zrozumieć słowa, ale zlewały się w jedną, bełkotliwą całość, Brzmiało to jak jakaś stara, dziecięca rymowanka, której nigdy przedtem nie słyszał.

Nieoczekiwanie kobieta zatrzymała się przed domem Lizzie. Damien natychmiast odczuł gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny,

lecz po chwili starucha ruszyła dalej swoją drogą, mruczając pod nosem coś o mydle do golenia. Potem zniknęła w ciemnościach.

Damien spróbował się rozluźnić. Światło w mieszkaniu Lizzie ciągle się paliło. Zaczął żałować, że okna nie są większe i pozbawione zasłon. Mógłby wtedy, niczym zwykły podglądacz, patrzeć jak się rozbiera, ożywić wlokący się czas, popuszczając wodze erotycznej wyobraźni. Widzieć jej miękkie piersi, długie nogi, mocne ramiona i szopę rudych włosów. Gdyby spotkali się w innym czasie, może przynajmniej mieliby choć ułamek szansy na udany związek.

Coś w jej oczach mówiło mu, że taki czas być może kiedyś nastąpi. Chciał w to uwierzyć, lecz wiedział, że powinien porzucić wszelką nadzieję.

Bezdomna kobieta wędrowała ulicami. Torby ciążyły jej w rękach, ale nie narzekała. Dzięki nim zawsze miała przy sobie wszelkie narzędzia potrzebne w jej fachu, była więc zadowolona. O, w tej torbie z reklamą Giorgio ukryła maskę. Musi pamiętać, żeby brać plastikowe reklamówki na noże. Te z papieru nasiąkały krwią.

Nikt jej nie zaczepiał. To dobrze, bo gdyby spróbował, mógłby tego żałować. Lepiej niech myślą, że jest bezbronną staruchą mruczącą bezsensowne piosenki. Muszą pozostać nieświadomi jej mocy.

Miała nadzieję osiągnąć swój cel już tej nocy. Chciała wrócić do mieszkania Lizzie Stride, ale zrozumiała, że odpowiedni czas jeszcze nie nadszedł. Musi poczekać na idealny moment. W dodatku, w samochodzie przed domem, siedział ten dziennikarz i nie spuszczał z

niej oka. Wiedziała, że niczego nie podejrzewa, ale jednak tam siedział i się gapił. Musi jeszcze poczekać.

Nie szkodzi. Przecież czeka już tak długo. Ponad sto lat jeśli chodzi o ścisłość. Może poczekać jeszcze kilka dni.

Póki co, ma jeszcze parę rzeczy do zrobienia, a czas nagli. Mruczając pod nosem, przyspieszyła kroku w poszukiwaniu kolejnej ofiary.

Lizzie śniła. Nie było w tym śnie ani krwi, ani potworów. Nie było masek i śmierci. Śnił jej się Damien.

Damien, którego długie, delikatne dłonie gładziły jej rozgrzaną skórę. Widziała jego ciemne, udreżone oczy. Wąskie, twarde wargi całowały ją namiętnie. Lizzie czuła ich smak. Był to smak ciemności, seksu, obsesji; smak, przed którym uciekała przez całe życie. Jednak nie wzbraniała się. Odwzajemniała jego pocałunki. Pragnęła go coraz bardziej.

Kiedy ją przygarnął, poczuła twarde mięśnie pod jego gładką skórą. Czuła, jak dłońmi niecierpliwie przedziera się przez kolejne warstwy jej ubrania. Przywarła do niego całym ciałem. Był jej tak samo potrzebny, jak ona jemu.

Nagle coś wyrwało ją ze snu. Obudziła się zlaną zimnym potem. Ręce jej drżały. Chciała tam wrócić, wiedziała, że w tym śnie kryły się odpowiedzi na dręczące ją pytania i że nie zdążyła ich poznać. Odeszły wraz ze snem, z którego wyrwało ją przenikliwe dzwonienie telefonu.

Lizzie nie chciała podnosić słuchawki. Spojrzała na zegar - dochodziła szósta rano. Słońce pewnie już wstało, ale tu ciągle siąpił deszcz. Kolejny okropny dzień. A dzwonek telefonu mógł zwiastować tylko kolejne nieszczęście.

Czekała, aż włączy się sekretarka, telefon dzwonił jednak bez przerwy, nie zostawiając jej wyboru.

Wiedziała, że to Adamson, jeszcze zanim się odezwał. Że chce ją poinformować o następnej śmierci. Wiedziała też, o co powinna się go spytać.

- Chce pani, żebym przysłał samochód? - zaproponował troskliwie. - Nie zabiorę pani zbyt wiele czasu. W końcu przerabialiśmy to już kilka razy.

- Sama przyjadę. Niech pan tylko powie, jaką maskę miała na twarzy?

- A czy to ma znaczenie? - Adamson wyraźnie tracił cierpliwość.

- Ma.

- Nie wiem, jak ją pani nazwała. Maską starszej kobiety. Pulchne policzki, siwe włosy. Taka...

- Damulka - Lizzie skończyła za niego.

- Właśnie. Dlaczego pani pyta?

- Wyjaśnię, jak przyjadę. Będę u pana za pół godziny. Zanim zdążyła o czymkolwiek pomyśleć, była już pod prysznicem. Ubrała się w luźne dzinsy i przypłowała bluzkę. Mokre włosy związała w węzeł na karku. Dopiero gdy znalazła się w porannym deszczu, przypomniała sobie o zepsutym wozie.

Przez chwilę wahała się, co zrobić. Wtedy zauważyła stary sportowy samochód zaparkowany kilka metrów dalej.

Podeszła do niego bez zastanowienia. Damien siedział pogrążony we śnie na przednim siedzeniu. Na jego szczupłej twarzy malowało się wyczerpanie. Zrobiło jej się go żal, najchętniej w ogóle by go nie budziła, otworzyła jednak drzwiczki od strony pasażera i wsiadła do środka. Damien poderwał się ze snu.

- Jeśli mnie pilnujesz, nie powinieneś zasypiać - powiedziała uszczypliwie.

Zamrugnął powiekami, rozcierając zeszywniałą szczękę. W samochodzie unosił się zapach mokrej skóry i papierosów. Na podłodze poniewierały się papierowe kubki po kawie - świadectwo długiej, nieprzespanej nocy.

- Odpłynąłem na chwilę. - Damien wyprostował się w fotelu. - Co się stało?

- Muszę dojechać do komisariatu.

- Zamordował następną?

- Skąd wiesz? Nigdy nie zgadniesz, co ta biedaczka miała na twarzy.

- Maskę „Damulki”? - Gwałtownym ruchem nadgarstka przekreślił kluczyk w stacyjce. - Dlaczego nie przysłali samochodu?

- Chyba zaczynają się do mnie przyzwyczajać. Powtórzą te same pytania i odeślą mnie do domu.

- Nie tym razem. Wczoraj Rozpruwacz był w twoim mieszkaniu. Teraz mają jakiś trop. Może zostawił odcisk palca, albo przynajmniej

odrobinę łupieżu. Cokolwiek. - Wyjechali na pustą o tak wczesnej porze ulicę. - Powiedziałaś im wczoraj, że się włamał?

- Próbowałam. - Lizzie patrzyła prosto przed siebie. - Miałeś rację, Adamson był nieuchwytny.

- Pewnie już wtedy znaleźli ciało. Cholera! - zaklął, uderzając pięścią w kierownicę. - Dlaczego musiałem zasnąć?!

Spojrzała na niego.

- A co to ma do rzeczy? Nie wygląda na to, żeby znaleźli je gdzieś tutaj. Niczego byś nie zauważył.

- Pewnie masz rację - odrzekł bez przekonania. Droga do komisariatu była krótka, pozostałą jej część pokonali w milczeniu.

- Idę z tobą - powiedział, gdy zatrzymali się pod komendą.

- Nie ma potrzeby.

- Wręcz przeciwnie. Byłem u ciebie wczoraj wieczorem. I tak będą chcieli ze mną pogadać, więc oszczędzę im kłopotu. Poza tym, może znaleźli coś ciekawego...

- I wydaje ci się, że ci o tym powiedzą? Akurat tobie, dziennikarzowi?

- Adamson mówi mi rzeczy, których nie powierzyłby nikomu innemu. Może dlatego, że odkryłem sprawy, o których on nie miał zielonego pojęcia. Mam lepszy dostęp do informacji. Mogę stosować przekupstwo, oni nie. Po ulicach włóczą się ludzie, którzy nigdy w życiu nie odezwą się do gliniarza, ale mi chętnie powiedzą wszystko, co chcę wiedzieć. Nieźle nam się współpracuje, to znaczy Adamsonowi i mnie - ciągnął rzeczowym tonem.

- Czyli to jemu mam podziękować za poinformowanie cię o mojej osobie? - Lizzie nie ruszała się z miejsca.

- Nie, to ja powiedziałem mu o tobie. - Damien otworzył drzwiczki.

Adamson podniósł wzrok, gdy weszli do jego biura. Na jego twarzy malowało się zdziwienie.

- Jesteście państwo razem?

- Podwiozłem ją — wyjaśnił Damien.

Lizzie otworzyła usta, żeby skorygować wrażenie, jakie musiało wywołać ich wspólne wejście, ale zmieniła zdanie. Nie obchodziło ją, co Adamson sobie pomyśli. Liczy się tylko to, żeby pojmał mordercę.

- Siadajcie, proszę. Nie wiedziałem, że państwo się znacie.

- Musiałam mu podziękować za ten artykuł. W końcu nie codziennie ktoś wystawia mnie mordercy na przynętę - powiedziała lodowatym głosem.

- Jak widzisz, nie łączą nas zbyt przyjazne stosunki - zauważył Damien. - Wczoraj wieczorem ktoś włamał się do jej mieszkania. Jediną rzeczą, jaka zginęła, była maska. Adamson zaklął.

- Dlaczego, do cholery, nie zadzwoniliście wcześniej?

- Próbowałam, ale pana nie było - wyjaśniła Lizzie. - A w ogóle, dlaczego nie powiedział mi pan o moim nazwisku?

- Nazwisku? - Adamson przymrużył powieki.

- O tym, że prawdziwy Kuba Rozpruwacz, ten z przeszłości, zamordował kobietę, która nazywała się Elizabeth Stride.

- To tylko zbieg okoliczności - zapewnił Finlay Adamson.

- Daj spokój. Nie uda ci się jej tego wcisnąć. Nie jest głupia. Nie uwierzy - wtrącił Damien.

- No dobrze, nie chciałem pani niepokoić.

- A nie sądzi pan, że należało mnie uprzedzić?

- Ten facet nie zrobił żadnego ruchu w pani kierunku.

Zdecydowanie bardziej interesuje go mordowanie prostytutek. Jednak, na wszelki wypadek, mieliśmy panią na oku. Tak długo, jak robi pani te maski, jest pani bezpieczna.

Damien nie wierzył własnym uszom.

- Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że to nieprawda. On tylko czeka na odpowiedni moment.

- To po cholere pisales ten artykul? - wybuchnął Adamson.

- Bo miałem dosyć przyglądania się, jak ten szaleniec morduje kolejne kobiety, a policjanci popijają kawę i praktycznie nic nie robią. Dzięki temu, co napisałem, może się w końcu coś ruszyć?

- Tak, tylko, że panna Stride może to przypłacić życiem. Wzięłaś to pod uwagę?

- Oczywiście. I uznałem, że warto zaryzykować.

- A kto ci dał prawo decydowania o czyimś życiu czy śmierci?

- Panowie, przestańcie się kłócić - ucięła Lizzie. -I tak już za późno, żeby coś zmienić.

- Fakt. Nie wróci pani teraz do mieszkania, panno Stride. - Adamson rzucił Damienowi niechętnie spojrzenie. - Przeczyszemy je centymetr po centymetrze. Jeżeli Rozpruwacz zostawił jakikolwiek ślad, znajdziemy go. Dostanę zgodę na umieszczenie pani w jakimś

bezpiecznym miejscu, a któraś z policjantek zamieszka u pani w charakterze przynęty.

- Nie zgadzam się.

- Chyba nie ma pani wyboru.

- Założysz się, że jesteś w błędzie? - wtrącił Damien. - Nie możesz rządzić się w jej domu bez nakazu sądu, a jeżeli to zrobisz, opiszę wszystko w gazecie, żeby mieć pewność, że Rozpruwacz nie popełni błędu.

- To co sugerujesz, skoro, jak się wydaje, przejąłeś śledztwo? - spytał Adamson oschłym głosem.

- I tak dowiem się więcej niż ty. Wyślesz Lizzie do hotelu i przydzielisz jej kogoś z ochrony. Będziesz obserwował jej mieszkanie, ale nie wprowadzisz nikogo do środka. Musiał mu się już skończyć zapas masek. Zabrał tylko jedną i już ją zużył. Jeśli chce dalej zabijać, musi przyjść po następne. Spłoszy się, gdy zobaczy, że weszycie w jej mieszkaniu.

- Ale może udałoby nam się znaleźć jakieś odciski?

- Nawet gdybyście coś znaleźli, to i tak nic z tego nie będziecie mieli. Szansa na to, że był notowany, jest znikoma. Te zbrodnie nie są dziełem żadnego recydywisty. Jestem pewien, że ten gość wygląda i zachowuje się normalnie. Może nim być jakiś biznesmen, prawnik, gliniarz albo dziennikarz.

- Dziennikarz? Jeśli myślisz, że wyglądasz i zachowujesz się normalnie, to jesteś w błędzie - zauważyła Lizzie.

Przypuszczała, że Damien obrzuci ją wściekłym spojrzeniem, ale spotkało ją coś jeszcze gorszego. W jego oczach malował się cień rozbawienia, a wąskie usta wygięły się w jakimś złośliwym, upiornym uśmiechu. Kiedyś, w przeszłości, ktoś patrzył już na nią w ten sposób, była tego pewna. Poczwała, że robi jej się gorąco. Dlaczego nie może sobie przypomnieć? I jak, na Boga, zareagowałaby, gdyby Damien naprawdę się do niej uśmiechnął?

- Nie zamierzam się z tobą spierać. Chodzi o to, że Rozpruwacz to nie jakiś podejrzany typ kręcący się po bocznych uliczkach. On musi wyglądać normalnie. On albo ona.

Minęło parę sekund, zanim Lizzie zrozumiała, co miał na myśli. Ogarnęła ją wściekłość.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że przez całą noc nie wychodziłam z domu.

- Przecież zasnąłem w samochodzie.

- Więc sądzisz, że Rozpruwacz to ja?

- Nie, ale uważam, że nie można nikogo wykluczyć. Nawet mnie samego.

Lizzie spojrzała ze zdumieniem w jego śniadą, udęczoną twarz. I w oczy; zmrużone oczy, które już kiedyś widziała

- Tak, nawet ciebie samego - zgodziła się i pośpiesznie odwróciła wzrok.

- Co to ma znaczyć, że nic nie poradzisz? - wściekał się Damien.
- Więc co ona ma zrobić? Dać się zarznąć tu, na schodach posterunku?
- Ciszej! - syknął Adamson. - Chcesz, żeby cię usłyszała? Chyba jest już dostatecznie wystraszona.

Damien spoglądał przez przydymioną szybę na salę, którą trzeba było przejść, żeby dostać się do gabinetu Adamsona. Przy jednym ze zniszczonych biurek siedziała Lizzie, pogrążona w rozmowie z policjantem. Nie zdawała sobie sprawy, że się jej przygląda. Sprawiała wrażenie wyraźnie zmęczonej. Oczy miała podkrążone, wokół warg zarysowały się zmarszczki. Niewątpliwie, podobnie jak on sam, była spięta i wyczerpana, i trudno było się temu dziwić. Na pewno jednak nie wyglądała na wystraszoną.

- Nie doceniasz jej - powiedział. - Radzi sobie wyjątkowo dobrze, co oczywiście nie znaczy, że nie ma powodu, by się bać. Wcześniej czy później Rozpruwacz się o nią upomni. Chyba że zapewnisz jej całodobową ochronę.

- Słyszałeś chyba o kryzysie. Nie mamy pieniędzy. - Adamson rozłożył bezradnie dłonie. - Wiesz przecież, że bym to zrobił, gdybym tylko mógł. Pytałem, ale nie da rady. Po prostu nie ma funduszy. Tyle kobiet znajduje się teraz w niebezpieczeństwie. Mamy za mało ludzi, żeby zapewnić jej jedynej stałą ochronę, nawet jeżeli przez te maski jest jakoś związana ze sprawą. Poza tym, mamy do czynienia z cholernie inteligentnym facetem. Mało prawdopodobne, żeby chciał

się znowu włamać. Następną maskę pewnie kupi w sklepie. Będziemy mieć tę dziewczynę na oku, tyle przynajmniej mogę ci obiecać.

- Niezbyt wiele - zauważył Damien, czując, że ogarnia go wściekłość.

- A ty? Co zamierzasz zrobić?

- To, co powinno należeć do ciebie. - Damien otworzył z trzaskiem drzwi. Lizzie odruchowo uniosła głowę. Uderzył go naturalny wyraz jej twarzy. Nie, nie może pozwolić sobie na żadne komplikacje, na żadne uczucia czy emocje. Na nią.

- Co zamierzasz zrobić? - Adamson powoli pytał.

Damien zignorował go. Chwycił Lizzie za ramię.

- Chodź, idziemy stąd.

- Jeszcze nie skończyłam...

- Wychodzimy.

Lizzie podniosła się z krzesła. Spodziewał się, że zacznie protestować, przynajmniej dla zachowania pozorów, jednak nawet nie próbowała. Szła obok niego i nie zadawała żadnych pytań. Mimo że była wysoka, sięgała mu tylko do ramienia. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie silnej kobiety, lecz Damien domyślał się, jak bardzo musi czuć się bezbronna. Doceniał jej niewyzywającą, a zarazem ognistą urodę. Wyglądała tak ślicznie, że miał ochotę zatrzymać się na środku korytarza, wziąć ją w ramiona, zagłębić dłonie w te gęste, rude włosy i całować do utraty tchu.

Wyprowadził Lizzie na schody prowadzące do budynku komendy. Znowu znaleźli się w deszczu. Ciągle trzymał rękę na jej ramieniu.

- Dokąd jedziemy? - zapytała w końcu od niechcienia, tak jakby niewiele ją to obchodziło.

- Do motelu.

- Wybij to sobie z głowy - zaprotestowała, odruchowo odsuwając się od niego. - To, że jestem ci posłuszna, że w sumie cię lubię i że nawet mi się podobasz, nie znaczy jeszcze, że zupełnie straciłam rozum. Nie jadę do żadnego motelu.

- Policja nie zamierza cię chronić - wyjaśnił Damien. Żałował, że musi przerwać wyznanie, które zabrzmiało całkiem interesująco. - Adamson nie uzyskał na to zgody, więc nie możesz wrócić do domu i siedzieć tam w charakterze przynęty. A że pewnie wolałabyś stanąć oko w oko z Rozpruwaczem niż zamieszkać w mojej melinie, więc postanowiłem zawieźć cię do motelu. Dopiero tam, pod zmienionym nazwiskiem, będziesz bezpieczna.

- Ach tak. - Lizzie zarumieniła się. - Przepraszam, źle cię zrozumiałam. Kiedy wspomniałeś o motelu...

- Nie żebym miał coś przeciw pójściu z tobą do łóżka - przerwał jej. Cała ta sytuacja zaczynała mu się podobać. - Nie będzie tam zbyt wielu atrakcji, więc może to lepsze niż zwiedzanie motelowych kiosków.

- Idź do diabła!

- Więc kiedy uznałaś, że ci się podobam?

- Daruj sobie, dobrze? - Ruszyła przodem, ale Damien chwycił ją za rękę i obrócił ku sobie. Spojrzała w jego oczy. Przynajmniej raz niczego nie ukrywał. Pragnął jej i było to widać.

Jak mogłam coś takiego powiedzieć, zastanawiała się Lizzie, wsiadając do rozklekotanego wozu. Brak snu i poczucie zagrożenia chyba pomieszały jej w głowie. Jak mogła powiedzieć komuś takiemu, że jej się podoba. Szczególnie, że sama nie rozumiała, jak mogło jej się to przydarzyć.

Wiązała to po trosze ze snem, który miała tej nocy, i z kołaczącymi się jej po głowie dziwnymi okruciami pamięci. Zdawało jej się, że kiedyś go знаła i pragnęła. Może w jakimś poprzednim wcieleniu, bo na pewno nie w obecnym.

Spojrzała na niego kątem oka. Damien w skupieniu prowadził samochód. Palił papierosa i prawie nie zwracał na nią uwagi. Pomyślała, że powinna wyciągnąć się w fotelu i odprężyć. Na próżno. W obecności tego mężczyzny nigdy nie zazna spokoju.

Jechali autostradą, zostawiwszy za sobą zabudowania Venice. Lizzie łudziła się, że jak tylko opuszczą miasto, na niebie ukaże się słońce. Niestety, krople nadal miarowo uderzały o karoserię. Oparła się wygodnie i zamknęła oczy. Zmęczenie wzięło górę. Obudziła się dopiero, gdy poczuła czyjeś ręce na swoich dłoniach. Zmieszła się.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił cicho. - Już nas zameldowałem. Spałaś jak nieżywa.

Lizzie przeszedł dreszcz.

- Daruj sobie takie porównania. Gdzie jesteśmy?

- W małym motelu pod West Covina. Rozpruwacz nigdy nie tknął nikogo poza granicami Venice. Jesteśmy tu zupełnie bezpieczni.

- Jesteśmy?

- Zostaję z tobą. Nie rób znowu kwaśnej miny. Mój jedyny zamiar wobec twojego ciała, to zachować je w jednym kawałku. No, chodź już.

Po chwili znaleźli się w podrzędnym motelu, jednym z tych, jakie Lizzie widywała w kiepskich filmach. Dobrze, że przynajmniej było w nim czysto.

- Jest tylko jedno łóżko - zauważyła, rozglądając się po pokoju.

- O, umiesz nawet liczyć. - Damien nie mógł darować sobie tej drobnej złośliwości. - Nic innego nie mieli. Ale nie przejmuj się, możemy spać na zmianę. Poza tym, ja w ogóle mało sypiam.

- Jak długo mamy tu zostać?

- Dopóki nie wymyślę czegoś lepszego. Może, przy odrobinie szczęścia, policja trafi wreszcie na jakiś ślad, przymknie faceta i będziemy mogli powiedzieć sobie „do widzenia”.

- Od kiedy to wierzysz w szczęście?

- W ogóle nie wierzę. Już prędzej w pecha. No dobra, nie gadaj, tylko połóż się i zdrzemnij, a ja tymczasem wykombinuję coś do jedzenia.

- Nie jestem głodna.

- Ani ja.

Stał zdecydowanie zbyt blisko. Był wręcz nieprzyzwoicie wysoki, lecz to nie jego wzrost działał na Lizzie tak oszalamiająco.

Już raczej ta ponura aura, jaką wokół siebie roztaczał, tajemniczość, pasja. Pociągał i przerażał ją w sposób, którego nie była w stanie zrozumieć.

- No to powiedz w końcu - rzekł niskim, tkliwym głosem, który wpływał na nią niebezpiecznie kojąco - kiedy doszłaś do wniosku, że ci się podobam?

- Żartowałam - wyjaśniła, choć wiedziała, że i tak jej nie wierzy. Jego ciemne, pełne udręki oczy dostrzegały stanowczo zbyt wiele.

Usta wygięły mu się w bladym uśmiechu.

- Bardzo śmieszne - zauważył. - Mówiliśmy już o tym, że masz kiepski gust jeśli chodzi o mężczyzn.

Od dwóch lat nie miałaś nikogo. Nic nie wskazuje na to, żebym to ja miał zmienić twoje poglądy na te rzeczy.

Nie wiedziała, od czego zacząć. Czy ma nawrzeszczyć na niego za mieszanie się w nie swoje sprawy, czy wyjaśnić, że nie ma najmniejszej ochoty na zmianę poglądów. Wybrała łatwiejsze rozwiązanie.

- Z kim rozmawiałeś na mój temat? Czy jest coś, czego o mnie nie wiesz?

- Wątpię. - Odsunął się od niej i usiadł w starym, zniszczonym fotelu, który zatrzeszczał ostrzegawczo pod jego ciężarem. - Ludzie uwielbiają zwierzać się dziennikarzom. W ten sposób przynajmniej przez kwadrans czują się naprawdę ważni. Musiałem tylko znaleźć odpowiednie osoby i zadać im odpowiednie pytania. I tak oto twoje życie stało się otwartą książką.

- Chyba niezbyt ciekawą - zauważyła cierpko.

- Tego bym nie powiedział. - Wyciągnął przed siebie nieprawdopodobnej długości nogi. Chodził w tym samym ubraniu, w którym spał. Miał na sobie wypchane, spłowiałe džinsy, starą koszulę w kolorze khaki i zniszczone, sportowe buty. Jeszcze dzień lub dwa i dawno nie golony ciemny zarost zasłuży na miano brody.

- To co? Zjemy coś później? - zapytał.

- Nie jestem głodna. - Lizzie przyglądała się mu z mimowolnym zafascynowaniem. Wyglądał, jakby lada moment miał spaść z krzesła.

- Kiedyś wreszcie będziesz musiała coś zjeść - powiedział z głębokim przekonaniem. - Jeżeli czegokolwiek nauczyłem się w ciągu ostatnich miesięcy, to tego, że żeby móc działać, trzeba jeść.

- Nie wyglądasz na kogoś, kto jada zbyt dużo.

- Tyle ile trzeba - odpowiedział. - Za parę minut skoczę po kawę... - zaczął i umilkł w pół zdania.

Lizzie cierpliwie oczekiwała dalszego ciągu. Minęła chyba minuta, zanim zorientowała się, że więcej nic nie usłyszy. Damien zasnął.

Uklękła obok fotela i zaczęła wpatrywać się w niego z niemym podziwem. Chciała dotknąć tych długich dłoni, obudzić go i poprowadzić do łóżka. Wiedziała jednak, że gdyby tak zrobiła, popełniłaby niewybaczalny błąd. Damien pewnie rozbudziłby się na dobre, albo pociągnął ją za sobą. A na to Lizzie nie była jeszcze przygotowana.

W pokoju panował chłód i wilgoć. Nigdzie nie mogła znaleźć dodatkowych kocy. W końcu zdjęła z łóżka pluszową narzutę i troskliwie okryła nią pogrążonego we śnie mężczyznę. Nawet się nie poruszył. Ostrożnie położyła mu dłoń na czole i zaczęła gładzić długie włosy opadające mu na twarz. Damien dalej spał.

Nachyliła się i najdelikatniej jak umiała, musnęła wargami jego usta. Poczowała ciepły oddech na twarzy. Nagle cofnęła się, jakby przestraszyła się tego, co robi.

Zrzuciła buty ze stóp i skierowała się do łóżka. Pomyślała, że tylko bezsenność i napięcie, w którym żyła od kilku tygodni, mogą podsuwać jej tak szalone pomysły. W dodatku rzeczywiście od dwóch lat żyje w samotności. Przecież musi istnieć jakieś logiczne wyjaśnienie tego zawrotu głowy i głębokiego poczucia nieuchronności, jakiemu uległa, w chwili kiedy spotkała Damiena.

W tej chwili jednak obca jej była wszelka logika. Pragnęła tylko, żeby się obudził i wziął ją w ramiona, żeby całował ją i pomógł zapomnieć o maskach, morderstwach i nie kończącym się deszczu. Chciała wymazać z pamięci wszystko, wszystko oprócz niego.

Wyłączyła lampkę przy łóżku. Pokój pogrążył się w półmroku. Na zewnątrz padał deszcz, ale tu, w środku, byli bezpieczni. Znajdują się przecież daleko od Venice. Jest środek dnia. Rozpruwacz na pewno odpoczywa.

Im obojgu należy się to samo.

Damien śnił. Zaczęło się zupełnie przyjemnie, a takie sny ostatnio nie zdarzały mu się często. Czyjeś ręce gładziły go czule,

miękkie wargi muskały usta. Gdyby tylko był w stanie wyzwolić w sobie jakąkolwiek energię, odwzajemniłby pocałunek, jednak nie mógł się nawet poruszyć. Pograżony we śnie, mógł jedynie przeczuwać, co się dzieje wokół niego.

Odsunęła się, pozostawiając go z głębokim poczuciem niezaspokojenia. Wiedział, że przed chwilą klęczała obok. Miał nadzieję, że zdejmie z niego okrycie, rozepnie pasek przy spodniach. Chciał czuć jej usta, zapomnieć o udręce i cierpieniu, zatrzymać jedynie to pulsujące pragnienie, którego spełnienie było tak blisko.

A jednak odsunęła się. Choć pragnął jej aż do bólu, nie był w stanie otworzyć oczu i wyciągnąć ręki, żeby ją zatrzymać. Szelest pościeli i skrzypienie łóżka jeszcze bardziej wzmogło to pragnienie. Wiedział, że jeśli się obudzi, będzie ją miał, niezależnie od jej woli. Jeżeli nie jest gotowa, żeby go przyjąć, potrafi sprawić, że go zapragnie. Mógłby zatracić się w jej pięknym ciele i zapomnieć o wszystkim, choćby na moment.

Nie odważył się jednak. Dookoła czaiły się demony. Nie wiedział, skąd przybędzie morderca. Ze spływających deszczem uliczek, z oddali wieków, czy z jego własnej, pokręconej duszy.

Zapadł w trochę głębszy sen. Czuł kojący wpływ jej równego oddechu. Wrócił do czasów, kiedy znał wszystkie odpowiedzi, kiedy liczył się tylko kolejny artykuł, kolejna nagroda i różne rzeczy, które mógł kupić za pieniądze. Kiedy życie było proste i próżne. Kiedy miał jeszcze duszę.

Tamta dziewczyna nie krzyczała. Wpatrywał się w nią z bezradną fascynacją, a płomienie sięgały coraz wyżej. Zajął jej ubranie i długie, czarne włosy. Zdawało mu się, że żar topi jej ciało tuż przed jego oczami. Potem płomienie zajął też pusty już kanister, a dziewczyna stała się żywą pochodnią na tle mroku nocy. Nie krzyczała.

To on krzyczał. Lecz jego świdrujący krzyk zlał się z rykiem syren policyjnych i ogólnym tumultem. Stała tak blisko, że mógł dotknąć ją ręką, mógł ją powstrzymać. Ale czekał zbyt długo, wężąc materiał na następny sensacyjny artykuł, licząc na kolejną nagrodę.

Ciągle czuł ten zapach - swąd benzyny i płonącego ciała, włosów, ubrania i tanich plastikowych butów. Ten swąd miał go prześladować już zawsze. Swąd i poczucie winy.

Niebo było czerwone. Nie miał ochoty opuszczać Venice, lecz ogarnęła go wściekłość. Zapłaci mu za to.

Wcale mu się nie śpieszy, żeby z nią skończyć. Na razie jest z siebie zadowolony. Z siebie i z paniki, jaką wywołał w mieście. Jak z nią skończy, skończy się też i jego misja, a przecież wcale nie o to chodzi.

Jednak dziewczyna może próbować wyjechać.

Na próżno. Prędzej czy później i tak ją dopadnie. Będzie musiała wrócić do Los Angeles. Nie jest tylko pewien, czy może czekać. Lubi porządek i przywiązuje wagę do szczegółów. Jeśli Lizzie wyjedzie, zabraknie mu masek i będzie musiał zatrzymać się, nie osiągnąwszy celu. Nie, to się nie może powtórzyć.

Odnalezienie ich okazało się dość proste. Zbyt wielu ludzi ich pilnowało, a numer rejestracyjny samochodu Damiena był powszechnie znany. Wszyscy policjanci mieli go w swoich komputerach. Zatrzymali się w małym motelu w West Covina. Jeśli ruch nie będzie zbyt duży, dojedzie tam za jakieś pół godziny.

Nie wiedział jeszcze, co robi, gdy tam dotrze. Na tylnym siedzeniu samochodu leżała maska i czyste, naostrzone noże. Musi ją dostać, kiedy będzie sama;

Nie zamierza skrzywdzić Damiena. Nie w tym wcieleniu. Podobnie jak nie tknął go poprzednio. Kazać mu żyć ze świadomością tego, co się stało, z pamięcią, która piekła niczym żywa rana, to dopiero nagroda. Tak mu jest pisane. Natomiast Lizzie Stride zawsze była jego przeznaczeniem. Teraz, nareszcie, powtórzyła się szansa, którą już raz zmarnował wiele lat temu.

Nie zwróci niczyjej uwagi. Tym razem jest zwykłym, niepozornym facetem, średniego wzrostu i w średnim wieku. Wygląda jak tysiące podobnych mu mężczyzn w niezbyt drogich garniturach, którzy o tej porze wracają z pracy do domów na przedmieściach. Tylko raz zatrzyma się po drodze. Nie na drinka i nie w poszukiwaniu przelotnych, erotycznych wrażeń na tylnym siedzeniu samochodu. Zatrzyma się, żeby zadać śmierć.

Zaparkował w zacienionym miejscu naprzeciwko motelu. Potrafi być nieskończenie cierpliwy. W końcu jedno z nich wyjdzie i Lizzie znajdzie się bez ochrony. Wtedy będzie mógł ukończyć dzieło rozpoczęte przed stuleciem.

Zastanawiał się, co mogą tam robić. Popuścił wodze wyobraźni. Niecne, odrażające rzeczy. Splątane ciała, dyszące usta. Zepsucie. Nic dziwnego, że nie zapalają światła, mimo że już zaczęło się ściemniać. Ciekawe, jakie dźwięki dobiegłyby go, gdyby podszedł bliżej okna.

Spoconymi dłońmi kurczowo ścisnął kierownicę. Oddech miał płytki, nierówny. Dobrze. Bardzo dobrze. Jednak wszystkie są zbrukane. Mimo że taki jest wyrok opatrności, do tej chwili nie mógł skrzywdzić Elizabeth Stride. Była czysta i to ją chroniło. Teraz już nie może mu przeszkodzić.

Kiedyś zastanawiał się nawet, czy ta przypadkiem nie jest inna niż wszystkie. Może lepsza? Nie powinien był się łudzić. Wszystkie kobiety są chore, wszystkie są uosobieniem zepsucia. Wszystkie, od początku istnienia, mają tylko jeden cel: zniszczyć rodzaj męski. To co, że Elizabeth Stride ma miękki głos i łagodne spojrzenie? Nareszcie okazało się, że nie jest żadnym wyjątkiem.

Było już po piątej, kiedy ktoś otworzył białe drzwi pokoju nr 13. Wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że to Damien, że wyjdzie i zostawi ją samą w pokoju, gdzie on będzie mógł zakończyć swoją misję. W drzwiach jednak ukazała się Lizzie. Długie, wyzywająco rude włosy spływały jej po plecach.

Nie wyglądała wprawdzie, jakby przez ostatnich kilka godzin oddawała się miłosnym igraszkom, ale to oczywiście żaden dowód. Teraz nadeszła ta chwila, na którą czekał tak długo. Nie może pozwolić sobie na żadne wątpliwości.

Zadbaną dłonią sięgnął po skórzaną torbę na tylnym siedzeniu. Usłyszał brzęk uderzających o siebie noży. Wsiadł z samochodu i ruszył mokrą alejką w ślad za swoim przeznaczeniem.

Lizzie umierała z głodu. Obudziła się oszołomiona i nieprzytomnie głodna. Minęło kilkanaście sekund, zanim zorientowała się, gdzie jest i dlaczego tu się znalazła. Damien ciągle spał, skulony w fotelu. Nawet się nie poruszył, kiedy na palcach przeszła do łazienki. Cienka narzuta, którą go nakryła, spadła na podłogę. Lizzie oparła się pokusie, żeby ponownie okryć jego długie, kanciaste ciało. Tym razem, po kilku godzinach głębokiego snu, mógłby się obudzić i nie zostawić jej w spokoju. W półśnie mógłby sięgnąć po to, czego nie wzięłyby na jawie, a na to nie chciała pozwolić. W ogóle powinna wybić go sobie z głowy. Coś jej mówiło, że tak długo, jak zdoła się oprzeć własnym pragnieniom, pozostanie względnie bezpieczna.

Gdzieś w pobliżu musi być jakieś miejsce, gdzie można coś zjeść, pomyślała. Damien obiecywał, że wyjdzie po kawę. Na pewno uda jej się znaleźć jakiś sklep albo barek. Oddałaby duszę za hamburgera.

Nie weźmie samochodu. Damien schował kluczyki do kieszeni spodni i Lizzie pod żadnym pozorem nie zamierza po nie sięgać. W najgorszym przypadku, jeśli niczego nie znajdzie, w recepcji jest pewnie automat ze słodyczami.

Na dworze ciągle padał deszcz. Przespali cały dzień. Zapadł już zmierzch. Lizzie doznała dziwnego uczucia, że ktoś ją obserwuje, ktoś nie znany, niebezpieczny. Uznała, że to absurd, produkt chorej

wyobraźni. Przecież Rozpruwacz został w Venice. Jakim cudem miałby się znaleźć w takiej dziurze jak West Covina?

Ruszyła chodnikiem. Czuła na plecach krople deszczu. Na rogu obejrzała się za siebie. Ulicą szło tylko dwoje ludzi. Facet w średnim wieku, wyglądający na biznesmena, i jakaś nastolatka. Żadne z nich nie przypominało maniakalnego mordercy. W dodatku oboje byli wyraźnie zajęci własnymi sprawami. Lizzie zignorowała ich i przeszła na drugą stronę ulicy, w kierunku ruchliwego skrzyżowania.

Damien zerwał się z fotela. Pokój tonął w ciemnościach. Z zewnątrz dobiegał go odgłos deszczu i ulicznego ruchu. Nie musiał sprawdzać, żeby zrozumieć, że jest w pokoju sam. Lizzie wyszła. Sama. A morderca czaił się gdzieś niedaleko.

Z krzykiem rzucił się ku drzwiom, depcząc narzutę zwiniętą na podłodze. Na parkingu nie było nikogo. Serce zaczęło walić mu jak młot. W niewyjaśniony sposób podświadomie czuł, że Rozpruwacz jest blisko.

Zatrzymał się na chwilę. W jakim kierunku mogła się udać? W tej samej chwili usłyszał wołanie. Właściwie nawet nie wołanie, tylko krótki jęk, jakby westchnienie. Natychmiast zrozumiał, że to westchnienie śmierci.

- Lizzie! - zawył jak zwierzę i zdjęty paniką pognął przez parking. Stopy ślizgały mu się na mokrych płytach chodnika. Biegł na oślep, nie mogąc uwierzyć, że śmierć nastąpiła tak szybko, przez jedną chwilę nieuwagi. Że morderca zdążył ją zabić.

Zderzył się z Lizzie, zanim uświadomił sobie, co właściwie zamierza zrobić. Wynurzyła się zza rogu, niosąc przed sobą dużą, papierową torbę. Damien wpadł na nią z takim impetem, że zakupy znalazły się na chodniku. Odepchnął ją jak nieprzewidzianą przeszkodę i dopiero wtedy uświadomił sobie, że owa przeszkoda to Lizzie. Cała i zdrowa.

- Co ty najlepszego wyrabiasz! On mógł cię zabić!

- krzyczał ochryplym z przejęcia głosem.

Lizzie pobladła. Przeraził ją ten nagły wybuch furii.

- Przecież nawet nie wie, że tu jesteśmy.

- Właśnie, że wie. On wie wszystko. I jest gdzieś tutaj. Mógł cię zabić.

- To ty o mało nie przestraszyłeś mnie na śmierć

- odburknęła i schyliła się, żeby zebrać porzucane zakupy. -

Jeśli o mnie chodzi, to jesteś bardziej niebezpieczny niż ten morderca.

Damien zaklął. Podniósł ją do góry. Z jednej strony, czuł wściekłość, z drugiej, paniczny strach o jej bezpieczeństwo. A Lizzie, z twarzą mokrą od deszczu, po prostu wpatrywała się w niego swymi błyszczącymi zielonymi oczami. Zanim się zorientował, co robi, było już za późno. Chwycił ją w ramiona, przyparł do muru ciągnącego się wzdłuż ulicy i pocałował.

Jej reakcja była natychmiastowa. Objęła go w pasie i przywarła do niego całym ciałem, tak jakby od tego zależało jej życie. Odwzajemniła pocałunek. Pachniała deszczem i świeżą kawą. Była w niej miłość, nadzieja i rozpacz. Damien całował jej usta, nos, powieki,

szyję. Dłonie wplótł w długie, gęste włosy. Całował ją tak, jak o tym marzył od dawna. Chciał rozerwać jej bluzkę, pieścić piersi. Chciał wciągnąć ją w cień, zedrzeć ubranie, mieć ją całą i zespolić się z nią tak, żeby nie istniała ani ona, ani on, żeby pozostała tylko niczym nie zmacona, naga miłość. Miłość stanowiąca potwierdzenie życia. Przez głowę przebiegła mu myśl, że to, co się właśnie stało, jest dla niego szansą. Szansą, którą już raz stracił.

Lizzie jęknęła. Był to jęk tęsknoty i rozpacz. Zastanowił się przez chwilę, czy sprawia jej ból. Jeśli nawet, pomyślał, to przecież ból nie istnieje bez życia. Lizzie żyje, i on żyje, i nic poza tym nie ma znaczenia.

Położył dłonie na jej piersiach. Były twarde. Płonęły pożądaniem. Chciał je całować, rozerwał zapięcie bluzki. Usłyszał, jak guziki potoczyły się po chodniku. Nawet myśl o tym, że ktoś może ich zobaczyć, nie była w stanie go powstrzymać. Namiętność wzięła górę nad rozsądkiem. Wiedział jedynie, że ustami dotyka mokrą skórę, nabrzmiące piersi. Czuł zapach jej perfum, słyszał ciche, urywane westchnienia...

Ich miłosne zapamiętanie przerwał ryk policyjnej syreny i niebieskie światła migające w ciemności. Damien odskoczył do tyłu. Był jednak na tyle przytomny, żeby zauważyć, że niechętnie wypuściła go z ramion.

Stanął kilka kroków dalej, starając się uregulować własny oddech. Czuł, że jeżeli teraz ją dotknie, będzie musiał ją mieć tu, w deszczu, na chodniku, mimo że jakaś kolejna zamordowana kobieta

leżała gdzieś nieopodal, a jej morderca nadal przebywał na wolności. Żadna siła nie byłaby go w stanie teraz powstrzymać.

Lizzie oparła się o mur. W jej oczach malowało się osłupienie. Na wargach miała ślady krwi. Stała przed nim w rozerwanej bluzce, widział jej koronkowy, zapinany z przodu stanik. Sam nie wiedział, dlaczego akurat na ten szczegół zwrócił uwagę.

- Już ją znaleźli - powiedział.

- Kogo?

- On znowu kogoś zabił. Gdzieś niedaleko. Bałem się, że ciebie.

- Skąd wiesz? Może to po prostu jakieś włamanie, albo wypadek...

- Nie, ja wiem na pewno - powiedział głosem pozbawionym wszelkiego wyrazu. - Wynośmy się stąd. Nie zamierzam wpaść na Adamsona. Mógłby pomyśleć, że nasza obecność w tym miejscu nie jest przypadkowa.

- A jest?

- Nie rozumiem.

- Pytam, czy nasza obecność tutaj jest kwestią przypadku.

Przyglądał się jej przez chwilę. Lizzie wpatrywała się w niego z udawanym spokojem. Mógł się tylko domyślać, z jakim napięciem oczekiwała odpowiedzi.

-O co ci chodzi?

- Chcę wiedzieć, czy to ty ją zabiłeś.

O mało nie wybuchnął obłąkańczym śmiechem.

- Głupie pytanie - odrzekł. - Nie jesteś na tyle naiwna, żeby mi uwierzyć.

- Czy to ty ją zabiłeś?

Damien przypomniał sobie sen i nagłe przebudzenie. Spojrzał na dłonie. Nie było na nich krwi ani żadnych innych śladów. Popatrzył na Lizzie i zrozumiał, że nie ma już siły kłamać.

- Nie wiem.

Sądził, że się odwróci i ucieknie. Wtedy musiałby ją gonić. Nie znał odpowiedzi na jej pytanie. Jedyne, co wiedział, to że gdzieś w ciemności czyha morderca. I że on, Damien, nie może dopuścić, żeby poznała prawdę, stając się kolejną ofiarą. Jeżeli to on sam jest Rozpruwaczem, Lizzie przynajmniej na razie jest bezpieczna. Zdecydowanie mniej jej zagraża w jego obecności, niż gdyby miała być sama.

- Co przez to rozumiesz? - spytała.

- To, że nic nie pamiętam. Spałem w fotelu. Być może straciłem świadomość. Mówiłem ci, że niczego nie można wykluczyć. Nawet tego, że to ja jestem mordercą.

Przez dłuższą chwilę nie spuszczała z niego wzroku. W końcu znowu nachyliła się, żeby zebrać porzucane jedzenie. Zawinęła je w podartą torbę.

- Wracamy - powiedziała cicho.

- Dokąd?

- Do motelu. Musisz w końcu coś zjeść.

- Wierzysz mi? Mimo że sam sobie nie wierzę? Na jej twarzy pojawił się blady, smutny uśmiech.

- Dam się pokroić za to, że nikogo nie zabiłeś.

- Być może właśnie tym ryzykujesz.

- Trudno.

Nie miał nic do dodania. Zrozumiał, że jeżeli jej nie zabije, to pokocha na zawsze. Sam już nie wiedział, co gorsze.

Scandalous

Lizzie spodziewała się, że nie będzie grymasił. Kupiła sok owocowy, gulasz i paczkę ziaren słonecznika. Damien zjadł wszystko, praktycznie nie zwracając uwagi na to, co kładzie do ust. Wzrok miał utkwiony w ekranie telewizora. Wiadomość o morderstwie wkrótce ukazała się w lokalnym programie. Przez niedokładnie zasłonięte okno widzieli światła lamp, którymi reporterzy oświetlali okolicę.

- Rozpruwacz zaatakował ponownie - informował telewizyjny spiker. - Stało się to dziś po raz pierwszy poza granicami Venice. Ciało zamordowanej prostytutki zostało odkryte w bocznej uliczce w West Covina. Ofiara miała podcięte gardło oraz liczne rany na ciele. Zgodnie z wcześniejszymi doniesieniami byłego reportera „Los Angeles Chronicle”, J.R. Damiena, wszystkie dotychczasowe ofiary Rozpruwacza miały twarze przykryte maskami autorstwa niejkiej Elizabeth Stride, zamieszkałej w Venice. Policja odmawia komentarzy na ten temat. W najbliższym czasie wydany zostanie oficjalny komunikat w sprawie dzisiejszego morderstwa.

- Szlag by to trafił - odezwała się Lizzie, słysząc swoje nazwisko, jednak Damien nie zareagował, tylko dalej w skupieniu wpatrywał się w ekran.

- On szukał ciebie - oznajmił.
- A skąd wiedział, że mnie tu znajdzie?
- Chyba nie wierzysz, że pojawił się tu przypadkiem.

- No nie. Wydaje mi się... - Nagłe walenie pięścią w drzwi nie pozwoliło jej dokończyć.

- Założę się, że to Adamson. - Damien wyłączył telewizor.

Nie mylił się.

- Co wy, do cholery, wyrabiacie? - Adamson jak burza wtargnął do pokoju. Przyglądał się im z gniewem. Mimo to jego pojawienie się przyniosło Lizzie ulgę. Miała nawet ochotę rzucić mu się na szyję.

Nie ruszyła się jednak z miejsca. Siedziała na łóżku z podkulonymi nogami.

- Skąd pan wiedział, że tu jesteśmy? - zapytała.

- Jeśli o to chodzi, od wielu dni nie spuszczaamy z was oka. Nie stać nas na to, żeby zapewnić pani osobistą ochronę, ale możemy przynajmniej co jakiś czas panią obserwować. Sądziiliśmy, że tu wam nic nie grozi. To był błąd. Powinniśmy byli wiedzieć, że dziś nie ma bezpiecznych miejsc.

- Kto jeszcze mógł wiedzieć, dokąd pojechaliśmy? - zapytał Damien. - Poza policją?

- Pewnie każdy, kto ma odpowiedni sprzęt do radiolokacji. Dzwoniliście do kogoś, mówiliście, gdzie będzie można was znaleźć?

- Czy ja wyglądam na idiotę? - zachnął się Damien.

Lizzie ogarnęły wyrzuty sumienia.

- Ja dzwoniłam, do przyjaciółki - szepnęła. Obaj natychmiast odwrócili się w jej kierunku.

- Po cholere to zrobiłaś? - krzyknął Damien. W tej chwili w niczym nie przypominał mężczyzny, który niewiele wcześniej całował ją namiętnie w strugach ulewnego deszczu.

- Musiałam powiedzieć Courtland, gdzie ma mnie szukać. Ona tak się o mnie boi.

- Nie bez powodu - zauważył cierpko Adamson. Tego wieczora wyglądał wyjątkowo staro. Zmierzwiłone, rzadkie, siwiejące włosy, powieki obwisłe jak u psa rasy basset i posepne spojrzenie jeszcze bardziej potęgowały to wrażenie. - Proszę podać mi jej nazwisko i adres. Musimy ją sprawdzić.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Courtland nie skrzywdziłaby nawet muchy - zaprotestowała Lizzie.

- Proszę posłuchać, panno Stride. Nie mamy zbyt dużego wyboru. Oczywiście, to może być ktoś od nas, ktoś, kto ma dostęp do naszych informacji, ale nie uwierzę w to, zanim nie dostanę stuprocentowego dowodu. Sądzę, że morderca dowiedział się o was z jakiegoś i innego źródła, i niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie dowiem się skąd.

- Postępy, jakie robicie w tej sprawie, raczej nie przysparzają wam chwały - zauważył Damien.

- Myślisz, że się tym przejmuję? Przede wszystkim muszę złapać tego szaleńca. Potem dopiero będę się martwił, czy mnie wyleją, czy nie. - Adamson nerwowym ruchem przygładził swoje rzadkie włosy. - Zostajecie tu?

- Nie - odparł Damien, zanim Lizzie zdążyła się odezwać.

- Nie ruszajcie się poza granice Los Angeles. Jak wyjedziecie, nie będziemy mogli was chronić. No i stracimy nasz jedyny trop.

- Przecież ona nie może wciąż siedzieć beczynn timerze w charakterze przynęty dla szaleńca! - zaprotestował Damien.

- Jesteś pewien, że naprawdę tak uważasz? - spytał cierpko Adamson. - Przecież chcesz złapać Rozpruwacza tak samo jak ja. Pomyśl o dochodach z książek na ten temat. W końcu po to się przy niej kręcisz. Bez skrupułów ujawniłeś jej nazwisko w prasie. Wcale ci nie chodzi o jej życie, tylko chcesz być na miejscu, kiedy po nią przyjdzie. Wtedy zaś...

Damien nie pozwolił mu dokończyć. Rzucił się na Adamsona i Lizzie nie zdążyła się nawet poruszyć, kiedy jego pięść wylądowała na szczęce policjanta. Siła uderzenia była tak duża, że Adamson zatoczył się na drzwi. Lizzie zeskoczyła z łóżka, chwyciła Damiena za rękę i odciągnęła go na bok. Nie sprzeciwiał się. W przeciwnym wypadku Lizzie z pewnością nie zdołałaby ich rozdzielić.

Adamson rozcierał obolałą szczękę. Oczy pociemniały mu z gniewu.

- Mógłbym cię za to wsadzić do pierdła - powiedział.

- Mój wydawca od razu by mnie stamtąd wyciągnął. Poza tym, jestem ci potrzebny, żeby wykonać twoją robotę. Ty nie możesz zagwarantować Lizzie bezpieczeństwa, a ja mogę.

- Tak sądzisz?

- Na pewno mogę zrobić dla niej więcej niż ty.

- No dobra, ale niech wam się nie wydaje, że możecie opuścić miasto - ostrzegł Adamson. - Jeżeli znikniecie, moi ludzie i tak was znajdą i sprowadzą z powrotem.

- Wtedy przynajmniej będzie pod ochroną policji.

- Przestańcie. Rozmawiacie o mnie tak, jakby mnie tu wcale nie było - nie wytrzymała Lizzie. - Umiem sama zadbać o siebie. Nie potrzebuję ani Damiena, ani policji.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią ze zdumieniem.

- Dobrze, nie wyjedziemy - pierwszy odezwał się Damien. - Przynajmniej tak długo, jak będę uważał, że jej szanse w Venice nie są mniejsze niż gdzie indziej. Na miejscu sam mogę jej pilnować.

- Nie wydaje ci się, że to robota policji? Na jakiej podstawie sądzisz, że możesz zrobić więcej niż my?

- Ostatnimi czasy nie dajecie zbyt wielu powodów, żeby wam ufać. Wolę polegać na sobie.

- A ja nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł działać więcej niż my. Tych morderstw nie popełnia zwykły człowiek - ciągnął Adamson poruszonym głosem. - On działa błyskawicznie, z jakąś nadprzyrodzoną siłą. Bezszelestnie. Nikt nigdy niczego nie widział ani nie słyszał. Musi mieć jakąś moc.

- Proszę przestać! - Lizzie nie mogła dłużej tego słuchać.

- Przepraszam, ma pani rację. Dałem się ponieść nerwom. Niech się pani nie boi. Złapię go, panno Stride. Złapię tego sukinsyna, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu. - Skierował się ku drzwiom. Zatrzymał go pełen sarkazmu głos Damiena.

- Rozumiem, że nie zamierzasz wnosić oskarżenia o napad na policjanta na służbie? Adamson zdobył się na blady uśmiech.

- Tym razem chyba sam nie byłem bez winy. Ale nie próbuj znowu, bo mogę być w mniej łaskawym nastroju - dodał i zatrzasnął za sobą drzwi. Lizzie i Damien zostali sami.

Nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Ponownie włączył telewizor. Na ekranie ukazała się znajoma twarz Adamsona.

- Sprawdzamy wszystkie okoliczności, ale wydaje się, że tym razem nie mamy do czynienia z samym Rozpruwaczem tylko z jego naśladowcą. Rozpruwacz z Venice nigdy dotąd nie opuszczał miasta i nie mamy podstaw, żeby sądzić, iż przeniósł się do West Covina.

- Cholera - mruknął Damien i wrócił na fotel.

- Przecież on nie wierzy w to, co mówi - zauważyła Lizzie.

- Oczywiście, że nie. Po prostu wciska kit publice. - Damien zamknął oczy. - Co do jednego ma jednak rację. Ten cały Rozpruwacz jeśli tylko zechce, to cię znajdzie. Nigdzie nie jesteś bezpieczna.

Lizzie zadrżała, choć słyszała to już wcześniej.

- Więc co sugerujesz? Mam stanąć na rogu i czekać, aż przyjdzie i poderżnie mi gardło?

- On nie ogranicza się tylko do tego.

- Przestań - powiedziała i odwróciła wzrok z niesmakiem. Nagle doznała olśnienia. Maski! Musi usunąć wszystkie maski. Jeśli ich zabraknie, może i ta krwawa seria wreszcie się zakończy. - Chcę wrócić do domu - oznajmiła stanowczym głosem.

- Gdzie? Do Michigan?

Nie chciało jej się pytać, skąd wie, że tam się urodziła. Przed nim niczego nie dało się ukryć.

- Nie, do własnego mieszkania - wyjaśniła.

- Po co? Przecież on zna twój adres.

- Twój pewnie też. On chyba wie o nas wszystko.

- Nie bierz na serio słów Adamsona. Nie mamy do czynienia z żadną nadprzyrodzoną siłą, tylko z mordercą z krwi i kości. Z rzeczywistym człowiekiem o strasznie pokręconej psychice.

- Chcę wrócić do mieszkania - upierała się Lizzie. - A potem muszę zrobić zakupy. Możesz jechać ze mną albo wrócić do swojej meliny.

- Może, dla odmiany, mógłbym skorzystać z twojej - zadrwił? - Tylko po co, do diabła, ci nagle jakieś zakupy? Co chcesz kupować?

- Moje własne maski - odrzekła bezbarwnym tonem.

Prawie ją miał. Już wyciągał ręce, żeby wciągnąć ją w boczną alejkę, kiedy zrozumiał, że musi się powstrzymać. Nie wie, co robiła w motelu, ale na pewno nie to, co sobie wyobrażał, siedząc w samochodzie. Była nietknięta, nie tarzała się w plugastwie. Teraz, niestety, był tego pewien. Dlatego nie mógł jej zabić.

Zasady zostały ściśle określone. Jego zadaniem jest wymierzać sprawiedliwość. Ukarać je wszystkie. Liz Stride ma być ostatnia. Jest wszakże jeden warunek: wszystkie muszą być naznaczone przez mężczyznę. Muszą nosić ślad swych niecnych poczynań. Muszą zginąć wkrótce po zakończeniu aktu rozpusty, ponieść karę za sprowadzanie mężczyzn z drogi, którą wskazał im sam Bóg. Muszą

umierać w grzechu. Jeśli ten warunek nie zostanie spełniony, wszystkie jego działania pójdą na marne.

Dlaczego nie uwiodła tego dziennikarza? Przecież widział ich razem. Czuł wielką siłę, z jaką przyciągali się wzajemnie. Patrzył, jak zżerało ich niezdrowe, przekłete pożądanie. Jak to możliwe, że się mu oparli?

Ta kobieta nie może go przechytrzyć. Musi być jego. To po nią wrócił, po latach, żeby zakończyć niegdyś rozpoczęte dzieło. Już więcej go nie oszuka.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, gdy w cuchnących, miesiącami niepranych łachmanach sunął ulicami. Ze wszystkich postaci, jakie przybierał, najbardziej podobali mu się bezdomni. Nikt nie patrzy im w oczy, nikt się do nich nie zbliża. Z wyjątkiem tej jednej dziwki o miękkim sercu, która wcisnęła mu w dłoń pięciodolarowy banknot, kiedy włókł się ulicą przed dwoma tygodniami. Do tej pory ma jej nerkę w lodówce.

Ręce mu zadrzały. Nie może dłużej czekać na Liz Stride. Czas ucieka, przeznaczenie goni. Niedługo niebo utraci czerwonawą barwę, deszcz przestanie padać i znowu zaświeci słońce. Rozpruwacz z Venice zniknie na zawsze, a on wróci do zwykłego, bezpiecznego życia. Jeszcze tylko trzy dni. Czuł to w kościach. Musiał się spieszyć.

Boże, po co ją pocałował? - Damien potępił sam siebie. Przecież gdyby nie policja, to w tamtej ciemnej alejce zerwałby z niej ubranie i zaspokoił swą męską żądzę. Nie pamiętał, kiedy ostatnio uprawiał seks. To jedna z tych podstawowych ludzkich potrzeb, które,

podobnie jak jedzenie i sen, nie zaprzętały ostatnio jego uwagi. Może zbyt długo nie miał żadnej kobiety i dlatego nie był w stanie oprzeć się pragnieniu? Przymusowy celibat zrobił swoje.

Nie, to nieprawda. Jest wiele kobiet, które chętnie by mu uległy. Zawsze tak było. Uważały go za przystojnego mężczyznę, a wrażenie chłodu, jakie sprawiał, czyniło go jeszcze bardziej podniecającym. Mógł przebierać, tyle że ostatnio te sprawy zupełnie przestały go obchodzić.

Aż do chwili, kiedy Lizzie Stride wparowała jak burza do jego mieszkania, a on sam musiał przyznać przed sobą, że urzekły go jej oczy, złocistorude włosy i to ciepło, które promieniowało z niej całej i do którego tak bardzo tęsknił. Od tamtej chwili w życiu Damiena pojawiło się coś więcej oprócz obsesyjnego dążenia do schwytania mordercy. Coś, czego nie chciał do siebie dopuścić. Lecz to coś samo wtargnęło w jego życie i zagościło na dobre w jego sumieniu, duszy, sercu.

Już kiedyś na pewno ją spotkał. Czuł, jak go przywołuje przez ciemny, kręty tunel wieczności. Smak jej ust, gładkość skóry były mu znajome aż do bólu. Jej ciało pozostało jednak tajemnicą. Nigdy nie tonął w jej ciepłych, mocnych ramionach. Nigdy nie słyszał jęku rozkoszy dobywającego się z jej ust.

Zmusił się, żeby skierować myśli na inny tor. Jedno jest pewne. Lizzie jest pierwszą od wielu miesięcy osobą, której udało się go skłonić do uśmiechu. Jedyłą, której udało przebić się przez gruby mur, jakim odgrodził się od świata i ludzi. Wcale mu się to nie

podobało. Właściwie ona też mu się nie podoba, wmawiał sobie z rozpaczliwym uporem. Ani jej miękkie wargi, ani gęste rude włosy. Ani piersi, ani biodra. Nie podoba mu się jej zapach i smak. Nie podziela jej poczucia humoru. A już najbardziej nie lubi jej oczu i zmarnowanego życia, którego odbicie dostrzegł w ich pełnej ciepła głębi.

Tak, skomplikowała mu życie tak bardzo, że nie wiedział już, czy sobie poradzi. W dodatku nie miał żadnej alternatywy. Nie mógł zostawić jej samej sobie. Znaczyłoby to wydanie jej na pastwę mordercy.

Oczywiście, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Rozpruwacz nie wie o swoim krwawym poprzedniku, i że fakt, że używa masek jej autorstwa, to tylko dziwny zbieg okoliczności.

Tyle że Damien wierzył w to w równym stopniu jak w istnienie Świętego Mikołaja. Rozpruwacz z Venice dobrze wie, co robi, i nikt nie jest w stanie się z nim zmierzyć.

Gdy udali się do miasta, żeby wykupić maski, Damien dowiedział się nowych rzeczy na temat Lizzie. Nie rozprowadzała swych prac przez znane galerie, ich ceny były więc niższe niż na to zasługiwały. Jak udawało jej się wiązać koniec z końcem w tak drogiej okolicy, jaką jest południowa Kalifornia? - zastanawiał się. Nie żeby szczególnie go to obchodziło, ale teraz przynajmniej rozumiał, dlaczego nie stać jej było na benzynę, żeby uciec z miasta.

Wstawiała swoje maski do maleńkich sklepików pachnących kadzidłem, oliwą i czosnkiem. Leżały między książkami na temat

New Age, kryształami o niezrozumiale wysokich cenach, butelkami pachnącej oliwy i różnymi tajemniczymi przedmiotami, których przeznaczenia nie był w stanie się domyślić.

W pierwszych dwóch sklepach, jakie odwiedzili, maski zostały sprzedane kilka tygodni wcześniej, za każdym razem innemu nabywcy. Kiedy znaleźli się przed wyjątkowo podłym, ciemnym sklepikiem, położonym w pobliżu autostrady, Lizzie oznajmiła:

- Potrzebuję pieniędzy. Rozśmieszyła go.

- Przecież już ci je proponowałem.

- Hickory na pewno ma jeszcze jedną maskę, za którą już mi zapłacił. Potrzebowałam gotówki, a on był na tyle miły, że wypłacił mi awansem. To święty człowiek, na pewno oddałby mi ją bez zapłaty, gdybym go o to poprosiła, ale mi głupio. Muszę mu zwrócić te pieniądze.

- Ile? - Damien sięgnął po portfel.

- Dużo. Hickory nalegał, żebym wzięła więcej niż jest warta, a nie wypadało mi się z nim kłócić.

- Ile?

- Sto dolarów.

Damien bez zmrużenia oka odliczył kilka wymiętych dwudziestodolarówek i podał Lizzie. Następnie otworzył drzwi samochodu.

- Nie musisz ze mną iść - powiedziała pospiesznie.

- Mimo to idę. - Zatrzasnął drzwiczki i rozejrzał się po zatłoczonym chodniku. Było po dziewiątej wieczorem, więc

prostytutki zdążyły już wylec na ulicę. Od czasu pojawienia się Rozpruwacza poruszały się w parach, ale, jak się okazało, niewiele to pomagało. W dodatku mało który klient chciał płacić za dwie i tylko niektórym odpowiadały zaloty w obecności świadków.

Sklepik Hickory'ego znajdował się dwa kroki od ponurego lokaliku ze stripteasem, naprzeciwko baru, w którym serwowano hamburgery. Damien pomyślał, że Venice nigdy nie przestanie go zadziwiać.

- Postaraj się go nie obrazić - poprosiła Lizzie, starając się dotrzymać mu kroku. - Hickory ma zadziwiające zdolności i nie waha się ich używać. Wolałabym, żebyś nie zranił jego uczuć.

- Obiecuję zachowywać się przyzwoicie. Przynajmniej dopóki nie zechce mi wróżyć z ręki.

Lizzie zrobiła dziwną minę.

- Może zechceć - odrzekła i weszła do środka.

- Wiedziałem, że przyjdiesz, płomyczku. - Z tyłu sklepu dobiegł ich głos starszego mężczyzny. W powietrzu unosił się zapach kadzidła.

- Płomyczku? - zdziwił się Damien.

- Zamknij się! - syknęła Lizzie. Na widok zmierzającego ku nim staruszka jej twarz rozjaśniła się w anielskim uśmiechu. - Hickory - powiedziała i tak serdecznie objęła przygarbioną postać, że Damien przez chwilę poczuł się zazdrosny. Nie o Lizzie, lecz o z głębi serca płynącą czułość, jaką dostrzegł w tym uścisku.

Nie żeby sam chciał jej doznać. W końcu od początku chodziło mu o to, by właśnie utrzymać dystans między nim a Lizzie. Przynajmniej do chwili, kiedy dał się ponieść emocjom i ją pocałował. Chciał jednak, żeby choć raz w życiu ktoś na niego spojrział z tak bezgranicznym oddaniem.

Znowu sam siebie oszukuje. Nie „ktoś” tylko właśnie Lizzie.

- Hickory, muszę odkupić od ciebie tę maskę - powiedziała poruszonym głosem. - Mam pieniądze.

- Bardzo mi przykro, moja droga, ale już jej nie mam. Właśnie dziś rano ktoś ją kupił. Nie miałem ochoty jej sprzedawać, więc podałem niebotyczną cenę. Mimo to zapłacił. Muszę ci zwrócić różnicę.

Lizzie opuściła ręce w geście rezygnacji.

- W porządku, Hickory. Przecież kupiłeś ją ode mnie. Masz prawo zarobić. W końcu to ty prowadzisz ten sklep.

- Ale nie aż tyle. - Nachylił się nad zagraconą ladą i wyciągnął stary, spłowiały woreczek. Wyjął ze środka trzy studolarowe banknoty i wręczył je zdumionej Lizzie.

- Niezbyt bezpieczny sposób trzymania pieniędzy - kwaśno zauważył Damien.

Wiecznie młode, pastelowo niebieskie oczy starca przyjrzały mu się uważnie.

- Przyprowadziłaś go do mnie. W końcu go znalazłaś. Musi ci na nim zależeć - zwrócił się do Lizzie, nie przejmując się zbytnio obecnością Damiena.

- Nie za bardzo - odparła. - Dopiero się poznaliśmy.

- Nie po raz pierwszy - zauważył tajemniczo. - Nie uda ci się mnie nabrać, płomyczku - rzekł cicho i delikatnym ruchem pogładził Lizzie po włosach. Damien miał ochotę chwycić go i odepchnąć. - Ten człowiek bardzo wiele dla ciebie znaczy. — Hickory zbliżył się do Damiena. - Kto to jest?

- Znajomy, czy ktoś w tym rodzaju. Nazywa się Damien.

- A, ten dziennikarz. - Widać było, że to nazwisko nie jest mu obce. Położył pomarszczoną dłoń na rękę Damiena, który cudem powstrzymał się, żeby nie odskoczyć. Odniósł wrażenie, jakby silny elektryczny prąd przeszył jego ciało. - Błędzisz, młody człowieku, chodzisz po omacku. I niepotrzebnie się martwisz - rzekł starzec, patrząc mu tajemniczo w oczy.

- Doprawdy? - zakpił Damien. - Proszę mi o tym opowiedzieć.

- Bardzo bym chciał - odpowiedział Hickory z powagą - ale nie jesteś jeszcze gotów, by mnie wysłuchać. Uszy masz pełne innych głosów, serce pełne strachu i gniewu. Dopóki nie zastąpi ich mądrość, niczego nie zrozumiesz.

- Nie zamierzam tego wysłuchiwać.

- Damien! - syknęła Lizzie, oburzona jego brakiem taktu.

Hickory nie obraził się jednak, tylko pokiwał głową.

- Zorientuje się, o czym mówiłem, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Jeśli będzie chciał poznać prawdę, przyprowadź go znowu. Opowiem wam wtedy o tym, co było i co będzie. Natomiast

teraźniejszość wciąż kryje wiele niewiadomych. Na razie otocz go opieką.

- Zdaje się, że to on ma się mną opiekować. Hickory uśmiechnął się dobrodusznie.

- Zawsze najlepsza jest wzajemność. Niech was Bóg prowadzi. Gdy znaleźli się na zewnątrz, Lizzie z wściekłością chwyciła Damiena za ramię.

- Prosiłam, żebyś tego nie robił.

- Nic mu nie będzie.

- Byłeś wstrętny!

- Po prostu uczciwy.

- On też! Chciał nam pomóc.

- Niech zachowa taką pomoc dla kogoś bardziej naiwnego - odparsknął, choć prawdę powiedziawszy, słowa starca poruszyły nim bardziej, niż gotów był przyznać. - Nigdy nie słyszałem podobnych bredni.

- Jesteś bezduszny i prymitywny.

- Chwileczkę, tego nie powiedział - zauważył Damien złośliwie.

- Powiedział tylko, że na coś tam nie jestem jeszcze gotów. I że masz się mną zajmować, dopóki nie dojrzeję.

- Już ja bym się tobą zajęła - warknęła.

- Proszę uprzejmie. A na razie powiedz, co robimy dalej?

- Słucham?

- Ile jeszcze sklepików mamy odwiedzić? Gdzie jeszcze mogą być maski?

- Nigdzie - odparła. - Cała złość ulotniła się z niej jak powietrze z przebitego balona. - To były ostatnie trzy miejsca, gdzie mogli jeszcze coś mieć. No, ale przynajmniej jestem pewna, że Rozpruwacz ich nie kupił. Może je ukradł, ale z całą pewnością to nie on kupował je w sklepach. Jestem tego pewna.

- Skąd ta pewność?

- Przecież słyszałeś. Wprawdzie w jakiś zadziwiający sposób trafiają mu w ręce, ale jedną kupił jakiś nastolatek, drugą kobieta, a ostatnią facet o wyglądzie biznesmena. To nie może być ta sama osoba. A Rozpruwacz jest tylko jeden, prawda?

- Nie byłbym taki pewien, Lizzie. W tej sprawie niczego nie można być pewnym. Nie wiesz, ile z tych masek już wykorzystał?

- Chyba dwie, ale głowy nie dam. Nigdy nie przywiązywałam znaczenia do tego, gdzie je upycham. Sklepy biorą po dwie, trzy i potem mi płacą. Nawet nie wiem, co się z nimi dalej dzieje.

- Durny sposób prowadzenia interesu.

- To nie interes tylko sztuka - odburknęła

- I morderstwa.

- Zamknij się!

- Dobrze już, dobrze. Po co tak się pieklisz? Jesteś pewna, że sprawdziliśmy wszystkie spośród tych cholernych masek?

- Wcale nie jestem pewna. W końcu robię je od dłuższego czasu.

- Więc może nadal zabijać. - Damien z wściekłością uderzył pięścią w maskę samochodu, pozostawiając na niej kolejne wgniecenie. - Wskakuj do wozu, Lizzie.

- Dokąd jedziemy?

- To zależy od ciebie. Masz teraz sama dość pieniędzy, żeby kupić bilet na samolot. Nie musisz korzystać z mojej brudnej forsy.

- Zawieź mnie do domu. Do mojego mieszkania.

- A pozwolisz mi zostać? Nie mam nastroju na kolejną noc w samochodzie. Nogi mam za długie, nie mieszczą się...

- Możesz wrócić do siebie - zauważyła beznamiętnie.

- Nie zamierzam cię zostawić. Zbyt wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi. I nie mogę wyzbyć się wrażenia, że jedynie ty je znasz.

- Niczego przed tobą nie ukrywam.

- Możesz sama o tym nie wiedzieć. W każdym razie musisz pogodzić się z faktem, że nie zamierzam cię opuścić. Jestem twoją jedyną szansą.

- Opiekun się znalazł - burknęła. Jednak mimo że słowa Damiana zaskoczyły ją, to jednocześnie przyniosły jej ulgę. - Courtland przepowiedziała mi, że właśnie ktoś taki pojawi się w moim życiu. Sprawdziło się.

- Naprawdę nie mogę cię chronić z przedniego siedzenia samochodu - upierał się Damien. - Pozwól mi pójść ze sobą.

Wahała się. Nie wiedziała, jak postąpić. Ten człowiek irytował ją i przerażał, a jednocześnie fascynował w niejasny dla niej sposób. Czy jej przeznaczeniem byli tacy właśnie wariaci?

Spojrzała na niego. Wpatrywał się w nią intensywnie tym swoim nawiedzonym wzrokiem i czekał na odpowiedź. Westchnęła.

- No dobrze. Ale masz się zachowywać przyzwoicie.

Znad powgniatanego dachu samochodu Damien widział prostytutki przechadzające się ulicą. Zauważył, że starzec wciąż na nich patrzy przez częściowo przysłonięte okno sklepu.

- Przyzwoicie, dobre sobie - mruknął pod nosem, uśmiechnął się do siebie i usiadł za kierownicę.

Scandalous

W mieszkaniu Lizzie unosił się zapach zatęchłej wilgoci. Jeżeli policja nadal obserwowała jej dom, musiała to robić z ukrycia, albowiem w najbliższej okolicy ani ona, ani Damien nie dostrzegli niczego podejrzanego.

Lizzie bez przeszkód otworzyła drzwi, lecz musiała się zmusić, żeby wejść do środka. Sama nie wiedziała, co spodziewa się zobaczyć, czuła jednak podświadomy lęk, lęk przed nieznanym. Odwagi dodawała jej obecność Damiena, którego wzrost i siła były ze wszechmiar imponujące.

Zapaliła światło i natychmiast skierowała wzrok na ścianę. Wszystkie maski były na swoim miejscu, nie brakowało ani jednej. Odczuła wyraźną ulgę, lecz jednocześnie nawiedziło ją irracjonalne poczucie winy. Zupełnie jakby fakt istnienia owych masek zakładał nieuchronność kolejnych morderstw. Po raz kolejny zrozumiała, że jej rola w tym makabrycznym paśmie zbrodni jeszcze nie dobiegła końca.

Damien szybko przeszukał mieszkanie. Sprawdził okna i drzwi, zajrzał do lodówki i szafek. Lizzie obserwowała go ze środka pokoju.

- Nie jesteś głodny? Mogę zrobić coś do jedzenia...

- Nie, dziękuję. - Zamknął drzwiczki kredensu. - Gdzie trzymasz alkohol?

- Nigdzie.

- Nic nie masz? Nawet butelki piwa, odrobiny whisky czy kwaśniejcego wina? Nie wygłupiaj się, może być nawet sherry...

- O ile wiem, przyszedłeś tutaj, żeby mnie bronić. Nic z tego nie będzie, jeśli się upijesz - odrzekła z sarkazmem.

- Nie doceniasz moich możliwości - odpowiedział i sięgnął po papierosa. -I niech ci się nie wydaje, że możesz zabronić mi palić.

- I tak byś mnie nie posłuchał. - Lizzie rozejrzała się po wysprzątanym wnętrzu. Było sterylnie czyste i przez to pozbawione wyrazu. Po raz pierwszy panujący tu porządek nie sprawił jej przyjemności. Tylko krzyczące kolory masek wiszących w odległym kącie, gdzie zazwyczaj pracowała, wносиły trochę urozmaicenia.

- Niezłe mieszkanko - zauważył Damien i wyciągnął się na kanapie.

- Przecież ci się nie podoba.

- No, powiedzmy, że nie jest całkiem w moim guście. Nigdy nie czułem się najlepiej w szpitalu.

- Mi tu dobrze... - Lizzie czuła, że zaczyna się usprawiedliwiać.

- To świetnie. Ja też jakoś wytrzymam.

- Słuchaj, wcale nie musisz się dla mnie poświęcać. Potrafię zadbać o siebie - powiedziała.

- Kobieto, ty znów to samo? Chcesz skończyć z podejrzanym gardłem? - zapytał ze złością. - Nie doceniasz go. Zaręczam, że jeśli odwiedzi cię ten przyjemniaczek, nie wyjdiesz z tego cało. Nie powstrzymasz go. Poza tym, jak na razie nie udało ci się mnie przekonać, że jesteś na tyle sprytna, silna i bezwzględna, żeby go przechytrzyć.

- A ty jesteś? Umiesz być równie silny i bezwzględny jak on?

- Postaram się. - Podniósł się i niczym tygrys w klatce zaczął nerwowo przemierzać pokój. - Zrelaksuj się, Lizzie. Połóż się i odpocznij. Musisz być wycieńczona.

- Ty też. Zdaje się, że noc w samochodzie nie była najwygodniejsza.

- Przespałem się przecież w motelu. To mi wystarczy. Zwykle nie sypiam więcej niż dwie, trzy godziny. - Nachylił się nad stojakiem z maskami i przyglądał się im przez chwilę spod zmęczonych powiek. Wreszcie odwrócił wzrok w stronę Lizzie. - Nie bój się. Nie pozwolę cię skrzywdzić - powiedział cicho.

Lizzie nie wiedziała, jak ma się zachować. Może to dziwne, ale naprawdę mu ufała i czuła, że spokojnie może pójść spać. Przy nim była bezpieczna.

Z drugiej jednak strony, przestraszyła się, kiedy znów podszedł do stojaka i nagle sięgnął po jedną z masek. W dodatku, wiedziony nieomylnym instynktem, wybrał tę, która była najdroższa jej sercu.

Zerwała się z miejsca. Była szybsza. Chwyciła maskę małej dziewczynki o smutnej twarzy okolonej pasmami włosów z jaskrawopomarańczowej przędzy.

- Chyba powinnam je gdzieś ukryć - powiedziała i schowała maskę za siebie. - Pewnie i tak go to nie powstrzyma, ale szukanie ich zajmie mu przynajmniej trochę czasu.

- Może masz rację. Co to za maska?

- Która? - spytała z niewinnym wyrazem twarzy.

- Ta, którą chowasz za plecami.

Tej maski nie mogła mu pokazać. Nie wiedziała, dlaczego się obawia, przeczuwała jednak, że konsekwencje tego byłyby dla niej zbyt bolesne. Myślała nawet, żeby uciec do łazienki i zamknąć drzwi za sobą, byle tylko nie pozwolić mu jej dotknąć. Do licha! Zwykle nie trzymała jej na wierzchu. Była przekonana, że ją schowała. Skoro jednak wisiała teraz razem z innymi, musiała się mylić.

- Zwyczajna - odrzekła, wycofując się z pokoju. Nie doceniła jego wzrostu i tego, jak długie miał ręce. W okamgnieniu otoczył ją ramionami i wyjął maskę dziewczynki z jej dłoni. Lizzie odskoczyła bez walki. Była przerażona. Stała na wprost niego i wpatrywała się w jego napiętą twarz szerokimi ze strachu oczami. Ufała mu, wierzyła, powiedziała nawet, że dałaby się pokroić za to, że to nie on jest seryjnym mordercą z Venice, a jednak teraz drżała ze strachu, widząc, jak stoi przed nią, potężny, silny, z niewielką maską w rękach.

- Kto to jest? - zapytał.

- Dziewczynka.

- Po co więc robisz z tego taką tajemnicę? - Odgarnął pomarańczową przędzę z glinianej buzi dziecka. Czułość, z jaką to uczynił, zaniepokoiła Lizzie jeszcze bardziej. Spojrzał na nią z uwagą.

- To ty, prawda?

- Nie bądź śmieszny. - Spróbowała wyrwać mu maskę, ale Damien przytrzymał jej rękę.

- Jasne, że to ty. Chcesz mi o niej opowiedzieć?

- Nie.

- A chcesz, żebym ci ją zwrócił? - Tak.

- To powiedz mi, kogo przedstawia. Nie lubię tajemnic. Taka już moja dziennikarska natura. Gdziekolwiek pojawia się jakaś tajemnicza sprawa, muszę ją rozszyfrować. No, kto to jest?

- Nie twój interes.

- Pewnie nie. Ale mimo to chcę wiedzieć.

Jego upór był nie do zniesienia. Irytował ją, ale dzięki tej irytacji mogła zapomnieć o panicznym lęku sprzed sekundy. Przecież nic jej się nie stało. Damien tylko pyta. Musi mu odpowiedzieć, żeby odzyskać maskę.

- No dobrze, to ja - przyznała. Przyjrzał się masce.

- Teraz jesteś trochę starsza.

- To miałam być ja w wieku pięciu lat.

- Naprawdę miałaś takie rude włosy? - Głos mu złagodniał.

Uśmiechnął się. Było jednak coś niepokojącego w tej tkliwości, z jaką się do niej zwracał.

- Naprawdę, a teraz mi ją oddaj.

Ku jej zdziwieniu, tym razem posłuchał. Lizzie przytuliła maskę do piersi i nieświadomie pogładziła ją jak dziecko.

- Co się stało, kiedy miałaś pięć lat?

Boże, czy on czyta w mej duszy? - pomyślała.

- Dlaczego uważasz, że coś się wtedy stało?

- Inaczej nie zrobiłabyś tej maski. Westchnęła ciężko, odgarnęła włosy z czoła.

- Matka porzuciła mnie na środku autostrady, gdzieś w Pennsylvanii. Znaleźli mnie dopiero trzy dni później. Mamy nigdy

nie odnaleziono. - Lizzie jeszcze mocniej przytuliła maskę. - A ta maska... Widzisz, to takie psychologiczne bzdury rodem z książek New Age, których nie znosisz. Nazwałam ją „Dziecko we mnie”. Mówię jej, że ją kocham i nigdy jej nie opuszczę...

Spodziewała się, że ją wyśmiej. Zachował jednak milczenie. Przyglądał się jej tylko uważnie spod półprzymkniętych powiek.

- Idź się położyć - powiedział w końcu. - Odłożę ją na miejsce.

Wyciągnął rękę. Lizzie po raz kolejny zwróciła uwagę na jego wąskie dłonie, długie, eleganckie palce. Przez jedną, nie do zniesienia długą chwilę zastanawiała się, jakie też ręce może mieć Rozpruwacz.

Podawała mu maskę. Wziął ją ostrożnie, a ona szybko odwróciła się, żeby nie zabrać mu jej z powrotem.

- Sprawdź, czy ktoś dzwonił - powiedziała i ruszyła w kierunku aparatu. Gdy się obejrzała, zauważyła, że Damien czule gładzi pomarańczową przedzę. Wzdrygnęła się i szybko odwróciła wzrok.

Podeszła do telefonu.

- Sekretarka nie działa. Prawda, przecież nie włączyła się, kiedy Adamson dzwonił dziś rano. Chyba sama ją wyłączyłam.

- Jesteś pewna? Przeszedł ją zimny dreszcz.

- Niezupełnie... Dotąd nigdy mi się to nie zdarzało.

Damien przeszedł przez pokój i uruchomił automat. Rozległy się stare nagrania głosu Courtland, potem Hickory'ego i kogoś ze sklepu w sprawie kolejnej dostawy masek. Wszystkie już znała.

- To stare rozmowy. Nikt się dziś nie nagrał.

- A co masz na początku?

Przewinał taśmę. Lizzie spodziewała się, że jak zwykle usłyszy swój lekko przytłumiony głos, który oznajmi, że nie ma jej w domu, i poprosi, aby po długim sygnale zostawić wiadomość. Lecz głos, który usłyszała, nie był jej głosem. Był całkiem obcy. Mógł należeć zarówno do kobiety, jak do mężczyzny, do kogoś w nieokreślonym wieku, cieszącego się dobrą bądź złą sławą. Był to głos bez właściwości. Bez wątpienia - głos szaleńca.

- Witaj Lizzie, witaj smukła Liz Stride... Posłuchaj mnie. Jestem tu. Wrócę po ciebie. Znajdą cię z tą maską dziecka na twarzy...

Dalsze słowa nie padły. Wypowiedź zakończył upiorny śmiech.

Lizzie bez namysłu chwyciła automat, wyrwała z kontaktu i cisnęła na podłogę. Plastikowa pokrywa roztrzaskała się na kawałki, a taśma zaczęła się rozwijać niczym rozzłoszczony wąż.

Damien nawet się nie poruszył. Stał tylko i patrzył.

- Właśnie zniszczyłaś materiał dowodowy - zauważył pozbawionym emocji głosem. - Wynośmy się stąd.

Lizzie była zbyt odrętwiała z przerażenia, żeby cokolwiek powiedzieć. Pozwoliła się wziąć za rękę i wyciągnąć z mieszkania. Damien zatrzasnął drzwi, zapakował ją do samochodu, sam usiadł za kierownicą i włączył silnik. Było już koło północy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał tonem, w którym na próżno byłoby szukać współczucia. Zresztą, i tak nie zależało jej na tym.

Odetchnęła głęboko, przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków.

- Tak - odpowiedziała drżącym głosem. - Chyba tak. Dokąd jedziemy?

- Byle dalej stąd. Na przykład do mnie. Może nie jest tam najczystiej, ale z pewnością bezpieczniej.

Chciała zaprotestować, uznała jednak, że nie ma to sensu. Gdzie jeszcze mogłaby się skryć? Przecież nawet w motelu nie byłaby wolna od strachu. Choć niechętnie, musiała jednak przyznać, że Damien był jej jedynym wsparciem. Tak, napawał ją niepokojem, a nawet, jak ostatnio, wręcz strachem. Mimo to w niepojęty dla siebie sposób ufała mu. Nie zrażało ją jego chłodne obejście, niemiły głos, wzrok, pewnie niewiele lepszy od spojrzenia szaleńca-mordercy. Irytował ją, dręczył, ale czuła, że jeżeli ma spotkać ją coś strasznego, to raczej nie z jego dłoni. Tak mówiła jej intuicja, tak podpowiadał instynkt. Tylko czasami ta jej pozbawiona racjonalnych przesłanek wiara gasła gdzieś i wtedy Lizzie się go bała; ale to tylko czasami.

- Widziałam, jak tam bezpiecznie - odrzekła z przekąsem. - Chyba jednak nie mamy innego wyjścia.

- Wiem, że sam budynek nie jest bezpieczny. Ale mieszkanie tak. Zabezpieczone lepiej niż biuro CIA. Nikt nie zdoła się dostać do środka. Tak długo jak będziemy tam siedzieć, nikt nie będzie w stanie się do ciebie zbliżyć.

- Poza tobą - zauważyła z udawanym spokojem. - I wcale nie jestem pewna, czy siedzenie z tobą w brudnym mieszkaniu, zamknięta jak w klatce, jest o wiele lepsze niż wystawanie pod latarnią. Sam powiedziałeś, każdy jest podejrzan.

Uśmiechnął się cierpko, czym wcale nie podniósł jej na duchu

- Nie trzymam w domu rzeźnickich noży - zapewnił. - A ty będziesz mogła zająć się sprzątaniami. Od razu poprawi ci się humor.

- Doprawdy? Któż kobieta mogłaby się oprzeć takiej propozycji? - zadrwiła Lizzie.

- W zamian uratuję ci życie. To chyba uczciwa transakcja.

Obserwowała, jak Damien pewnie prowadzi samochód. Czy właśnie ten człowiek jest jedynym, który będzie w stanie ją ocalić? Właśnie on, J.R. Damien, z całym bagażem własnych lęków? Ten dziennikarz, który przedstawił ją całemu światu i który cierpiał, nie potrafiąc zwalczyć drzemiących w nim demonów?

Tak, znów podpowiedziała intuicja. Właśnie on. Jest udęczony, słaby, ale znacznie silniejszy niż wszystkie połączone siły policji.

- W porządku- powiedziała- jedziemy.

- Nie masz więcej uwag?

- Tylko jedną - odrzekła spokojnie. – Zatrzymamy się po drodze i kupimy coś do mycia i zmywania. Jak mam umrzeć, to przynajmniej w czystym mieszkaniu.

Takiej miny, jaka pojawiła się na twarzy Lizzie, kiedy weszli do środka, Damien jeszcze nie widział. Wyglądała jak hrabianka, której kazano przejść bosą po zdechłym szczurze. Rozejrzała się po zagraconych pokojach z pogardą i wstrętem, ale też z pewną kobiecą determinacją.

Postawiła na kanapie torbę pełną ścierek.

- Zrób kolację - rozkazała, podwijając rękawy. -Ja będę sprzątać.

- Nie jestem głodny.

- Ja też, ale sam mówiłeś, że żeby móc działać, trzeba jeść. Idź więc i coś przygotuj - powiedziała, wyciągając z torby butelkę płynu czyszczącego.

- Umiem zrobić trzy rzeczy - powiedział. - Po pierwsze, jajecznicę, po drugie, jajecznicę i po trzecie, jajecznicę po meksykańsku.

- Czym się różnią? - zapytała Lizzie, biorąc się do pracy.

- Po meksykańsku - znaczy z tabasco i ketchupem.

- Brzmi to strasznie, ale niech będzie. Póki co, zaparz mi filiżankę ziołowej herbaty. Jest w torbie. Chyba umiesz zagotować wodę?

- Może wolisz coś mocniejszego?

- Zostaw tequilę do jajecznicy. Będą do siebie pasować.

Damien poczuł, że coś dziwnego dzieje się z jego twarzą. Czuł się tak, jakby nieoczekiwanie dostał w szczękę. Rozmasował ją dłonią i nagle zrozumiał, skąd to uczucie. Po raz pierwszy od dawna się śmiał.

- Chyba nie musisz trzymać wszystkich egzemplarzy „Chronice” od 1957 roku? - zauważyła Lizzie, zbierając gazety porozrzucane dookoła sfatygowanej kanapy.

- Chyba nie.

Wrzuciła je do torby na śmieci i sięgnęła po następne.

- A to co? - spytała, otwierając papierową teczkę, którą lekkomyślnie zostawił wśród gazet na stoliku.

Upuściła ją na podłogę. Zdjęcia ofiar, które dostarczył mu Adamson, rozsypały się u jej stóp. Lizzie wydała z siebie krótki, cichy i może dlatego aż tak przejmujący jęk rozpacz.

Damien podbiegł do niej natychmiast i przygarnął Lizzie do siebie. Przytulił jej głowę do ramienia, żeby nie mogła widzieć rozrzuconych na podłodze dużych, kolorowych, pełnych makabrycznych szczegółów fotografii.

Spodziewał się, że dziewczyna zacznie wymiotować. Sam nie wytrzymał, kiedy po raz pierwszy zobaczył zdjęcie ostatniej ofiary. Lizzie jednak drżała tylko w jego ramionach. Przywarła do niego tak mocno, że ledwie mogła oddychać, słyszał jej ciche łkanie. Pomyślał, że z tą długą kitą rudych włosów wygląda jak zraniony lis. Ciągłe przyciskał do ramienia jej głowę. Czuł dreszcze przebiegające jej ciało. Próbował coś powiedzieć, żeby złagodzić jej ból.

- Nie powinnaś była tego oglądać - rzekł w końcu przyciszonym głosem.

- Nie wiedziałam, co to jest.

Z najwyższym wysiłkiem zmusił się, żeby ją odepchnąć i spojrzeć jej w oczy. Była blada i odrętwiała z przerażenia. Czuł żal, ból, współczucie, lecz jednocześnie wiedział, że nie może ulec wzruszeniu. To by go osłabiło. A przecież musiał odkryć całą prawdę.

- Już wiesz, dlaczego mówią o nim Rozpruwacz? - spytał.

Lizzie znowu spojrzała na podłogę. Chwycił ją za podbródek i nie pozwolił patrzeć.

- Idź do kuchni, ja to pozbieram.

- Chyba muszę iść do łazienki - wymamrotała.

- Prosto, przez sypialnię. - Popchnął ją we wskazanym kierunku.

Pobiegła, potykając się po drodze. Chwilę później zatrzasnęła drzwi i usłyszał, jak wymiotuje.

Chciał do niej pójść, przytrzymać jej głowę. Sam niedawno znalazł się w podobnej sytuacji. Dobrze wiedział, jak musi się czuć, mając w pamięci to, co zobaczyła.

I to, co usłyszała na swojej automatycznej sekretarce.

Zebrał zdjęcia z podłogi, włożył do koperty i schował do szuflady biurka. Musi powściągnąć emocje. Nie może się angażować. Powinien być zimny, skrupulatny, uważny. Tylko wtedy zdoła zwyciężyć.

Poszedł do kuchni, zaparzył Lizzie herbatę i nalał sobie dużego drinka. W sklepie zapomniał o papierosach, więc teraz przeszukał przepełnione popielniczki w poszukiwaniu możliwie długiego niedopałka. Przypalił go od kuchenki, przy czym o mało nie podpalił sobie włosów. Kiedy usłyszał, że Lizzie odkręciła wodę, postanowił sprawdzić, co się z nią dzieje. Wiedział jednak, że nie może ulec pokusie. Nie może po raz drugi wziąć jej w ramiona, przytulić.

Stała w drzwiach łazienki i badała wzrokiem sypialnię. Na jej twarzy malowało się komiczne przerażenie.

- Ty na tym sypiasz? - zapytała.

- A co, nie podoba ci się moje łóżko? Nazywa się, o ile pamiętam, „królewskie podwójne”. Jestem wysoki, więc należy mi się dużo miejsca.

- Nie byłoby ci wygodniej, gdybyś spał na prześcieradle, a nie na dwunastu zmianach ubrania?

- I tak zwykle sypiam na kanapie. - Machnął ręką. Pokiwała głową. Nadal była blada, ale wyglądała zdecydowanie lepiej.

Przemyśla twarz wodą, w jej oczach znowu zabłysła determinacja.

- W takim razie dziś też tam będziesz spał - powiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Ja wybieram łóżko.

- Jak sobie życzysz. - Damien stał oparty o framugę. - Możesz wyrzucić te ubrania, jeśli chcesz.

Przyjrzała mu się ze zgorzeniem.

- Przecież to przyzwoite włoskie garnitury.

- Angielskie, jeśli chodzi o ścisłość. Ale już nie będę ich nosił - wyjaśnił, po czym odwrócił się, by odejść. Nie zamierzał przeszkadzać jej w wypełnianiu wszystkich tych śmiesznych domowych obowiązków. Był już przy drzwiach, gdy zatrzymał go jej cichy głos.

- Damien, co się stało?

To miękko wypowiedziane pytanie ukłuło go śmiertelnie niczym ostrze noża w rękę Rozpruwacza.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. - Pokręcił głową. Próbował się nie poddać. Nie ulec pokusie łatwych wzruszeń i oczyszczających zwierzeń.

- Przecież tu nie chodzi tylko o te morderstwa, prawda? To trwa już dłużej. Nawet ja to dostrzegam. Co się stało?

- Uparta jesteś. - Odwrócił się i spojrzał na nią chłodnym wzrokiem. - Nic. Nic aż tak strasznego. Po prostu widziałem, jak ktoś umiera.

- Kto?

- Nie znałem jej. Nazywała się chyba Betty Brinston, ale znana była jako Ashanti Mizrak.

- Jak umarła?

Chciał zatkać uszy dłońmi, żeby nie słyszeć cichych słów Lizzie, nie dopuścić do siebie własnych myśli, wspomnień i poczucia winy, które prześladowały go już tyle czasu. Zabrakło mu siły. Tak, popełnił ogromny błąd, pozwalając sobie na bliskość z kimś, komu nie może teraz zabronić zadawania pytań, kogo nie może już wyłączyć ze swojego życia. Pozostało mu tylko odpowiedzieć.

- Oblała się benzyną - powiedział. - Nawet już nie wiem, przeciw czemu protestowała, jakiejś interwencji zbrojnej czy nowej elektrowni atomowej? Równie dobrze mogłaby to zrobić w obronie sowy nakrapianej. Była chora psychicznie, leczyła się. Tak wykazało śledztwo.

- Znałeś ją?

- Nie - odpowiedział. - Stałem tam z aparatem w ręku i patrzyłem, jak umiera. Nie ruszyłem palcem, żeby ją zatrzymać. - Odwrócił się, tak by nie mogła widzieć jego twarzy. - Herbata gotowa.

Wlał trochę tequili do szklanki. Nie zawracał sobie głowy lodem ani wodą. Napił się. Poczował znajome palenie w przełyku i czekał, aż nadejdzie upragnione odrętwienie. Opróżnił szklankę do dna i znów

sięgnął po butelkę. Chciał się upić do nieprzytomności, przestać słyszeć męczące go głosy.

Nagle poczuł na ręku jej silną dłoń. Miała długie, piękne palce i krótko obcięte paznokcie. To była ręka artystki.

- Nie zagłuszysz w ten sposób sumienia - powiedziała łagodnie.

- Skąd wiesz? Chyba mogę, do cholery, spróbować! - krzyknął dzikim, nie kontrolowanym głosem.

- Nie dasz rady. To demony przeszłości. Są zbyt silne. - Puściła jego rękę, podniosła kubek z herbatą i wolnym krokiem wyszła z sypialni.

Popatrzył za nią. Oczyma przebiegł prostą, elegancką linię jej pleców, zgrabne ramiona. Z jaką gracją trzymała głowę! Zastanawiał się, czy i ona cierpi z powodu podobnych wspomnień, czy też cały jej problem to tylko to, że kiedyś porzuciła ją matka i że wybiera nieodpowiednich mężczyzn.

Nieodpowiednich? Uśmiechnął się do siebie. Przecież powiedziała, że się jej podoba. On, J.R. Damien. Cholera, może nawet powinien pomóc jej sprzątnąć ubrania z łóżka?

Bo na pewno nie będzie dziś spał na kanapie. Będą spali razem, razem w tym wielkim łożu, które tak dawno już przestało pełnić swoją funkcję. Będą spali razem - albo w czystej pościeli, albo na stercie ubrań. Wszystko jedno. Bo co do jednego Lizzie na pewno ma rację - tequila nie jest w stanie zagłuszyć dręczących go wspomnień. Co innego ona sama, Lizzie.

- Okłamałeś mnie - powiedziała Lizzie.

W jego oczach natychmiast pojawiła się czujność. Stał przy blacie w kuchni i jadł jajecznicę, nie zwracając najmniejszej uwagi na jej smak i konsystencję. Od czasu do czasu zagryzał przypaloną grzanką. Z jednej nawet zeszkrobał spaleniznę, ale Lizzie i tak jej nie wzięła.

- Niby kiedy?

- Powiedziałeś, że umiesz smażyć jajka. Zauważyła, że przynajmniej jeśli chodzi o uśmiech, zrobił pewien postęp. Tym razem twarz rozjaśniła mu się prawie do wysokości oczu. Postanowiła, że wcześniej czy później, zdoła zmusić go do szczerego śmiechu.

- Jak to? Przecież dają się zjeść - zauważył.

- Ledwie. Nie masz nic innego?

- Chyba nie. Jajka smakują mi o każdej porze. Na śniadanie, obiad i kolację.

Przypomniała sobie, że faktycznie w lodówce widziała trzy kartony pełne jajek.

- I do tego palisz? Musisz mieć potwornie wysoki poziom cholesterolu.

- E, nie dbam o to.

- Jeśli wszystko ci jedno, co wkładasz do ust, to równie dobrze możesz jeść coś zdrowego - upierała się Lizzie. Sama już dawno skończyła jedzenie i zajęła się sprzątaniami.

- Ależ oczywiście - zakpił. - Jak tylko skończę ostatnią butelkę wody Evian, zaraz wsiądę do mojego nowego BMW i pojadę do sklepu ze zdrową żywnością. ..

- Przestań.

- Ty chyba nic nie rozumiesz? - powiedział. - Jest mi naprawdę dokładnie wszystko jedno. Nie obchodzi mnie, czy za pięć lat padnę na zawał, czy nie. Ani to że mogę dostać raka. Nie mam żadnych celów, żadnych marzeń, żadnych pragnień. Żadnych poza schwytaniem Rozpruwacza.

Patrzyła na niego w milczeniu. Był zimny i niedostępny. Odpychający, złośliwy... Czy to nie dziwne, że wobec kogoś takiego czuła współczucie, troskę, sympatię?

- O jednym zapomniałeś. Podobno chcesz uratować mi życie.

- Nie schlebiaj sobie - powiedział, wkładając talerz z nie dojedzoną jajecznicą do zlewu. - Po prostu nie chcę, żeby dalej zabijał. Równie dobrze mogłabyś być jedną z tych mewek, albo kimkolwiek innym. Po prostu wiem, że nie zniosę widoku kolejnego morderstwa. To wszystko.

Lizzie poczuła się tak, jakby ktoś kopnął ją w brzuch. Nie spodziewała się, że aż tak zabolą ją te słowa. Wiedziała, że musi teraz koniecznie coś powiedzieć, cokolwiek, byle tylko Damien nie zauważył jej reakcji.

- Co przez to rozumiesz? Przecież nie widziałeś, jak umierały?
Damien nie odpowiedział.

- Coś się stało? - spytała zaniepokojona, widząc jego pobladłą twarz.

- Nie, nic.

Odszedł od blatu i zbliżył się do Lizzie krzątającej się w niewielkiej kuchni. Zdążyła już pozmywać i przetrzeć szafki i właśnie zabierała się do grubej warstwy tłuszczu na białej, emaliowanej kuchence, kiedy Damien wyjął jej zmywak z ręki i obrócił ją ku sobie. Poczowała jego badawcze spojrzenie.

- Chodź, Lizzie - powiedział niepokojąco łagodnym głosem. - Wyjawiłem ci własne, najciemniejsze tajemnice. Teraz czas na ciebie.

- Wszystkiego nie powiedziałaś - odparła. Damien zacisnął dłoń na jej nadgarstku.

- Każdy człowiek ma jakieś sekrety. Nadszedł czas na któryś z twoich.

Zagryzła wargi. Nie widziała powodu, żeby mu się zwierzać. W końcu to on jest dziennikarzem, więc sam powinien dociekać prawdy. Jeśli dotąd nic nie wie o pewnym szczególnie mrocznym okresie jej życia, to bardzo dobrze. Bo po co miałby się dowiedzieć? Nikomu o tym nie mówiła, tylko Courtland.

On jednak nie należał, niestety, do ludzi, którzy potrafią przyjąć odmowę. Delikatnie ujął jej podbródek, tak że musiała spojrzeć mu prosto w oczy.

- No, nie bój się. Opowiadaj - poprosił łagodnie i stanowczo zarazem.

Poddała się.

- Nie byłeś zbyt dokładny w swoich poszukiwaniach.
- To dziwne, zwykle staram się niczego nie przeoczyć.
- Tym razem ci się nie udało. Nie sprawdziłeś, czy jestem notowana. Nie, nie w Kalifornii - dodała, widząc zdziwienie na jego twarzy. - W Michigan, tam gdzie się wychowałam.

Nie dał poznać po sobie, że poruszyła go ta informacja. Jego twarz pozostała kamienna, pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

- No, no... Brzmi to dość groźnie. Mów dalej. Kim byłaś? Nieletnią złodziejką, kochanką jakiegoś gangstera?

Pokręciła tylko głową.

- Mewką. Takiego słowa użyłeś, prawda? Damien nawet nie mrugnął okiem.

- Chcesz powiedzieć coś więcej?

- Nie bardzo. Już dawno się przekonałam, że nikt mi nie wierzy.

- Zapominasz, że jestem dziennikarzem i różne rzeczy już słyszałem. Więc jak? Podrywałaś facetów w ogólniaku, żeby zarobić na czerwonej corvette?

Miała ochotę go uderzyć. Z jednej strony, jego chłodny, obojętny ton pozbawiał jej historię całego melodramatycznego wydźwięku, który zawsze ją irytował. Z drugiej jednak, przydałaby się jej choćby odrobina współczucia.

- Nie miałam żadnego samochodu - zachnęła się. - Jeśli chodzi o ścisłość, ani samochodu, ani nawet rodziny. Mówiłam ci, że matka porzuciła mnie, gdy miałam pięć lat. A moich przybranych rodziców

interesowały tylko pieniądze, które dostawali od rozmaitych fundacji na moje wychowanie.

- Fakt, ciężkie miałaś życie. - Pokiwał głową, lecz wciąż nie wyglądał na szczególnie przejętego. - Czyli co? Zbuntowałaś się przeciw światu i wyszłaś na ulicę?

- Nieprawda! Myślałam, że jestem zakochana. Sam mówiłeś, że mam kiepski gust, jeśli chodzi o mężczyzn. Zaręczam jednak, że ci, o których wiesz, to anioły w porównaniu z Billym Orderem i Markiem Claytonem.

- Aż dwóch ich było? - uniósł brwi. - Rozrywkowa z ciebie panienska.

- Wydawało mi się, że Billy to mój najlepszy kumpel - tłumaczyła Lizzie z przejęciem. - A jeśli chodzi o Marka, to wierzyłam, że mnie kocha. Nie wiedziałam, że płacił Billy'emu za to, że z nim spałam. Za udostępnianie i mieszkania, i mnie.

- No i co takiego się stało, że cię zamknęli? - zapytał głosem, w którym nie było śladu niezdrowej ciekawości.

Jego rzeczowe podejście ułatwiło Lizzie opowiadanie.

- Po jakimś czasie Billy postanowił się wycofać. Okazało się, że tę samą grę prowadził z kilkoma innymi dziewczynami, tyle że one wiedziały, o co chodzi, i domagały się swojej działki. Jedna z nich sądziła, że i ja wiem, no i się wygadała. Kiedy zapytałam o to Billy'ego i Marka, obaj wyparli się wszystkiego. Poszłam na policję, ale to mnie aresztowano. Za prostytutkę.

Wstyd, jaki czuła tamtego dnia, nadal palił jej duszę. Miała wtedy siedemnaście lat, doskonałe wyniki w nauce, była zakochana i szczęśliwa. Nagle, w ciągu dwudziestu czterech godzin, znalazła się poza nawiasem prawa, przybrani rodzice wyrzucili ją z domu, została zawieszona w prawach ucznia.

- Ciężka sprawa - powiedział Damien niespodziewanie łagodnym głosem. Ciągłe trzymał jej podbródek i dłonią delikatnie gładził po policzku. - O czymś jednak zapomniałaś.

- O czym? - Poczowała się nieswojo. Jego dotyk sprawiał jej zdecydowanie zbyt dużą przyjemność.

- Obaj panowie wcale nie wnieśli oskarżenia. A twój przyjaciel Billy skończył za kratkami za sutenerstwo niespełna rok później i odsiedział swoje.

Odskokczyła od niego jak oparzona.

- Jednak wiedziałeś! - krzyknęła z wyrzutem. - To po co kazałeś mi opowiadać to wszystko?

Uśmiechnął się chłodno, lecz bez złośliwej satysfakcji.

- Spowiedź bywa dobra dla duszy. Poza tym to, co powiedziałaś, znacznie różni się od znanych mi faktów. Wiedziałem tylko, że byłaś zatrzymana pod zarzutem uprawiania nierządu, ale w ciągu doby sprawę wycofano. Byłaś niepełnoletnia, w tej chwili w policyjnych aktach nie ma nawet śladu po tej historii.

- Jak więc się dowiedziałeś?

- Mam swoje sposoby - odpowiedział. - W każdym razie, gdyby sprawy stały inaczej, mogłabyś zapomnieć o całym tym przykrym epizodzie i uznać, że po prostu miałaś pecha do mężczyzn.

- Co to znaczy: „gdyby sprawy stały inaczej”?

- To dokładnie, że kiedyś zatrzymano cię za domniemaną prostytutkę. Jest taki fakt w twoim życiorysie, choć akurat twoja kartoteka jest czysta. Jeśli mi się udało tyle ustalić, to Rozpruwacz bez wątplenia też o tym wie. A on poluje na dziwki. Nie na grzeczne dziewczynki, czy kury domowe, tylko właśnie na dziwki.

- Cholera.

- Otóż to. Teraz jednak nic na to nie poradzimy. Idź się położyć. Padasz ze zmęczenia. Sam skończę sprzątać.

- Daj spokój. Wystarczy się rozejrzeć, żeby wiedzieć, że sprzątasz jeszcze gorzej niż gotujesz - odpowiedziała słabym głosem.

- Racja - uśmiechnął się - w takim razie skoro to mieszkanie wytrzymało miesiące bałaganu, wytrzyma jeszcze jedną noc. Przysięgam, że nie ma tu szcurów, choć na pierwszy rzut oka można by przypuszczać, że się gdzieś zaległy. No, wskakuj do łóżka. Rano wszystko nabierze jaśniejszych barw.

- Na pewno nie w tym mieszkaniu - zażartowała ponuro.

Damien puścił jej rękę. Nieoczekiwanie sprawiło jej to przykrość. Chciała go teraz czuć blisko siebie, pomóc mu jakoś, spróbować wyprowadzić go z mroków, w jakich się znalazł.

Niestety, Damien odwrócił się i zaczął wpatrywać w ciemność za oknem. Było jasne, że wcale nie szuka ukojenia. I że ona nie jest w stanie mu go dać.

Trudno. Nie ma wyboru. Musi mu uwierzyć. Dla niego jest tylko kolejną ofiarą, którą próbuje uratować. Tak właśnie powiedział. A jej zadaniem jest zwabić mordercę i zmusić go do wyjścia z ukrycia.

Czyżby jednak Damien w ogóle nie dostrzegał w niej kobiety? Czowała, że jest inaczej. Przecież ją pocałował, i to tak namiętnie, że żadne z nich nie było w stanie opanować drżenia. To znaczy, że docenia w niej kobietę. Docenia, lecz z jakichś powodów robi wszystko, żeby zrazić ją do siebie, odstraszyć, ostrzec.

Właściwie powinna mu być za to wdzięczna. Czy będzie aż tak głupia, żeby go nie posłuchać? Czy już zapomniała, że zawsze wybiera najpaskudniejszych facetów pod słońcem? Najpierw Mark, arogancki blondyn ze sławą gwiazdy futbolu. Potem ten aktor, Freddy, którego wdzięk był w stanie zwieść nawet najostrożniejsze kobiety i który był tak dalece zajęty sobą, że każda gorzko żałowała swej chwili słabości. To właśnie z Freddym była ostatnio, trzy lata temu. Od tamtej pory miała się na baczności. Jeszcze tylko raz niemal uległa Jamesowi, ale szczęśliwie zdążyła się wycofać, zanim doszło do prawdziwego zbliżenia. Wyprowadził się, a ona przyjęła to z ulgą. Od tamtego czasu koniec. Nie miała już nikogo i nie cierpiała zbytnio z tego powodu.

Uznała, że we współczesnym świecie zbyt dużą wagę przywiązuje się do seksu. Oczywiście, Lizzie wiedziała, że prawdziwa

namiętność to dużo więcej niż to, czego do tej pory doświadczyła, w sumie była jednak zadowolona, że nie musi tego sprawdzać. Została sama i życie stało się prostsze. Całą swoją energię, wszystkie frustracje i pragnienia przenosiła na maski.

Skoro tak, to po co stoi teraz w tej zaniedbanej kuchni i wpatruje się w kanciastą postać tego człowieka, zamiast lepić kolejną z nich? Kim on jest, że godzi się na wszystko, co jej powie? Troskliwym opiekunem, przyszłym kochankiem, a może tym właśnie szaleńcem, którego szuka policja w całym mieście? Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

- Czemu się przyglądasz? - Patrzył na nią tak, jakby czytał w jej myślach. Na jego twarzy znowu pojawiła się chłodna karykatura uśmiechu. - Czy uwierzyłaś w końcu, że dwa razy dwa to cztery?

Pomyślała, że nie może ulec panice. Czuła się, jakby czyjaś lodowata dłoń ścisnęła jej serce, lecz mimo to zdołała zachować spokój.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała. Miała nadzieję, że nie usłyszał lekkiego drżenia w jej głosie.

Przed nim jednak niczego nie dało się ukryć.

- Wreszcie trafiło do ciebie, że to ja mogę być Rozpruwaczem, prawda? Tak podejrzanie dobrze znam tę sprawę. Przypuszczam, że nawet policja nie wie o tych morderstwach tyle co ja. Znam anatomię, przygotowywałem się do studiów medycznych w Stanfordzie. Mieszkam samotnie, więc nie mam żadnego alibi. Styl życia, jaki prowadzę, oraz to, co robię, jest ze wszech miar podejrzane. W

dotatku z pewnością nie mogę uchodzić za wzór opanowania i równowagi psychicznej. Jeśli do tego wszystkiego dodasz fakt, że kolekcjonuję twoje maski, to kogo zobaczysz?

Zwilżyła językiem usta. Nie ruszyła się jednak z miejsca, choć serce waliło jej z przerażenia.

- Nie wiem. Sam mi powiedz.

- Głównego podejrzanego. Człowieka, który zwabił do siebie kobietę, która z kolei jest najprawdopodobniej obiektem najwyższego zainteresowania Rozpruwacza z Venice. W dodatku nikt nie wie, że tu jesteśmy.

- Adamson...

- Adamson? Mimo że to najlepszy glina w mieście, po ciemku nie jest w stanie zobaczyć nawet czubka własnego nosa. Jeśli to ja jestem mordercą, to pozacierałem za sobą ślady. Rozpruwacz jest bardzo dokładny i staranny. Zauważ, że choć za każdym razem miejsce zbrodni przypomina krwawą jatkę, w okolicy nigdy nie widziano nikogo, kto by wyglądał jak rzeźnik...

- Przestań - poprosiła słabym głosem.

Damien podszedł do niej tak blisko, że czuła na włosach jego oddech.

- Zastanów się nad tym, Lizzie. Oddałaś się w moje ręce. I dopiero teraz dotarło do ciebie, że mogę być niebezpieczny. Nie za późno?

Lizzie instynktownie czuła, że jeśli teraz da się zdjąć trwodze, to bezpowrotnie straci ostatnią szansę. Natomiast jeśli obdarzy Damiena

pełnym, ślepy, bo niczym nie uzasadnionym, zaufaniem, będzie bezpieczna.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego chcesz mnie wystraszyć?

Wyciągnął ręce i ujął jej twarz w dłonie. Palce ukrył w gęstych, rudych włosach.

- Bo nie powinnaś nikomu ufać. Ani policji, ani mnie, ani temu, co podpowiada ci własna intuicja. Jeśli chcesz przeżyć, musisz podejrzewać absolutnie wszystkich.

- W ten sposób nie da się żyć - wyszeptała. Jego usta znalazły się niebezpiecznie blisko. Chciała znowu poczuć ich smak, wołała to niż słuchać płynących z nich złowieszczych ostrzeżeń.

- To jedyny sposób. W przeciwnym razie nawet ja nie zdołam cię uratować.

Wiedziała, że zaraz ją pocałuje, W jego oczach wyczytała tęsknotę podobną do swojej. Tak, pocałuje ją i zatrzyma się dla nich czas. Zostaną tylko we dwoje, bo tak jest im pisane. Serce biło jej jak szalone. Wstrzymała oddech, czekała, a usta Damiena przysuwały się coraz bliżej...

Nagle odsunął się. Podniosła wzrok, widziała, jak wiele go to kosztowało. A jednak odsunął się.

- Idź spać, Lizzie - powiedział. - Nie pozwolę mu cię skrzywdzić tej nocy.

Wyszła, żeby nie zrobić z siebie jeszcze większej idiotki, Kiedy patrzy na niego, po prostu traci rozum. Przeraza ją bardziej niż

ktokolwiek inny, a jednocześnie z równą siłą przyciąga. Czy jego długie, piękne dłonie przyniosą jej rozkosz, czy śmierć?

Wiedziała, że tej nocy jeszcze nie pozna odpowiedzi. Odprawił ją tak nagle, tak stanowczo... I co teraz? Ma się cieszyć, czy płakać? Chyba tylko skryć się w jego małej sypialni, zakopać pod kołdrą i spróbować nie myśleć o potworze włóczącym się po nocach z maską w ręku. Nie myśleć o tych okropnych zdjęciach i o tym, że tego, co na nich ujrzała, nie zapomni chyba do końca życia.

Damien czuł się nieswojo w wysprzątanym pokoju. Od godziny bez ruchu wpatrywał się w ekran telewizora. Zabrakło mu papierosów, ale nawet potworny głód nikotyny nie mógł go skłonić do wyjścia i pozostawienia Lizzie bez ochrony. Postanowił nie opuszczać jej ani na chwilę, choć wciąż nie miał całkowitej pewności, czy to nie przed sobą samym powinien ją bronić.

Najważniejsze, żeby nie pozwolić sobie zasnąć. Nie wiedział, co się z nim dzieje, kiedy pogrążony jest we śnie. Był świadom jedynie tego, że śnią mu się rzeczy, które dopiero mają nastąpić. Tylko jedno logiczne wyjaśnienie tych snów przychodziło mu do głowy.

Nie, nie wierzył w parapsychologię. Mierzili go zarówno szarlatani, zajmujący się zjawiskami tego typu, jak i naiwniacy, którzy dawali im wiarę. Był przekonany, że zawsze musi istnieć racjonalne wyjaśnienie nawet najdziwniejszych wypadków.

Zdarzało mu się we śnie czuć metaliczny zapach krwi, ciepłej krwi płynącej ze zmasakrowanych ciał; patrzeć obojętnie na świadectwa zbrodni popełnianych przez Rozpruwacza, podczas kiedy

za dnia podobny widok przyprawiał go o mdłości. Najgorsze jednak było to, że ilekroć Adamson odkrywał przed nim jakiś nowy szczegół kolejnej zbrodni, on znał go wcześniej.

Nie może zasnąć. Jeśli zapadnie w sen, wszystko może się zdarzyć. Całe szczęście, że przynajmniej na razie sen mu nie groził. Całe ciało pobudzone miał świadomością, że Lizzie śpi w jego łóżku.

Słyszał, jak brała prysznic, i zastanawiał się, co na siebie włoży. Na pewno coś z jego rzeczy. Może jakąś bawełnianą podkoszulkę? Ciekawe, dokąd jej sięgnie?

Potem próbował wyobrazić sobie, jak przygotowała łóżko do snu. Czy sprzątnęła garnitury i znalazła świeżą pościel? Czy leży już zwinięta w kłębek na tym wielkim materacu?. Czy jej gęste włosy rozsypały się na jego poduszce? Śpi na plecach czy na brzuchu? Czy ma mocny sen?

Wyłączył telewizor. Czuł gwałtownie rosnący niepokój. Nie, na pewno nie zaśnie. Jest tak rozdygotany, że nawet nie będzie musiał walczyć z pokusą. Wypił mnóstwo kawy, a potrzeba papierosa dodatkowo wzmacniała jego irytację. Nie zaśnie i nie narazi jej w ten sposób na niebezpieczeństwo. Nie znaczy to jednak, że ma nie ulec innej pokusie - tej, która kazała mu zajrzeć do sypialni, choćby po to, by popatrzeć, jak Lizzie śpi.

Cicho otworzył drzwi. Wewnątrz było prawie ciemno. Tylko blade światło sączyło się do środka z lampki, która włączała się automatycznie w łazience. Kupił ją wkrótce po pierwszym morderstwie, kiedy zaczął się bać ciemności.

Wyraźnie widział jej sylwetkę. Łóżko było posłane, ani śladu jego starych ubrań. Leżała na lewym boku z wyciągniętymi nogami. Zauważył, że są szczupłe i długie. Miała na sobie jego starą, oksfordzką koszulę, której poły sięgały jej prawie do kolan.

Kiedy jeszcze korzystał z tego pomieszczenia, zawsze spał na prawym brzegu materaca. Mimo że miał całe łóżko dla siebie, podświadomie zostawiał dla kogoś miejsce. Lizzie zrobiła to samo.

Oparł się o drzwi i patrzył. Bolała go głowa, piekły oczy, lecz mimo to nie ruszał się z miejsca. Czy stałoby się coś złego, gdyby położył się obok, pomyślał. W końcu zostawiła tyle miejsca... Nawet jej nie dotknie.

Nie spał we własnym łóżku od tygodni i nagle poczuł, że musi to zrobić. Musi położyć się przy niej, poczuć jej ciepło i oddech. Usłyszeć bicie serca. Poznać, kim jest.

Już wcześniej zdjął buty. Teraz po cichu przeszedł przez sypialnię i okrążył łóżko. Lizzie spała, oddychając głęboko, nieświadoma tego, że ją obserwuje, że wbrew samemu sobie pragnie ją mieć. Nie stawiałaby czoła mordercy, gdyby się teraz pojawił.

Ale morderca nie przyjdzie. On, Damien, zapewni jej bezpieczeństwo. Uchroni ją, nawet jeżeli to on sam jest Rozpruwaczem. Pod warunkiem, że nie zaśnie.

Położył się bezszelestnie, wciąż bacznie ją obserwując. Nawet się nie poruszyła. Wcale by się nie zorientowała, gdyby ktoś podszedł od tyłu i przyłożył jej nóż do gardła, pomyślał z rozpaczą. Jakim cudem może ją ocalić?

Chwała Bogu, że przynajmniej dzisiejszej nocy nie musi się o to martwić. Będzie po prostu leżeć i przyglądać się, wdychając delikatny zapach mydła i pasty do zębów, oraz tę subtelną woń jej ciała, której ledwie potrafi się oprzeć. Nie zaśnie i zapewni jej bezpieczeństwo.

Leżał nieruchomo i czuł gdzieś w głębi duszy, że oto każdy szczegół jej ciała jest mu dobrze znany. Jak to możliwe? - zastanawiał się. Przecież z pewnością nigdy przedtem przy niej nie leżał. Pożądał ją, nawet całował, ale nigdy z nią nie spał.

Na chwilę zamknął oczy, żeby się skoncentrować. Natychmiast osunął się w błogą ciemność. Czuł ciężar jej ciała na materacu, słyszał rytmiczny cichy oddech. Zdążył się już przyzwyczaić do tego, że sypia tylko kilka godzin na dobę. Wyspał się w motelu. Na pewno nie zmorzy go sen. Zaraz, za chwilę otworzy oczy. Nie zaśnie...

Nie może zasnąć...

Lizzie ostrożnie podniosła powieki i spojrzała na niego tak, by nie mógł zorientować się, że nie śpi. Niepotrzebnie była aż tak ostrożna. Damien chrapał.

Poczuła się tak, jakby doznała olśnienia. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że ten niezwykle człowiek zdolny jest do czegoś tak zwyczajnego. Nie było to głośne chrapanie, lecz powtarzające się, przytłumione sapnięcia, wyraźnie świadczące o tym, że Damien zapada w coraz głębszy sen. Podniosła się na ramieniu, odrzuciła z twarzy ciągle jeszcze mokre włosy. Chciała mu się lepiej przyjrzeć.

Obudziła się w momencie, kiedy pojawił się w drzwiach, a jego sylwetka rzuciła na nią długi cień. Była tak senna, że początkowo nie

odczuła żadnej trwogi. Kiedy prawie naga, zupełnie bezbronna i pogrążona w półśnie leżała w jego łóżku, wierzyła mu bez zastrzeżeń.

Sama była zdziwiona tym odkryciem, lecz jednocześnie poczuła ulgę. Choćby nie wiadomo jak bardzo próbował ją przestraszyć - być może dla jej własnego dobra - Lizzie wiedziała, że mu się nie uda.

Nic na to nie poradzi, po prostu mu ufa.

Teraz, ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy, zastanawiała się, jak mocno śpi. Czy obudzi się, jeśli go dotknie? Chciała wyciągnąć rękę i pogłaskać go po jedwabistych, czarnych włosach, wygładzić mu zmarszczki na czole, zakreślić palcem kształt jego warg.

Oczywiście, nie może sobie na to pozwolić. Co by się stało, gdyby obudził się i zobaczył, co robi?

Co innego gdyby przysunęła się nieco do niego. Skoro i tak leży blisko, to czy nie może przysunąć się jeszcze bliżej? W końcu ludzie ruszają się we śnie, tulą to, co mają pod ręką. Na pewno uda jej się dostatecznie przekonująco odegrać tę komedię. Po raz pierwszy od ponad trzech lat leży w łóżku z mężczyzną, po raz pierwszy naprawdę tego chce. I w żadnym wypadku nie zamierza spędzić tej nocy, zachowując dzielący ich odstęp.

Westchnęła głośno i z zamkniętymi oczami przesunęła się na środek materaca. Damien nawet nie drgnął. Wciąż pogrążony był w tak głębokim śnie, że nie obudziłby się, nawet gdyby oddział Gwardii Narodowej wmaszerował do sypialni.

- Teraz - powiedziała do siebie szeptem i mrużąc niewinnie w udawanym śnie, ostatecznie pokonała dzielący ich dystans.

Nareszcie czuła żar bijący z jego pięknie umięśnionego ciała. Damien zareagował niewyraźnym pomrukiem, objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Z głową przytuloną do jego barku Lizzie stwierdziła z ulgą, że uczynił to odruchowo, przez sen.

Przez chwilę leżała w napięciu, po czym rozluźniła mięśnie. Tak, to właśnie to, czego było jej trzeba. Nie seksu, nie namiętności, lecz silnego, czulego mężczyzny, który pomoże jej przetrwać mroczną noc; nie przygód i szaleństw, ale ciepła i poczucia bezpieczeństwa. Damien nieświadomie uczynił to samo, co chciała uczynić ona, i sam ją przytulił. Nie może więc mieć pretensji, kiedy zbudzi się i spostrzeże ich ciała splecione we wzajemnym uścisku. Poza tym, Lizzie pewnie i tak obudzi się przed nim i Damien nawet nie dowie się o wspólnie spędzonej nocy.

Nagle poczuła z przerażeniem, że jego ciało silnie reaguje na jej bliskość. Krew uderzyła jej do głowy, serce zaczęło walić jak oszalałe, poczuła piekący ból w żołądku.

To nic nie znaczy, to tylko kwestia fizjologii, próbowała się uspokoić. Mężczyzna, który śpi z owiniętą wokół siebie kobietą, instynktownie ulega pobudzeniu. Tak samo by zareagował, gdyby na jej miejscu była jakaś inna. Przecież nawet nie jest świadom jej obecności.

- Nie bój się, Lizzie - nieoczekiwanie usłyszała jego głos. Zabrzmiał spokojnie i łagodnie, lecz mimo to przeraził Lizzie i zaszokował.

Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Chciała się od niego odsunąć, lecz Damien napiął mięśnie i przytulił ją tak mocno, że poczuła bicie jego serca.

- Spij dalej - zamruczał niewyraźnie.

Był zbyt silny, zbyt nieprzejednany, żeby mogła się mu przeciwstawić. Poza tym, wcale nie było jej nieprzyjemnie.

Odetchnęła głęboko i postarała się rozluźnić mięśnie.

- Teraz lepiej - pochwalił ją. - Nikt cię nie skrzywdzi. Śpij.

Chciała coś powiedzieć, jakoś zaprotestować. Prawda była jednak taka, że najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie pragnęła teraz zasnąć w jego ramionach. Poddała się więc. Wiedziała, że jest bezpieczna. Jeżeli ktokolwiek jej teraz zagrozi, to jedynie J.R. Damien.

Damiena nawiedził kolejny potworny sen. Krwawa, pełna grozy wizja, dokładnie taka, jakiej się spodziewał. Oto wpatruje się w zmasakrowane ciało, czuje zapach krwi. Widzi, że dziewczynie odcięto uszy, że czarne, gęste włosy pozlepiane są krwią. Martwe, szeroko otwarte, przerażone oczy patrzą na niego oskarżycielsko. Usta otwarte w krzyku, którego nikt ma nigdy nie usłyszeć, zdają się wołać jego imię, krzyczeć o winie trwającej od dziesięcioleci. Te usta wyją z bólu i wściekłości, wyją tak, że Damien musi zatkać sobie uszy. Nie wytrzymuje. Sam zaczyna krzyczeć. U jego stóp leży w kałuży krwi martwa dziewczyna i właśnie on, Damien, ponosi za to odpowiedzialność.

Jego krzyk wyrwał Lizzie ze snu. Zerwała się zdjeta przerażeniem. Damien widocznie stoczył się z łóżka, bo siedział teraz na podłodze, wsparty o ścianę. Oczy miał otwarte, lecz nieobecne, utkwione w jakiś niewyobrażalnie straszny widok. Oddychał z trudnością.

Wyglądał tak, jakby zobaczył otchłań piekieł, a w niej odbicie swojej własnej twarzy.

Lizzie bez wahania wyskoczyła z łóżka, uklękła przed nim i ujęła jego piękną, w tej chwili bezwładną i lodowato zimną dłoń.

- Damien, obudź się! - krzyknęła, choć dobrze wiedziała, że Damien wcale nie śpi.

Chwyliła go za ramiona i mocno potrząsnęła jego ciałem, tak że uderzył głową o ścianę. To przywróciło mu świadomość. Skierował wzrok na Lizzie.

- Jesteś - powiedział ochryplym, zduszonym głosem i chwycił ją w ramiona. Przywarł do niej całym ciałem. Ukrył twarz w jej gęstych włosach. Wstrząsał nim tak mocny dreszcz, że Lizzie poczuła, że sama też drży na całym ciele. Tuliła go coraz mocniej, rękoma gładziła po twarzy, na skórze czuła gorący oddech. Czuła, jak strach, który go sparaliżował, powoli mija.

- Co ci się śniło? - zapytała, kiedy uznała, że jest już dostatecznie spokojny.

Podniósł głowę. Mimo panującego mroku Lizzie dostrzegła, że oczy ma pełne rozpacz.

- To nie sen - odpowiedział i zdjął z niej dłonie. Przyjrzał się im ze zdziwieniem.

Lizzie nie próbowała się odsunąć.

- Jeśli nie sen, to co? Wizja, z mora?

- Nie wiem... Jakby przebłysk pamięci. - Wytarł dłonie o dzinsy, próbując usunąć z nich nieistniejące ślady. - Widziałem kolejną ofiarę Rozpruwacza - powiedział cicho. - W alejce za tą speluną ze strip-teasem.

- Ostatnią ofiarę znaleziono w West Covina. Damien zaprzeczył ruchem głowy.

- Jest już następna. O wiele bliżej. - Jeszcze raz spojrzął z odrazą na własne dłonie.

Lizzie nie mogła dłużej tego słuchać. Ujęła twarz Damiena w dłoń i spojrzała mu w oczy.

- Co ty próbujesz mi powiedzieć? Czego się boisz? Jakim cudem możesz pamiętać coś, co się jeszcze nie zdarzyło?

- Zdarzyło się! Już się zdarzyło. Chryste, wiem o tym! -
Próbował wstać, odepchnąć ją, ale go zatrzymała.

- Co się zdarzyło? Powiedz.

Lizzie wstrzymała oddech. Damien przez moment wahał się, po czym pokręcił tylko głową i powiedział:

- Powinienem kazać ci odejść, Lizzie. Wysłać cię jak najdalej od siebie, zanim cię...

- Zanim co? - zawołała, kiedy nagle urwał w pół zdania.

Uklękła przed nim, wzięła w dłonie jego twarz i patrzyła mu w oczy bezbronnym, błagalnym spojrzeniem.

- Zanim ktoś cię skrzywdzi - odrzekł spokojniejszym już tonem, lecz Lizzie wiedziała, że nie to miał na myśli. - Gównu mnie obchodzi, co gada Adamson! - zirytował się. Nie przypominał już Damiena dręczonego koszmarną wizją sprzed kilku minut. Był teraz taki, jakim znała go od początku - oschły, rzeczowy, odpychający. - Musisz wyjechać z miasta, a może nawet z Kalifornii - mówił - a najlepiej w ogóle z tego kraju. Rano zawiozę cię na lotnisko i wsadzę do pierwszego odlatującego samolotu.

- Nigdzie nie pojedę - sprzeciwiła się Lizzie.

- Nie wygłupiaj się. Naprawdę nie mam na co wydawać pieniędzy, a jeśli uratuję czyjeś życie, będzie to chyba

najszlachetniejszy uczynek, jaki mi się kiedykolwiek zdarzył. Jeśli chcesz, pieniądze na bilet możesz potraktować jako zaliczkę na konto następnych masek. Proszę bardzo. Ważne jest jedno - musisz stąd wyjechać. Opuścić Los Angeles. I to zaraz.

- Mówiłeś, że przy tobie jestem bezpieczna. Dlaczego mam się bać? - zapytała cicho.

- Bo jestem w stanie poświęcić wszystko i wszystkich, żeby tylko dopaść Rozpruwacza.

Wiedziała, że kłamie.

- Nigdy w życiu nie byłbyś w stanie poświęcić mojego życia.

Przez chwilę oboje trwali w bezruchu. Naraz Damien przyciągnął ją do siebie i pocałował. Całował długo i delikatnie, miękkimi, wilgotnymi wargami, rozkoszując się smakiem jej ust. Lizzie poczuła taką słodycz, że łzy napłynęły jej do oczu. Wypełniło ją ciepło i tęsknota, Zaczęła drzeć w jego ramionach i marzyła już tylko o tym, żeby przylgnąć do niego jeszcze mocniej, poczuć go bliżej, żeby ich dwa ciała stopiły się w jedno.

Damien zacisnął dłonie na jej ramionach. Napotkał jej zamglone spojrzenie.

- Nie ufaj mi, Lizzie - ostrzegł zduszonym głosem i znowu ją pocałował, tym razem mocniej, już nie czule i słodko, lecz z namiętnością tak wielką, że Lizzie poczuła bolesne napięcie. Wymruczał jeszcze coś pod nosem i całował dalej, a ona, przymknawszy powieki, z rozchylonymi ustami odwzajemniała te pocałunki. Rękoma wodził po jej okrytym koszulą ciele. Wsunął

dłonie pod materiał. Czuł, jak żywo reaguje jej rozgrzana skóra i płonące namiętnością piersi. Słyszał jej tęskne, urywane westchnienia. Dla Lizzie, której nogi oplatały jego siedzącą postać, liczyły się już tylko jego spragnione usta, gładkie ręce pieszczące jej piersi i rozpalona męskość, którą coraz wyraźniej czuła pomiędzy rozchyłonymi udami.

Jednym ruchem rozpięła spraną, zapinaną na zatrzaski bluzę i z lubością poczęła gładzić gładki, wilgotny tors. Pod palcami czuła szalone bicie jego serca, tak samo gwałtowne, jak jej własne. Poczowała, że Damien zdejmuje z niej koszulę. Przywarła do niego całą sobą, napawając się piękną rzeźbą nagiego męskiego ciała.

Pozostała jeszcze jedna bariera, lecz ręka Damiena już sięgała w kierunku zapiętych na suwak spodni. Lizzie zwolniła uścisk, pozwalając przecisnąć się jego dłoni, ta jednak nagle zastygła w bezruchu. Chwilę później Damien chwycił Lizzie za ramiona i oderwał wargi od jej ust. Delikatnym ruchem odsunął ją od siebie, wstał i wyszedł z pokoju.

Drżąc z zimna, Lizzie dalej klęczała na dywanie. Targały nią sprzeczne uczucia, lecz jedno wiedziała na pewno: po raz pierwszy w życiu tak bardzo pragnęła mężczyzny i po raz pierwszy doznała tak wielkiego zawodu.

Zapięła guziki koszuli drżącymi palcami. Najchętniej wróciłaby do łóżka i schowała głowę pod kołdrę, byle tylko uniknąć jego spojrzenia, komentarza, uśmiechu, który spodziewała się ujrzeć. Z drugiej jednak strony, była zbyt przejęta, wyczerpana i wściekła, żeby

udawać, że nic się nie stało, zapomnieć o wszystkim i zwyczajnie pójść spać. Wstała więc i poszła w ślad za nim do salonu.

Damien stał w ciemnym pokoju i przez spękaną szybę spoglądał na rozciągające się w dole miasto. Bluzę miał dalej rozpiętą. Widziała wyraźnie jego wysoką, szczupłą, zgrabną sylwetkę. Nawet się nie odwrócił, kiedy do niego podeszła, powiedział tylko cichym, spokojnym głosem:

- Wcale tego nie chcesz.

- A kim ty, do cholery, jesteś, że lepiej ode mnie wiesz, czego chcę. To nie ja zaczęłam...

- Zgoda. - Twarz nadal miał odwróconą w kierunku okna. - Ja zacząłem i ja skończyłem. Kobieto, czy ty nie masz więcej instynktu samozachowawczego niż tygodniowe kocię. - Odwrócił się, oczy błyszczały mu gniewnie. - Kiedy ostatni raz spałaś z facetem? No, kiedy?

Chciała skłamać, ale Damien przecież i tak z pewnością znał prawdę. Wiedział o niej wszystko.

- Po co się pytasz, skoro wiesz? Prawie trzy lata temu. Ale co to ma do rzeczy? Być może mało kto jest w stanie mnie zadowolić?

- No właśnie. To wiele wyjaśnia. Nie należysz do tego rodzaju kobiet, które pójdą do łóżka z każdym, kto im się spodoba.

Zachowujesz dystans, nie wystarcza ci jedynie to, aby facet był przystojny i w miarę miły, oczekujesz od nich więcej. A skoro tak jest, to mamy niezbity dowód na to, że twoje uczucia wobec mojej

marnej osoby, to ani namiętność, ani pragnienie, a tylko paniczny strach. Tak, to właśnie strach popycha cię w moim kierunku.

Podobno żeby opanować wzburzone nerwy, należy policzyć do dziesięciu albo przypomnieć sobie jakiś werset z Biblii. W tej chwili jednak zapewne żadna z tych metod nie przyniosłaby Lizzie uspokojenia.

- Strach? Po raz pierwszy słyszę, że strach to dobry afrodyzjak.

Damien uśmiechnął się zniewalająco. Wyciągnął dłoń, ale cofnął ją, zanim Lizzie zdążyła się zbliżyć.

- Jeśli chodzi o ciebie, to wszystko w tobie działa na mnie jak afrodyzjak - zauważył smętnie. - Proszę cię, wróć do łóżka.

- Dlaczego?

- Bo jak nie wrócisz, to wezmę cię zaraz tu, na podłodze. I w ten sposób oboje popełnimy niewybaczalny błąd.

- Dlaczego? - powtórzyła Lizzie.

- Bo nie stać mnie ani na przygodę, ani na romans, ani na prawdziwą miłość. Nie potrzebuję nikogo. Gały czas, całą energię muszę poświęcić sobie. Nie chcę cię Lizzie. Ale też nie chcę cię zranić.

Hipokryta, pomyślała ze złością. Była coraz bardziej pewna tego, że Damien co innego mówi niż myśli, a jednak jego słowa zraniły ją głęboko.

- Dziękuję za szczerość, albo za rozwianie mych złudzeń, co wolisz - powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy.

- Do licha, dziewczyno, przecież ty naprawdę wcale mnie nie chcesz! - powtórzył rozpaczliwie, a Lizzie nie wiedziała już, czy z takim przejęciem przekonuje ją czy raczej siebie. - Pragniesz bezpieczeństwa, równowagi - mówił. - Pewnie także i miłości, to naturalne. Twoje potrzeby i moja osoba to jednak dwie różne rzeczy, rozumiesz? Te dwa kawałki nie pasują do siebie, nie ułożysz z nich kolorowej układanki. Jestem po prostu facetem, który stara się cię ochraniać, a ty tylko sobie wyobrażasz, że mogę sprostać innym twoim potrzebom. Nie jestem, nie umiem, nie mogę i nigdy nie będę mógł. Wracaj więc do łóżka, zanim zapomnę o rozsądku i wezmę to, co chcesz mi dać.

- Niczego nie zamierzam ci dawać! - ogarnęła ją wściekłość i zmieszanie.

- Doprawdy? - Zanim zdążyła się zorientować, przyciągnął ją do siebie, jedną ręką odchylił jej twarz i znowu przywarł ustami do jej warg. To był krótki, lecz jakże namiętny pocałunek. Kiedy podniósł głowę, jedynie gwałtowny oddech zdradzał jego uczucia. - Widzisz? Mogę mieć cię tutaj w ułamku sekundy. Uciekaj, Lizzie. Jutro odwiozę cię na lotnisko i nigdy mnie więcej nie zobaczysz.

- Jutro? Dlaczego jutro? W nocy też latają samoloty. Dlaczego nie pojedziemy teraz?

- Boże, dziewczyno! Czemu ty mnie dręczysz? - jęknął Damien, nie wypuszczając z objęć jej ciała.

- Bo chcę się dowiedzieć, co przede mną ukrywasz. Chcę wiedzieć, co chciałeś powiedzieć tam, w sypialni. I dlaczego tak

naprawdę chcesz mnie wysłać na drugi koniec kraju? Obawiasz się, że coś możesz mi zrobić? Co? Czy przed Rozpruwaczem chcesz mnie ukryć, czy też przed sobą?

Odwrócił się i znowu wbił wzrok w ciemność za oknem.

- Nie powinnaś o to pytać. Dla własnego dobra.

- Pytałam i będę pytać. Czego się tak boisz? Ciszę, która zaległa po tym pytaniu, przerwał natarczywy dzwonek telefonu. Damien uczynił krok w jego kierunku, lecz Lizzie złapała go za rękę.

- Poczekaj. Niech się nagra. Najpierw masz mi powiedzieć, czego się boisz. Czy tego, że możesz się zaangażować, że włączysz się w związek, który później będzie ci ciążył?

Lizzie ze zdziwieniem słuchała swych słów. Co się stało, że odważyła się zadać tak śmiałe, tak bezpośrednie pytanie? Zawstydziała się nieco własną śmiałością, jednak zaraz potem przewyciężyła ogarniające ją skrepowanie. Teraz było jej naprawdę wszystko jedno. Musiała poznać prawdę.

Damien wyrwał rękę z jej dłoni.

- To nie to. Ja... boję się, że mogę cię zabić! - powiedział i podniósł słuchawkę. W tym samym momencie włączyła się sekretarka i Lizzie usłyszała przez głośniczek Finlaya Adamsona.

- Damien? - powiedział policjant ciężkim głosem.

- Mamy następną. Próbuje skontaktować się z Lizzie.

- Jest u mnie.

Po drugiej stronie na chwilę zaległa cisza.

- Tak myślałem. Mogę z nią pomówić?

- Przekażę jej wiadomość. Śpi i nie chcę jej budzić

- Damien kłamał z łatwością. Nawet nie zerknął na Lizzie, żeby sprawdzić, czy jej to odpowiada.

- Nic dziwnego. Musi być wykończona. Będzie musiała zidentyfikować maskę. Ta sama procedura co zawsze.

- Gdzie znaleźliście ciało?

- Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, więc po co pytasz?

Kolejna prostytutka porozrywana na strzępy.

- Możesz mi zdradzić, czy wrócił do Venice. Znaleźliście ją na plaży czy może w jakiejś bocznej uliczce.

- W bocznej uliczce - w głosie Adamsona pojawiła się czujność.

- Skąd wiesz?

- Prawie wszystkie tak kończyły.

- No tak. Właściwie to nic nie stracę, jak ci powiem. Ciało leżało za „Lśniącym Kotem”, taką nocną speluną przy autostradzie. Znasz ją?

- Znam - odrzekł Damien pozbawionym wyrazu głosem:

- Wolałbym oszczędzić Lizzie widoku tej maski. Wygląda strasznie. Cała przesiąknięta jest krwią.

- Przecież wszystkie tak wyglądają.

- Ta wygląda wyjątkowo potwornie. Facet obciął dziewczynie uszy.

Damien zamknął oczy. Poczul, jak krew odpływa mu z twarzy.

- Dobra. Zobaczymy się rano - powiedział i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

Cały dygotał.

Lizzie nie myślała o zamordowanej dziewczynie. Kimkolwiek była, jest już martwa, nie czuje bólu i nikt nie może jej pomóc. A tu, przed sobą, widzi mężczyznę o zranionej duszy, człowieka, którego prześladowają jakieś potężne, ciemne moce; tak potężne, że nawet boi się o nich mówić.

Chciała podejść i przytulić go do piersi. Była jednak na tyle rozsądna, żeby nie ruszać się z miejsca. Z pewnością by ją odtrącił.

- Co się stało? - spytała. Podniósł głowę.

- Przecież słyszałaś. Znaleźli kolejne ciało.

- Chodzi o coś więcej. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Damien potrząsnął głową.

- Nie, nie widziałem ducha. Widziałem... Ja widziałem tę zbrodnię...

- Damien... Podniósł do góry rękę.

- Nie zbliżaj się, Lizzie. Jeśli brak ci instynktu samozachowawczego, to przynajmniej rób, co ci każę. Ja sam sobie nie ufam.

Lizzie nie wierzyła własnym uszom.

- Jak to nie ufasz? Jak mam to rozumieć?

- Wiesz, jak się nazywam? JR. Damien. John Ripley Damien.

Kiedy byłem mały, wołano na mnie Jack.

Lizzie wiedziała, że po tych słowach powinna ogarnąć ją panika, ku jej zdziwieniu nic takiego jednak nie nastąpiło.

- Czy chcesz powiedzieć, że naprawdę wydaje ci się, że Rozpruwacz, to ty?

- Chryste, sam nie wiem. Widziałem ją. Widziałem je wszystkie. Czuję zapach śmierci, patrzyłem na porozrywane ciała... Moje ręce były splamione krwią...

- To można całkiem logicznie wyjaśnić. Słyszałeś o jasnowidztwie? Wiem. Wiem, że jesteś sceptyczny, jeśli chodzi o te sprawy, ale... Pewnie umiesz przewidywać przyszłość.

-Tak jak Lees?

- Jaki Lees?

- Robert Lees. Jasnowidz królowej Wiktorii. Dziwny, pokręcony facet. Miewał wizje tamtych morderstw. Należał do grona podejrzanych. Tyle że takich podejrzanych było wtedy ze stu. - Damien wykonał ręką gest, świadczący o tym, że odrzuca taką możliwość. - Nie, nie, nie... To jakaś bzdura. Słuchaj, mam trzydzieści siedem lat i nigdy w życiu nie miałem żadnej wizji. Nie dość, że nie posiadam takich zdolności, to na dodatek nie wierzę w ich istnienie.

- W jaki więc sposób mogłeś widzieć te zbrodnie?

- Jest tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Musiałem tam być. Sam musiałem je popełnić.

Lizzie spróbowała uczynić krok w jego kierunku.

- Spokojnie, Damien. Przecież spędziłeś ze mną całą noc. Nie zostawiłeś mnie nawet na chwilę od późnego popołudnia.

- Spałaś, kiedy wszedłem do sypialni. Skąd możesz wiedzieć, że nie przespałaś kilku godzin, w czasie których mogłem popełnić morderstwo i wrócić do mieszkania?

- Aż tak długo nie spałam.

- Rozpruwacz działa błyskawicznie. Wystarczyłaby mi godzina. Zdążyłbym wrócić i jeszcze się umyć.

Lizzie zbliżyła się i wzięła go za rękę.

- Nie sądzisz, że zostałyby jakiś ślad? Na przykład trochę krwi pod paznokciem. - Wyprostowała jego palce. Dłonie Damiena były nieskazitelnie czyste.

- Mogłem założyć gumowe rękawiczki.

Na moment udało mu się zbić Lizzie z tropu. Poczula przechodzący ją dreszcz. Trwało to jednak tylko chwilę. Zaraz potem pewność, że Damien jest niewinny, że to tylko jakaś ponura obsesja dręczy jego duszę, powróciła ze zdwojoną siłą.

- Nie miałeś żadnych rękawiczek. Nie jesteś Rozpruwaczem - orzekła stanowczo.

- Kim więc, do jasnej cholery, jestem? I skąd wiem, to co wiem? Popatrzyła na niego z rezygnacją.

- Nie umiem ci odpowiedzieć, Damien. Jeszcze nie teraz. Znam jednak kogoś, kto będzie mógł.

- Lizzie...

- Rozmawiałeś już z kimś o tym, o swoich podejrzaniach?

- Niby z kim? Nie mam ochoty skończyć w szpitalu wariatów albo w więzieniu. Musiałbym być całkowicie pewien, że to ja. Ale

nawet wtedy wolałbym chyba wsiąść do samochodu i roztrzaskać się o przydrożne drzewo.

- Wiesz coś o następnym morderstwie? Coś, co mógłbyś przekazać policji?

- Mówiłem ci, że nie jestem Robertem Leesem. Wiem, co się dzieje w czasie, kiedy to akurat ma miejsce. Nie tylko wiem. Jestem tam, na miejscu zbrodni...

- Być może duszą. Bo fizycznie byłeś na pewno gdzie indziej.

- Mówiłem ci już, za mało wiesz, żeby...

- Przestań - przerwała mu. Jego sceptycyzm wobec jej osoby już nawet jej nie irytował, po prostu przestała zwracać na niego uwagę. Wiedziała, że teraz ona musi wziąć inicjatywę w swoje ręce. - Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedziała. - Zadzwońię do Courtland.

- Do nikogo nie zadzwonisz.

- Ona ma wyjątkowe zdolności. Naprawdę, choć może trudno w to uwierzyć. Gdyby była taka, jak ci różni szarlatani, to robiłaby na tym pieniądze zamiast pracować za kiepskie grosze „Pod Różowym Pelikanem”. Może wprowadzić cię w stan hipnozy, wejść w twoją podświadomość i odkryć, co cię dręczy.

- Nie.

- Courtland zna tajemnice alfabetu runicznego, umie stawiać tarota.

- Lizzie, przecież to bzdury.

- Może i bzdury, ale warto spróbować. - Sięgnęła po telefon, lecz Damien podszedł od tyłu i wyrwał jej słuchawkę z ręki. Zrobił to tak gwałtownie, że sprawił jej lekki ból.

- Rozpruwacz zachodzi swoje ofiary od tyłu. Ten z Londynu robił tak samo - powiedział beznamiętnie.

Zdaje się, że po tych słowach powinnam się bać, pomyślała Lizzie. Tymczasem czuła jedynie ciepło bijące z jego dobrze zbudowanej klatki piersiowej.

- Nie wygłupiaj się, Damien - powiedziała spokojnie. - Courtland może ci pomóc. Będiesz głupcem, jeżeli nie spróbujesz.

Przez chwilę nie ruszał się z miejsca. W końcu puścił jej rękę. Lizzie natychmiast odczuła przejmujący chłód.

- Rób, co chcesz - powiedział. - Może masz rację, choć i tak w to nie wierzę. Idę się upić.

Szybko wykręciła numer, żeby Damien przypadkiem nie zmienił zdania. Nie czuła żadnego lęku. Choć dręczą go te koszarne wizje, Damien nie może być Rozpruwaczem. Przecież ona, Lizzie, dobrze wie, że obcy jest mu wszelki gwałt. To, co się z nim dzieje, to jakaś obsesja, nawiedzenie, opętanie... To coś z zewnątrz, co wgryzło się w jego duszę i niszczy ją z jakimś sadystycznym okrucieństwem. On sam jednak jest niewinny, czysty.

Tak, Courtland to wyjaśni. Znajdzie odpowiedzi i zaleci właściwe postępowanie. Nie może być inaczej.

A jeśli Courtland potwierdzi jego podejrzenia? Czy tym samym wyda wyrok śmierci na nich oboje?

- Ach, więc to tu mieszka słynny J.R. Damien - powiedziała Courtland, wchodząc dwie godziny później do jego mieszkania. Niedługo miało zacząć świtać. Rozejrzała się dookoła z nieukrywaną ciekawością. - Nie spodziewałam się, że renomowany dziennikarz może mieszkać w takim miejscu.

- Tylko nie renomowany - odezwał się Damien niskim, nieprzyjemnym głosem. Stał w drzwiach do kuchni. - Przyszła pani sama?

Lizzie zeszywniała, choć od początku wiedziała, że nie powinna liczyć na jego uprzejmość.

- Courtland, to jest J.R. Damien. Damien, oto Courtland Massey - przedstawiła ich sobie.

Courtland oceniła Damiena wzrokiem. Miała w sobie tyle kobiecego powabu, że Lizzie przez chwilę pożałowała, że zaprosiła ją tutaj. Zawsze podziwiała jej klasyczną urodę, blond włosy i błękitne oczy. Miała wszelkie atrybuty przydatne początkującej aktorce.

Żaden mężczyzna nie potrafił się oprzeć jej uwodzicielskiemu spojrzeniu.

Teraz Courtland tak właśnie spojrzała na Damiena, a na jej pięknej twarzy pojawił się lekko wyzywający uśmiech.

- Mhm. Więc to jest mój pacjent. Wcale nie wygląda pan na zachwyconego, panie Damien.

- Bo i nie jestem. Nie wierzę w te rzeczy. Lizzie poczuła zmysłowy zapach perfum, którymi

Courtland złała się chyba obficie niż zwykle przed tą wizytą. Nie wróżyło to niczego dobrego. Dziewczyna zbliżyła się do Damiena.

- Większość ludzi tak twierdzi, lecz w głębi duszy czują respekt wobec tego, co wykracza poza granice poznania. I z ufnością słuchają wszystkiego, co mówię.

- Zapewniam panią, że na moją ufność nie ma co liczyć.

Spojrzała na niego z aprobatą.

- Wiem o tym - westchnęła. - Doceniam jednak, że przynajmniej pozwala nam pan spróbować.

Damien wzruszył ramionami. Wyraźnie nie ulegał czarowi, jaki Courtland usiłowała roztoczyć wokół siebie.

- Skoro Lizzie sobie tego życzy... W końcu niczemu nie możecie zaszkodzić.

- Ano właśnie. Powiedziane prawdziwie po męsku. Chodź, Lizzie, musisz mi wyjaśnić parę spraw.

- Po co? Żeby mogła pani udawać, że posiada wiedzę tajemną? - Damien nie mógł darować sobie tej złośliwości. Stał w drzwiach do sypialni i nie ruszał się z miejsca. Był wyraźnie niezadowolony, że zgodził się na ten nieciekawie zapowiadający się eksperyment.

- Słuchaj pan, nie robię tego dla przyjemności - Courtland straciła nieco cierpliwość. - Po prostu staram się pomóc przyjaciółce.

Lizzie pociągnęła ją za ramię w kierunku kanapy.

- Nie słuchaj go. Co chcesz wiedzieć?
- Czy on zawsze jest taki czarujący?
- Czasami nawet gorszy.

Courtland spojrzała na drzwi do sypialni, za którymi zniknął Damien.

- Mimo wszystko jest całkiem w porządku. Chyba nie wyrzuciłabym go z łóżka. Rozumiem, że między wami nic nie ma?

O dziwo, Lizzie nie zalała się rumieńcem. Udało jej się zachować spokój.

- A dlaczego pytasz?

- Bo staram się unikać facetów moich przyjaciółek. Jeśli z nim sypiasz, będę się trzymać z daleka - uprzedziła uczciwie.

Właściwie odpowiedź nie powinna była sprawić Lizzie trudności. Mogła przecież ostrzec Courtland, żeby nie próbowała kokietować Damiena. Z jakiegoś jednak powodu nie udało jej się tego wykrztusić. Poza tym, mimo zapewnień, że nie leży to w jej zwyczaju, Courtland wielokroć uwodziła cudzych mężczyzn i Lizzie wiedziała, że jej prośby i tak na nic by się zdały.

- Nie, nie sypiam z nim i nie roszczę sobie do niego żadnych praw - oznajmiła.

- Tak też myślałam. Nie jest w twoim stylu. Tylko że wiesz, wydawało mi się, że coś... - przerwała w pół zdania. - No, ale pewnie się pomyliłam. Po prostu chciałam mieć pewność. Sądzisz, że będzie bardzo oporny? Będzie się bronił?

Jeszcze godzinę temu Lizzie była pewna, że straciła już wszelkie poczucie humoru, lecz niespodziewanie znowu miała ochotę zażartować.

- Przed tobą czy przed tym, co zamierzamy zrobić?

- Najpierw zajmiemy się jego problemem. A na mnie przyjdzie kolej później.

- No to nie trać czasu.

- O to się nie martw. Dobra, to co mam zrobić? Postawić mu tarota? Albo może lepszy będzie alfabet runiczny? Aha, przyniosłam kryształy...

- Sądzę, że powinnaś wrócić z nim w przeszłość. Tam jest odpowiedź.

Zwykle pogodna twarz Courtland nagle spoważniała.

- Wiesz, że to dość niebezpieczne? Zwłaszcza kiedy nie ma się doświadczenia. Zwykle tego rodzaju seanse zostawiam Hickory'emu. W końcu to jemu zawdzięczam prawie wszystko to, co wiem.

- Jesteś jego najlepszą uczennicą. Jak sam twierdzi, jedyną obdarzoną prawdziwym talentem. Dobrze wiesz, jak to się robi.

- I naprawdę sądzisz, że to wszystko ma coś wspólnego z przeszłością, z którymś z jego poprzednich wcieleń? Wyczułaś coś?

- Nie - Lizzie wiedziała, że kłamie, jednak nie potrafiłaby wyjaśnić, dlaczego to robi. - Tak jakoś przyszło mi to do głowy. Nawiedzają go różne sny, wizje, choć sam temu zaprzecza. Pomyślałam, że może uda ci się dowiedzieć, skąd się biorą.

- No dobrze, ale co będzie, jeśli dowiemy się czegoś, co nam się nie spodoba? Jeśli Damien, na przykład, okaże się złączyńcą?

- Wtedy go szybko obudzisz.

- Może jednak lepiej spróbować tarota.

- No pewnie. Niby przypadkiem wyciągnęłabyś odpowiednią kartę, symbolizującą na przykład przeznaczonych sobie „kochanków”, a stamtąd już prosta droga do sukcesu - Lizzie nie mogła oszczędzić sobie złości.

Courtland zmarszczyła brwi.

- Słuchaj, czy ty aby na pewno się w nim nie zadurzyłaś? W końcu kiedyś zawsze jest pierwszy raz.

- Wierz mi, to nie byłby pierwszy raz. W Kalifornii nie ma dwudziestoośmioletnich dziewic.

- W każdym razie byłby to pierwszy za mojej pamięci. Więc jak? Podoba ci się?

Lizzie już raz skłamała i nie zamierzała czynić tego po raz kolejny.

- Powiedzmy, że dobrze będzie, jeśli uda ci się zachować dystans i trzymać od niego z daleka. Damien jest mój. Zawsze był i będzie.

Courtland wyglądała na zaskoczoną. Po chwili jednak roześmiała się.

- Mówisz, że zawsze. Nie jestem pewna, czy mogę ci wierzyć. Może to ciebie powinnam cofnąć w przeszłość?

- Nie, dziękuję - chłodno odrzekła Lizzie. - Nie martwię się o siebie, tylko o niego.

- Tak upadają królowie - westchnęła Courtland. - Nie martw się, moja droga, będę grzeczna. Gdyby jednak Julianne była na moim miejscu, pewnie nie zachowałaby się tak honorowo. A co do naszej sprawy, spróbuję. Chyba uda mi się cofnąć go wstecz, nie narażając nikogo na niebezpieczeństwo. Bo zdajesz sobie sprawę, że taki numer nie może nijak wpłynąć na nasze obecne życie? Uprzedzam lojalnie, różne dziwne rzeczy mogą z tego wyniknąć. - Sięgnęła do płóciennej torby i wyjęła duży fioletowy kryształ, owinięty w kawałek zużytego, czarnego aksamitu. -No dobrze, zwołaj naszego królika doświadczalnego. Zawsze lubiłam się przyglądać, jak ludzie o sceptycznym nastawieniu bezowocnie usiłują stawiać opór.

Damien leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit. Bluzę miał nadal rozpiętą i widok jego gładkiej skóry oraz wyraźnie zarysowanych mięśni uprzytomnił Lizzie, że największym jej pragnieniem jest znaleźć się znowu koło niego, pieścić jego ciało i ustami poznawać jego smak.

Sama była zaskoczona własną reakcją. Damien pociągał ją w każdy możliwy sposób, i fizycznie, i duchowo. W chwilach takich jak ta, nie odczuwała lęku. Do jej świadomości docierała jedynie jakby odwieczna tęsknota za tym jedynym mężczyzną, z którym chce się związać, a potem uciec od całego świata.

- Courtland czeka - powiedziała z udawanym spokojem. - Oczywiście, jeśli jesteś gotów.

- Trzymaj się od niego z daleka" - Damien powtórzył słowa, które wypowiedziała w rozmowie z przyjaciółką, i Lizzie poczuła, jak rumieniec oblewa jej policzki. Próbowwała naprędce wymyślić jakieś w miarę sensowne wyjaśnienie.

- Wiesz, ktoś musi się mieć na baczności. Damien płynnym ruchem podniósł się z łóżka.

- To znaczy kto? Courtland czy ja?

- Sam zgadnij - odrzekła i odwróciła się w kierunku drzwi.

Błyskawicznie znalazł się przy niej, obrócił ją ku sobie i przyparł do ściany. W pokoju obok Courtland nuciła jakąś piosenkę, całkiem nieświadoma sceny rozgrywającej się w sypialni. Tymczasem Damien naparł na Lizzie całym ciałem.

- Jestem twój, tak? Zawsze byłem? - Twarz wykrzywioną miał w smutnym, pełnym autoironii uśmiechu. - Mój Boże, chciałbym, żeby to było takie proste.

Lizzie przymknęła powieki. Czuła, jak rośnie między nimi napięcie. Wreszcie Damien zaczerpnął głęboko powietrze i wypuścił ją z objęć.

- Ech, idź do diabła, Lizzie. - Pokręcił głową.

- Z tobą zawsze, jeśli tylko sobie tego życzysz.

Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Mimo słów, które tyle razy słyszała z jego ust, mimo udreki malującej się w jego spojrzeniu, była coraz bardziej pewna tego, że nie jest mu obojętna. Gdyby było inaczej, nie trzymałby jej w ten sposób, nie wzdychał, nie kręcił tak rozpaczliwie głową.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do drzwi, a on ruszył za nią z miną ofiary udającej się na spotkanie kata.

Gdy znalazł się obok Courtland, obrzucił ją nieprzyjaznym spojrzeniem i zapadł się w stary, poprzecierany fotel. Lizzie usiadła po turecku na podłodze obok.

- Są jeszcze wolne miejsca — zauważyła Courtland.

- Wiem - odrzekła Lizzie z udawanym spokojem, nie ruszyła się jednak z miejsca. Odczuwała wręcz biologiczną potrzebę, żeby w tej chwili być obok Damiena. Poza tym, nie miała pojęcia, co Courtland zdoła z niego wydobyć, więc chciała być blisko, na wypadek gdyby konieczna mu była pomoc.

Nie bała się prawdy. Niezależnie od tego, jak nieprzyjemne mogą okazać się ich odkrycia, nie będzie to z pewnością bardziej przerażające niż trapiące go koszmarne wizje i związane z nimi uczucie niepewności.

Lizzie już wcześniej widywała Courtland w czasie seansów, więc teraz całą uwagę skupiła na Damie-nie. Siedział w fotelu z lekceważącym, pełnym rezerwy spojrzeniem i twarzą wykrzywioną w drwiącym uśmiechu. Po chwili jednak, gdy skierował wzrok na ostro oszlifowany kryształ w rękach Courtland, jego spojrzenie stało się nagle puste i jakby nieobecne.

- Co pan widzi? - zapytała swoim charakterystycznym, śpiewnym głosem, który zawsze w takich sytuacjach przyprawiał Lizzie o ciarki na grzbiecie. - Proszę przyjrzeć się własnym stopom. Jak wyglądają?

- Jak stopy - wycedził przez zęby.

- Kim pan jest?

- Przecież pani wie.

- W jaki sposób zarabia pan na życie?

- Jestem dziennikarzem - odpowiedział znudzonym głosem, jakby uważał zadawane mu pytania za co najmniej oczywiste, jeśli nie idiotyczne. Jego wzrok nadal był jednak nieobecny, a głos, którym mówił, zdawał się dobiegać gdzieś z oddali. Brzmiał inaczej niż zwykle, choć Lizzie nie potrafiłaby wyjaśnić, na czym polegała ta różnica.

- To wiem. Gdzie pan pracuje?

- To też żadna tajemnica - odparł. - W „London Star”, niezmiennie od siedmiu lat.

Teraz Lizzie z przerażeniem zdała sobie sprawę, na czym polega różnica w głosie Damiena. Mówił z wyraźnie brytyjskim akcentem!

- Podoba się panu ta praca, panie...? Przepraszam, nie pamiętam pańskiego nazwiska. - Courtland mówiła spokojnym, łagodnym głosem.

- Tak, raczej tak. A nazywam się Killian. James Killian.

- Jaki mamy teraz rok, panie Killian?

- Droga pani, wie pani tak samo dobrze, jak ja, że mamy rok 1888. Dokładnie listopad. Ludzie długo będą pamiętać ten rok. Dopóki nie zapomną o Rozpruwaczu, ta data wciąż będzie tkwiła w ich pamięci...

- Słyszał pan o Rozpruwaczu?

- Czy słyszałem? Przecież zajmuję się tą sprawą od początku - odrzekł wyraźnie rozzłoszczony jej niewiedzą. - Czy nie wie pani, że to właśnie ja pojawiam się zwykle jako pierwszy dziennikarz na miejscu zbrodni? Może to nie ja robię zdjęcia tych potworności? - Wstrząsnął nim dreszcz. Lizzie instynktownie chciała chwycić go za rękę, lecz w porę się powstrzymała. - Już sam nie wiem, przy której było najgorzej - Damien ciągnął tymczasem swoją opowieść. - Polly

Nichols wyglądała fatalnie. Widok Cathy Eddowes mógł złamać serce. Ale chyba najbardziej przeżyłem śmierć Liz Stride, Smukłej Liz, jak ją nazywano. Leżała w kałuży krwi z ręką zaciśniętą na torbie orzeszków. Potem inne prostytutki mówiły mi, że Liz uwielbiała orzeszki. Pewnie wolała umrzeć niż wypuścić je z ręki. Biedna dziewczyna... W dodatku ktoś musiał go spłoszyć, bo nie zdążył dokończyć roboty. Pewnie dlatego tak się mścił na Cathy Eddowes, niespełna kilka godzin później.

- Znał pan te kobiety?

- Znałem Liz i Cathy. Widzi pani, od czasu drugiego morderstwa sporo przesiaduję w pubie „Ten Bells” w Whitechapel. Pierwsze na nikim nie zrobiło większego wrażenia. W końcu zabójstwa prostytutek nie należą do rzadkości. Giną z ręki alfonsów, klientów czy nawet koleżanek po fachu. Kiedy jednak znaleziono drugą, zacząłem się zastanawiać. Zresztą, policja też zaczęła przejawiać zainteresowanie tą sprawą, a James Killian należy do ludzi, którzy mają policjantów na oku.

- Prowadzi pan własne obserwacje, tak?

- Otóż to. I powiem pani coś jeszcze: zamierzam sam złapać tego krwiopijcę. Przyskrzynię go, choćby po to, żeby sprawić przyjemność czytelnikom „London Star”. - Pochylił się do przodu i ciągnął dalej konfidencjonalnym szeptem. - Wie pani, on do mnie pisze. Niektóre z tych listów nawet wydrukowaliśmy.

Okropne były. Pisał, że zjadł wątrobę jednej z ofiar i inne okropności... Ostatni list zatrzymałem tylko dla siebie. Nawet mój naczelny go nie widział.

- Nie sądzi pan, że powinien go raczej pokazać policji? Mógłby im pomóc.

- A niby dlaczego mam im pomagać? Troszczę się tylko o siebie, taki już ze mnie maminsynek. A ta sprawa to dla mnie życiowa szansa, nie mam zamiaru jej stracić.

- Co pan przez to rozumie?

- Ma na oku następną. Podał mi tyle szczegółów, że udało mi się ustalić którą. Zamierzam złapać go na gorącym uczynku.

- Nie boi się pan?

- Mam broń i wiem, jak jej użyć. Jak będę musiał, to rozwalę mu czaszkę i zostanę bohaterem. Dzięki mnie sprzedamy z tysiąc egzemplarzy gazety.

Courtland spojrzała na Lizzie z zakłopotaniem.

- Pomóż mi. Zbyt mało wiem o tamtej sprawie, żeby zadawać kolejne pytania- zwróciła się do przyjaciółki.

- Ja też. - Lizzie bezradnie rozłożyła ręce. Przyjrzała się Damienowi. Wyglądał teraz inaczej - młodziej, bardziej bojowo i

mniej rozsądnie. Wręcz bezczelnie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że takim też go znała. - Ile kobiet dotychczas zamordował? - zapytała z wahaniem.

- Czy pani nie czyta gazet? - zachnął się, wyraźnie urażony.

- Czytam, tyle że nie „Star”.

- Durna arystokratka - mruknął pod nosem. - Na razie zamordował cztery: Polly Nichols, Annie Chapman, Cathy Eddowes i Liz Stride.

- A co z piątą? - spytała Lizzie, pamiętając, że Damien wyraźnie wspominał o pięciu ofiarach.

- Co pani? Nie będzie żadnej piątej. Moja w tym głowa. Sam pilnuję Mary Kelly i w żaden sposób nie uda mu się jej dopaść.

Lizzie spojrzała z przerażeniem na Courtland. Ta tylko pokręciła głową i kontynuowała ten przerażający seans.

- Jest dwa miesiące później - powiedziała łagodnie. - Mamy teraz styczeń. Gdzie się pan znajduje?

Głos Damiena stał się nagle bełkotliwy.

- U... Upiłem się.

- Dobrze, ale gdzie?

- W „Ten Bells”... Wykonałem swoją robotę. Zrobiłem zdjęcia jej ciała... to znaczy tego, Co z niego zostało. Leżały na łóżku, na stole, dosłownie wszędzie.. . - Głos mu się załamał.

- Czyjego ciała? - spytała Lizzie.

- Mary Kelly.

- Kto ją zabił? - Musiała o to zapytać.

Damien spojrział na nią z fotela. Chwyliła go za ręce i poczuła, że są zimne jak lód.

- Ja. Ja zabiłem Mary Kelly.

- Powinnaś była wcześniej mnie ostrzec - powiedziała Courtland z pretensją w głosie. Stała w pustym korytarzu pod gołą żarówką, oświetlającą drzwi prowadzące do mieszkania Damiena.

- Przed czym? Domyślałaś się przecież, że musi to mieć jakiś związek z Rozpruwaczem.

- Ale nie spodziewałam się, że tak dosłowny. Żałuję, że go tak szybko obudziłam. Bałam się, że może zrobić coś złego, sobie albo nam. Szkoda, że nie było z nami Hickory'ego. Nie uległby tak łatwo panice jak ja.

- Sądzisz, że Damien będzie pamiętał, co mówił?

- Raczej tak. Chyba że należy do ludzi, którzy potrafią wymazać z pamięci to, czego nie są w stanie zaakceptować. Są tacy. - Courtland przygładziła ręką włosy. W świetle żarówki wyglądała na wyczerpaną.

- Myślisz, że mówił prawdę?

- Ludzie na ogół nie kłamią w głębokiej hipnozie. Poza nielicznymi przypadkami, kiedy kłamstwo tkwi tak głęboko, że ktoś sam w nie wierzy. Skoro Damien mówi, że zamordował Mary Kelly, to pewnie to zrobił. Na twoim miejscu zadzwoniłabym na policję.

- I co byś powiedziała? Że Damien popełnił morderstwo ponad sto lat temu? Wyobrażasz sobie, jak Adamson zareagowałby na taką wiadomość?

- Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że nie powinnaś tu zostać. Dzieje się tu coś dziwnego. Chyba więcej niż byłam w stanie się dowiedzieć. Moim zdaniem nie jesteś tu bezpieczna.

- Jeśli z nim nie jestem bezpieczna, to kto ma mnie obronić? Przecież nie policja. Do tej pory nie zrobili niczego, żeby przeszkodzić mordercy. Chyba jednak postawię na Damiena.

Courtland przyjrzała się Lizzie i na jej pięknych ustach pojawił się uśmiech.

- Jezu, aleś sobie wybrała porę na miłość - powiedziała łagodnie.

- Nie bądź śmieszna - Lizzie zaprotestowała gwałtownie. - Znamy się dopiero dwa dni i doprawdy w niczym nie przypomina on księcia z bajki.

- Zależy, jakie kto lubi bajki. Nie zapominaj, że ja cię dobrze znam. Nigdy nie gustowałaś w prostolinijnych typach. - Courtland mocno objęła przyjaciółkę. - Obie dobrze wiemy, że znacie się o wiele dłużej. Czujesz to, prawda? To ciebie należałoby cofnąć w czasie, nie jego. Gdybyś dała mi spróbować, może wiedziałybyśmy znacznie więcej o tym wszystkim.

- Nie zwracaj sobie mną głowy. - Lizzie machnęła ręką. - I tak czuję się, jakbym cierpiała na rozdwojenie jaźni, nie próbuj więc zrobić ze mnie zupełnej wariatki. Wiem, kim jestem. Jestem Lizzie Stride. Tylko która?

Courtland pokręciła wolno głową.

- A mi się zdaje, że się mylisz.

- Co przez to rozumiesz?

- Nie wiem do końca. Wydaje mi się, że to wszystko jest znacznie bardziej zagmatwane niż myślimy. To, że się tak samo nazywasz, nie musi wcale oznaczać, że jesteś tamtą osobą. Nie wiem, nie wiem... Tu chodzi o coś innego, tyle że sama nie wiem, o co. Poszukam Hickory'ego i dowiem się, co on o tym myśli. - Spojrzała na Lizzie. - A na razie uważaj na siebie. Skoro nie chcesz iść ze mną do domu, to przynajmniej miej się na baczności. Czuję... - Nagle odskoczyła do tyłu z poszarzałą twarzą. - Boże, czuję śmierć - wyszeptała.

-Ale....

- Uciekam stąd! - krzyknęła Courtland i ruszyła korytarzem. - Na twoim miejscu zadzwoniłabym do Adamsona.

- Uważaj na siebie! - Lizzie zawołała za przyjaciółką.

Courtland zatrzymała się przy wejściu do windy.

- Już widno, ja jestem bezpieczna. Pomyśl o sobie. Lizzie wróciła do mieszkania Damiena. Po tym, co usłyszała od przyjaciółki, czuła się dość niepewnie. Światło brzasku wpadające do pokoju jeszcze bardziej spotęgowało atmosferę niesamowitości. Damien nadal siedział w fotelu. Lizzie ogarnęły wątpliwości. Raz po raz wracały do niej niepokojące słowa Courtland i jeszcze straszniejsze słowa, które padły z ust Damiena.

Nigdy w życiu nie była zakochana. Raz zdawało jej się, że jest, ale wiarołomstwo Marka szybko wyleczyło ją z romantycznych złudzeń. Jeśli zaś chodzi o Freddy'ego, to miała wprawdzie nadzieję, że zwykle zainteresowanie przerodzi się w coś poważniejszego, lecz

kiedy to się nie udało, zrezygnowała z szukania miłości i uznała, że nie warto marnować życia na uganianie się za nieodpowiednimi facetami.

John Ripley Damien był z pewnością najmniej odpowiedni ze wszystkich. Ogarnięty swoją obsesją, dostrzegał tylko jeden cel - odnaleźć Rozpruwacza. Wyjaśniał bez ogródek, że nie ma Lizzie nic do zaoferowania. Tylko że im dłużej jej to wyjaśniał, tym bardziej go pragnęła.

Do licha, powinna była spędzić swe młode lata, czytając romanse, może by się wtedy czegoś nauczyła o życiu. Zamiast tego szukała jednak niesamowitych przeżyć, interesowała się sztuką, a wreszcie poświęciła się robieniu masek. I proszę - efekty są takie, jakie są. Czy to rozsądne, że zaprzęta sobie głowę mężczyzną, po którym nie może spodziewać się niczego dobrego? Mężczyzną, który jest dziwakiem, który jest nieprzewidywalny i niebezpieczny, który... Który tak naprawdę nie wiadomo kim jest!

Od początku powinna być bardziej ostrożna. Kiedy pierwszy raz go ujrzała, wiedziała, że ten człowiek niesie ze sobą nieszczęście, że może okazać się bardziej niebezpieczny dla jej spokojnego bytu niż najstraszniejszy seryjny morderca.

Kiedy jednak spojrzała na niego po raz drugi, chciała podejść i dotknąć jego ciała. Położyć się przy nim bez ubrania, całować jego usta, przytulić do piersi i ukoić. Sprzątać mu w domu i podawać jedzenie. Skłonić go do uśmiechu. Marzyły jej się różne rzeczy, które

zwykle robią zakochane kobiety. Pragnęła doświadczyć miłości, bólu i radości. Właśnie z Damie-nem. Z nikim innym, tylko z nim.

- Będziemy musieli wyjść. Skończyły mi się papierosy - obwieścił nagle, choć Lizzie wciąż sądziła, że śpi, wyczerpany po seansie.

To zwyczajne stwierdzenie dodało jej otuchy. Nie zdobyła się jednak na to, by zbliżyć się do niego. Usiadła na kanapie z kolanami pod brodą.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Normalnie. Co ta twoja nieźrównowazona przyjaciółka ci naopowiadała?

- Wcale nie jest nieźrównowazona.

- Jest, i to bardzo. Wszystkie te gadki o poprzednich wcieleniach... - sarknął pod nosem, unikając jej wzroku.

- Pamiętasz coś?

- Pewnie, że tak. Przecież cały czas grałem. Ja i James Killian, dziennikarz londyńskiej gazety. Też coś.

- Chcesz powiedzieć, że przez cały czas udawałeś? Że wymyśliłeś to wszystko? - Lizzie utkwiała w nim zdumiony wzrok.

- A jak ci się wydaje?

- Sądzę, że teraz próbujesz być cyniczny, bo się boisz. Courtland cofnęła cię w przeszłość i śmiertelnie się wystraszyłeś. Ale przecież to, co mogłeś zrobić w poprzednim wcieleniu, nie ma nic wspólnego z twoim obecnym życiem. Nie bój się, Damien.

- Doprawdy? - spytał z goryczą.

- Powiedz mi prawdę. Sprowadziłam tu Courtland, żeby ci pomóc. Jeśli zamierzasz uciekać przed tym, co odkryła...

- Przed niczym nie uciekam, a już na pewno nie przed poznaniem prawdy - oburzył się.

- Tak? No to powiedz mi, jak to było.

Damien potrząsnął głową, jakby chciał zebrać myśli. Wzrok skierował na jakiś punkt nad jej głową. Lizzie poczuła się nieco nieswojo. Tam właśnie wisiały jej maski.

- W porządku, zahipnotyzowała mnie. To muszę przyznać. Hipnoza jest możliwa. Kiedy więc znalazłem się w tym stanie, wydarzenia ostatniego okresu, odkrycia jakie poczyniłem i jej własne sugestie ułożyły się w pewną całość. To było jak sen.

- Opowiedz mi ten sen.

- Daj mi spokój.

Lizzie nawet nie mrugnęła. Wstała z kanapy i znowu usiadła u jego stóp na podłodze. Wiedziała, że nie musi go dotykać, żeby odczuł jej bliskość. Podświadomie wierzyła, że w ten sposób dodaje mu otuchy.

- Opowiedz mi swój sen - poprosiła raz jeszcze.

- Jeśli to zrobię, czy zgodzisz się wyjechać z Los Angeles?

Nie chciała go opuszczać. Sama jednak także żądała, żeby zrobił dla niej więcej niż był gotów. Musiała zaoferować mu coś w zamian.

- Jeśli naprawdę sobie tego życzysz...

Przez chwilę wpatrywali się w siebie w milczeniu, które wyrażało więcej niż słowa.

- Naprawdę. Zanim nie będzie za późno. I dla ciebie, i dla mnie.

11

Damien położył plecy na oparciu fotela i zamknął oczy. Na jego twarzy malował się ból. Lizzie czekała cierpliwie. Nie próbowała go ponaglać.

W mieszkaniu było nadal mroczno. Jedynie z łazienki sączyła się smuga światła. Cienie wstającego za oknem dnia układały się w geometryczne wzory na podłodze.

Dziwnie spokojny głos Damiena dobiegł ją jakby z oddali. Tym razem był to jego własny głos, pozbawiony obcego, brytyjskiego akcentu Jacka Killiana.

- To naprawdę było jak sen. Patrzyłem na tego człowieka, zupełnie jakby stał tu, obok. Do diabła, nawet nie był do mnie podobny. Miał trochę ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, jasnobrązowe włosy, bokobrody i wąsy. Ubrany był w garnitur w szkocką kratę, a na palcu miał sygnet z różowym brylantem. -Damien bezwiednie dotknął własnej ręki, jakby sprawdzając, czy znajdzie tam pierścień. - Wydawało mu się, że jest bardzo sprytny - mówił dalej. - Myślał,

że idąc po śladach Rozpruwacza i demaskując jego zbrodnie, osiągnie szczyty kariery. Pisał o nim artykuły, robił zdjęcia i w ten sposób zaczynał być sławny. Nie przeszkadzało mu, że pod wpływem tego, co pisał, ludzie z Whitechapel i Spitalfields zaczęli ulegać zbiorowemu szaleństwu, ani też fakt, że dostawał dziesiątki listów od

osób podających się za mordercę. W końcu otrzymał ten, na który czekał.

Damien westchnął i pokręcił głową. Spojrzał w oczy Lizzie, która siedziała przy nim, skupiona, przejęta, lecz bynajmniej nie przerażona. Nie odrywając od niej wzroku, zaczął mówić dalej:

- Od razu zorientował się, że tym razem list pochodzi od prawdziwego Kuby Rozpruwacza. To był chełpliwy list, pisany ręką szaleńca, pełen przechwał i pogrózek. Zamiast przekazać go policji, Killian najpierw opublikował go w gazecie, mimo że wiedział, że w ten sposób utrudnia śledztwo. Cóż, taki właśnie był. Nie liczyło się dla niego nic poza własną karierą. Pochodził z biednej rodziny w Shepherd's Bush i bardzo chciał się wybić. Kiedy zobaczył pierwszą ofiarę, odszedł na bok i zwymiotował. Lecz kiedy już robił zdjęcia Cathy Eddowes, nie drgnęła mu nawet powieka. - Damien przerwał i zamknął oczy. Na chwilę zapadła cisza. - Znał je - powiedział w końcu, podnosząc powieki, żeby spojrzeć na Lizzie. - Znał ostatnie trzy ofiary: Liz Stride, Cathy Eddowes i Mary Kelly. Zaczął przesiadywać w „Ten Bells”, z nadzieją że kiedyś zajrzy tam Rozpruwacz. Wszystkie poprzednie ofiary widywane były w tym pubie, więc sądził, że i Rozpruwacz musi w nim bywać. Spędzał tam dużo czasu. Wdawał się w pogawędki z prostytutkami, próbował oczarować je swoim urokiem...

Damien zrobił kolejną przerwę. Pewnie gdyby miał papierosy, paliłby jednego za drugim. Na szczęście nie miał. Za oknem zrobiło się już prawie całkiem jasno. Słysząc było odgłosy pierwszych

przejeżdżających samochodów. Tutaj zaś, w tym dziwnym mieszkaniu rozgrywała się przedziwna psychodrama.

- Najbardziej niezwykle było to - znów zaczął mówić - że Rozpruwacz wybierał akurat te kobiety, które szczególnie przypadły Killianowi do gustu. Nie znaczy to, że Killian z nimi sypiał. Na to wciąż jeszcze był zbyt grzecznym chłopcem. Chodziło o co innego. Na przykład o to, że Cathy Eddowes miała dość sprośne poczucie humoru, które szczególnie lubił. Z kolei stara i zużyta Liz Stride kochała orzeszki i fiołki, a poza tym była łagodnego usposobienia i często matkowała innym bywalcom pubu. Killian tak bardzo ją polubił, że kiedy znaleźli jej ciało, o mało się nie rozplakał. Najgorzej jednak było z Mary Kelly. Pragnął jej. Ubzdurał sobie, że ją kocha. Rozpruwacz przysłał mu ostatni list, w którym twierdził, że widział go z Mary, i że to właśnie ona będzie ostatnią ofiarą.

Damienem wstrząsnął nagły dreszcz. Lizzie poczuła, że pragnie go przytulić i pocieszyć. Nie śmiała jednak się ruszyć. Obawiała się, że jeden jej ruch albo jedno słowo może zakłócić jego skupienie i uniemożliwić skończenie opowiadania.

Nieoczekiwanie w głosie Damiena znowu pojawił się brytyjski akcent, choć może nie tak silny, jak poprzednio.

- Nie oddałem tego listu policji - wyszeptał. - Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Zdawało mi się, że potrafię sam złapać mordercę, że mogę zagwarantować Mary bezpieczeństwo... Ona była inna. Nie lubiła swej ulicznej profesji. Gdyby udało nam się razem zatrzymać Rozpruwacza, stałaby się sławna. Otworzyłyby się przed nią nowe

możliwości, o których inne mogły tylko marzyć. Chciała zostać aktorką, a była wyjątkowo ładna. Naprawdę, wyjątkowo ładna... - na chwilę zawiesił głos.

Lizzie z rosnącym niepokojem wpatrywała się w jego twarz. Wzrok Damiena znów stał się pusty, nieobecny, usta, suche i sine, wygięły się w grymasie przerażenia.

- A jednak myliłem się - mówił z rozpaczą. - Byłem głupi, beznadziejnie głupi. Kuba Rozpruwacz mnie przechytrył. A Mary... Nawet nie krzyknęła, wydała tylko pojedynczy, cichy jęk. Musiała już nie żyć, kiedy wyczyniał te okropieństwa z jej ciałem. Nigdy nie dowiedziała się, co z nią zrobił. I co ja zrobiłem, przez to że ją zawiodłem. Przez to, że czekałem zbyt długo...

Wstrząśnięta do głębi, Lizzie patrzyła, jak łzy spływają po jego zapadniętych, śniadych policzkach. Było to o tyle przejmujące i niezwykle, że twarz Damiena nie wyrażała ani żalu, ani cierpienia, jedynie łzy świadczyły o tym, jak bolesne są dla niego te doznania.

Odczekała długą chwilę. Kiedy zrozumiała, że Damien sam więcej już nic nie powie, zaryzykowała pytanie.

- Co wydarzyło się później?

Spojrzał na nią ze zdziwieniem, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o jej istnieniu. Nie był nawet świadom łez spływających mu po twarzy.

- Killian musiał wykonać fotografie z miejsca kolejnej zbrodni. Nie mógł sobie tego odmówić. W dodatku było za późno na przekazanie listu policji. Zostałby oskarżony o utrudnianie śledztwa i

straciłby pracę, a przecież tak naprawdę poświęcił życie Mary dla dobra własnej kariery. Bez sensu byłoby narażać ją na szwank, skoro nieszczęście i tak już się wydarzyło. Wiedział, że Mary zgodziłaby się z nim, gdyby tylko mogła mówić. - Odrzucił włosy do tyłu. - A Rozpruwacz nigdy nie został ujęty. Mary Kelly była ostatnią jego ofiarą. Kiedy zaś seria morderstw zakończyła się, Killian przestał odnosić zawodowe sukcesy. Zaczął pić, dwa lata później wyłowiono jego ciało z Tamizy,

Policja uznała, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nieprawda. Sam się utopił, bo sumienie nie pozwalało mu żyć.

- To byłeś ty - tym razem Lizzie już nie pytała. Wiedziała, że Damien mówił prawdę. Trudną prawdę o sobie. - Ty w poprzednim wcieleniu.

Damien z trudem próbował odzyskać równowagę.

- Nie bądź śmieszna. To był sen, siła sugestii. Wierzę oczywiście, że jeśli reinkarnacja nie jest jedynie piękną bajką, to w poprzednim wcieleniu mogłem być dziennikarzem, ale...

Lizzie uklękła i położyła dłonie na jego udach. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Damien, czemu się nadal opierasz? Przecież to wyjaśnia wiele rzeczy. Na przykład, skąd wzięła się ta twoja obsesja, żeby za wszelką cenę schwytać Rozpruwacza z Venice. Byłeś dziennikarzem zamieszanym w podobne morderstwa ponad sto lat temu. Jesteś rozgoryczony, bo podświadomie czujesz się odpowiedzialny za śmierć tamtej dziewczyny. Teraz, w obecnym życiu, próbujesz załatwić

porachunki z przeszłością. Wiesz, że tym razem musisz uratować Mary Kelly, musisz schwytać Rozpruwacza i powstrzymać go. Wiem, że to wszystko brzmi jak scenariusz jakiegoś fantastycznego filmu, ale czy jesteś w stanie podać bardziej logiczne wytłumaczenie tego, co z tobą się dzieje?

- Nikogo nie jestem w stanie uratować. Kobiety giną nadal - odburknął.

- Mnie uratowałeś. Zapewniłeś mi bezpieczeństwo.

- Do tej pory - odrzekł z drwiącym uśmiechem. - Sądzisz, że długo jeszcze będę w stanie cię osłaniać?

- Mam nadzieję, że dostatecznie długo. Damien wyciągnął rękę i wsunął palce w jej długie, gęste włosy.

- Liz Stride, Smukła Liz, a co z twoim przeznaczeniem?

- Moim?

- Myślisz, że to, że się tak samo nazywacie, jest jedynie kwestią przypadku? Dlaczego więc ten rzeźnik nie ugania się za innymi? Owszem, Eddowes to dość rzadkie nazwisko, ale bez większego problemu mógłby znaleźć jakąś Mary Kelly, Polly Nichols albo Annie Chapman. A jemu chodzi tylko o ciebie. Naprawdę nie zastanowiłaś się, dlaczego?

- Może ty mi wyjaśnisz?

- Proszę uprzejmie. Liz Stride nie zdążył poćwiartować.

Najwyraźniej ktoś mu przeszkodził. Znaleziono ją z podejrzanym gardłem, lecz reszta ciała była nietknięta. To pewnie dlatego wyżywał

się tak potem na Cathy. Wiesz, że wyciął jej wątrobę, i kawałek przesłał Killianowi? Resztę zjadł.

Lizzie z trudem opanowała ogarniające ją mdłości. Odwróciła głowę.

- O co chodzi? - spytał. - Nie chcesz słuchać? Ale taka właśnie jest prawda.

- Prawda? Wydawało mi się, że mówiłeś, że to tylko sen.

Na chwilę zamknął oczy. Sprawiał wrażenie zupełnie wycieńczonego i zdezorientowanego.

- Już sam nie wiem, co jest prawdą, a co snem, Lizzie. Co wydarzyło się sto lat temu, a co w zeszłym tygodniu. Wiem jedynie, że nazywam się John Ripley Damien i że pracuję w „Los Angeles Chronicle”. Na pewno nie jestem Jamesem Killianem z „London Star”. To prawda, wyrządziłem w życiu sporo zła. Patrzyłem na Mary Kelly, kiedy polewała się benzyną, mimo że mogłem ją zatrzymać.

- Mówiłeś, że na imię miała Betty. Spojrzał na Lizzie z przerażeniem.

- Betty... - powtórzył za nią jak echo. - Tak, Betty... Boże, Boże, pomóż mi! - jęknął, odepchnął Lizzie od siebie i chwiejnym krokiem udał się do sypialni, zatrzaskując za sobą drzwi.

Lizzie została sama. Nie wiedziała, co robić dalej. Rozsądek mówił jej, że powinna wybiec na ulicę, zatrzymać pierwszą przejeżdżającą taksówkę i kazać się zawieźć na lotnisko. Przecież ma pieniądze. Hickory dał jej tyle, że powinno wystarczyć przynajmniej na wyjazd poza granice stanu. Nie chciała jednak uciekać, choć

wiedziała, że od tego może zależeć jej życie. Jeśli Damien zmusi ją, wtedy wyjedzie. Ale tylko wtedy.

Bała się go opuścić. Cierpienie nękające go od lat było tak wielkie, że nie wiadomo, co mógłby zrobić, gdyby został sam. Może by oszalał, może zaczął mordować, a może sam odebrałby sobie życie. A ją niepewność o jego los doprowadziłaby do obłądu.

Nie, nie była zakochana. Sama myśl o tym zdawała się jej absurdem. Po prostu tkwiło w niej głębokie przekonanie, że musi ratować Damiena. Tak samo jak on był przekonany, że musi ratować jej życie.

Wyciągnęła się na zapadniętej kanapie. Chciała pójść do niego, lecz domyśliła się, że w tej chwili woli być sam.

Ogarnęło ją niewyobrażalne zmęczenie. Światło poranka na dobre rozjaśniło już mrok panujący w pokoju. Lizzie zamknęła oczy. Przez chwilę zdawało się jej, że z oddali dobiegło ją czyjeś ciche wołanie, lecz zaraz znowu zaległa cisza. Zasnęła.

Kiedy Damien obudził się w sypialni, było ciemno i gorąco. Mimo to całe ciało pokryte miał zimnym potem. Spojrzał na elektroniczny zegar stojący przy łóżku. Wskazywał szóstą trzydzieści trzy. A więc już wieczór. Przespał cały dzień. I co dziwne, nie nawiedziły go żadne koszmary.

Rozejrzał się. Obok niego w łóżku nie było nikogo. Bolały go wszystkie mięśnie, jakby właśnie ukończył bieg maratoński. W lepszych czasach stać go było na takie sportowe wyczyny, w tej chwili

marzył tylko o tym, żeby stanąć pod gorącym prysznicem i pozwolić wodzie zagłuszyć ból i przykre wspomnienia.

Po wyjściu z łazienki czuł się już nieco lepiej. Związał długie mokre włosy na karku, założył wypchane džinsy i starą, zszarzałą podkoszulkę, która niegdyś zapewne była czarna. Otworzył drzwi do pokoju. Panował w nim osobliwy, złowieszczy mrok. Damien przez chwilę stał bez ruchu, próbując odegnać złe przeczucia.

Po chwili, kiedy jego oczy przywykły do mroku, dostrzegł wyciągniętą na kanapie sylwetkę Lizzie. Leżała na brzuchu z rozrzuconymi rudymi włosami, a on wiedział, po prostu wiedział na pewno, że kiedy podejdzie i odwróci ją ku sobie, napotka martwe spojrzenie, ujrzy ślad noża na szyi, a z ręki dziewczyny wypadnie torba orzeszków.

Ruszył w jej stronę. Poruszał się w zwolnionym tempie, tłumacząc sobie, że musi znieść ten widok. Dotknął ramienia Lizzie. Było nadal ciepłe i sprężyste. Śmierć musiała nastąpić niedawno.

Odwrócił ją delikatnie do siebie.

W jej wzroku nie dostrzegł śmierci.

Patrzyła na niego zaspanymi oczami. Nie było żadnych ran, żadnej torby orzeszków. Zamiast zapachu krwi, wokół unosiła się delikatna woń perfum.

- Lizzie! - zawołał, nie mogąc dłużej skrywać uczucia, i chwycił ją w ramiona.

Lizzie nie stawiała oporu. Przyłgnęła do niego, ciepła, pachnąca i ujmująco niewinna. Przytulił głowę do jej piersi. Na włosach poczuł

gorący oddech. W tej chwili była dla niego wszystkim: nadzieją i rozpaczą, żoną, matką, kochanką, dzieckiem i wrogiem. Wiedział, że nie powinien jej dotykać, ale nic na świecie nie było go już w stanie powstrzymać. Czy to w tym, czy w poprzednim wcieleniu.

Pocałował ją najpierw delikatnie, zachęcająco muskając ustami jej wargi. Lizzie zeszywniała ze zdziwienia. Damien zdawał Sobie sprawę, że nie może jej mieć wbrew jej woli, że nawet nie powinien tego próbować. Czy jednak zdoła się opanować?

Ujął w dłonie twarz Lizzie. Całował głęboko, namiętnie, wyraźnie czując jej smak. Smak miłości, za którym tęsknił od ponad stu lat. Na ramionach czuł silny uścisk jej rąk. Lizzie poddawała się mu powoli, z wyraźną rozkoszą. Jej wargi odwzajemniały jego zaborcze pocałunki z równą namiętnością. Przez cienkie ubranie czuł gwałtowne bicie jej serca.

- Chodźmy do łóżka - zaproponował.

- Dobrze - zgodziła się bez wahania.

Podniósł ją lekko, zaniósł do sypialni i położył na łóżku. Nie czekając ani chwili dłużej, przywarł do niej całym ciałem. Wargami bezładnie pieścił powieki, policzki i uszy dziewczyny. Czuł ciepło jej ciała, krągłość bioder, kształt nabrzmiąłych piersi.

Usiadł i zaczął rozpinać jej bluzkę. Lizzie leżała bez ruchu, jakby pogrążona w półśnie, a on drżącymi palcami odpinał guziki, jeden po drugim. W końcu stracił cierpliwość i jednym ruchem rozerwał zapięcie. W tym momencie przypomniał sobie, że już raz kiedyś to zrobił.

Piękne, doskonale ukształtowane piersi zachwyciły go i urzekły. Całował je namiętnie, a Lizzie drżała z upojenia z dłońmi zaciśniętymi na pomiętym prześcieradle. Damien ujął jej rękę i wsunął między ich wypełnione gorączką pożądania ciała. Przez spodnie poczuł ciepło jej dłoni. Wypełnił go ból, coś jakby głód rozkoszy, tęsknota domagająca się zaspokojenia...

Nagle poczuł, że zapada się w ciemność. Krew zaczęła mocniej pulsować mu w skroniach. Gwałtownym ruchem zdarł z niej dzinsy i nawet jeśli protestowała, to nie był w stanie nic usłyszeć. Ogarnął go szal namiętności, którego, choćby chciał, nie mógł już opanować. Na ustach czuł krew płynącą z jej pogryzionych warg, niczym wampir nasycił się jej smakiem. Zrzucił z siebie ubranie, a kiedy Lizzie wyciągnęła ręce, żeby go objąć, czy może raczej powstrzymać, przytulić opiekuńczym gestem, uspokoić i pocałować, on chwycił jej nadgarstki i dłońmi przyparł do materaca. Unieruchomiwszy Lizzie w ten sposób, zajął dogodną pozycję między jej rozchylonymi udami.

Dookoła widział już tylko ciemność i śmierć. Lizzie na próżno próbowała protestować. Wdarł się w jej ciało, mimo że nie była jeszcze przygotowana, by go przyjąć. W przeszłości wdzierał się tak wielokrotnie.

W pewnym momencie oczyma wyobraźni ujrzał okrwawiony nóż rozdzierający jej wnętrze. Zawył z rozpacz i zamarł bez ruchu, choć nadal trwał w jej ciele. Przeklinał własną duszę. Podniósł głowę. Jej oczy wyrażały osłupienie, ból i trwogę. Chciał ją pocieszyć, przeprosić, lecz zabrakło mu słów.

Dopiero teraz spostrzegł - wcześniej tylko czuł - że jego dzikie pocałunki do krwi poraniły jej usta. Delikatnie otarł je wargami. Pocałował spuszczone powieki i z przerażeniem stwierdził, że pozostawił na nich ślady jej własnej krwi.

Wyprostował się, chciał pogłodzić jej skórę, lecz Lizzie już wyrwała się z odrętwienia.

- Nie dotykaj mnie! - zaprotestowała gwałtownie i spróbowała go odepchnąć.

Damien nie zamierzał jej usłuchać. Nie zamierzało zresztą posłuchać jej także i jej własne ciało. Mimo zranionych uczuć i słusznego gniewu Lizzie nadal płonęła pożądaniem. Widział to, był tego świadom. I choć nie wiedział do końca, co się z nim dzieje, z pełną determinacją poprowadził ją na szczyt. Dopiero gdy bezbronny, krótki krzyk Lizzie wypełnił sypialnię, Damien znieruchomiał.

Jedno jej westchnienie, szept, ruch dłoni, a Damien również rozpląnąłby się w uniesieniu. Stało się jednak inaczej. Przez jakiś czas trwał po prostu bez ruchu i czekał, aż Lizzie opanuje drżenie swego ciała, a łzy przestaną wypływać spod jej przymkniętych powiek. Później podniósł się i wstał z łóżka. Wszedł do łazienki, zatrzasnął za sobą drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Spojrzał na własne odbicie w lustrze, na wyniszczoną twarz i ciało, które zadrwiło z niego tak okrutnie. Odkręcił wodę i wszedł pod lodowaty prysznic, jakby chciał, żeby silny strumień porwał go ze sobą.

Lizzie chwyciła poduszkę i wtuliła się w nią całym ciałem. Nigdy dotąd nie czuła się tak przerażona, wstrząśnięta i zagubiona.

Damien sprawił jej ból. A mimo to, po raz pierwszy w życiu, właśnie dzięki niemu przeżyła orgazm.

Nienawidziła go za to. Była w stanie wytrzymać ból i poniżenie. Doświadczyła ich wcześniej. Jednak tym razem stało się coś więcej - Damien miał nad nią pełną władzę. Była od niego zależna całkowicie i bez granic, i to właśnie ją przerażało. Najpierw wystraszył ją śmiertelnie, potem rozbudził, by w następnej chwili brutalnie pozbawić możliwości jakichkolwiek reakcji. A jeszcze później znowu pobudził do życia, tak jak nie udało się to nikomu przed nim.

Nie zamierzała mu tego nigdy darować.

Poza tym czuła się zawiedziona, bo jednak nie skończył tego, co zaczął, zostawiając ją zaraz po tym, jak wbrew własnej woli odkryła szczyt uniesienia. Czuła się teraz pusta i niespełniona. Oczywiście, rozumiała dobrze, jak nielogiczna jest jej reakcja, lecz fakt ten tylko potęgował jej gniew.

Leżała sama w ciemnej sypialni i choć było bardzo ciepło, drżała z zimna. Na zewnątrz przestało padać. Zdażyła się tak przyzwyczać do dźwięku kropli uderzających o szybę, że kiedy go zabrakło, poczuła się wręcz nieswojo.

Drzwi do sypialni były zamknięte. Lizzie słyszała dobiegający z łazienki szum prysznica. Wiedziała, że powinna wstać, ubrać się i uciec jak najdalej, nie ruszyła się jednak z miejsca. Sama nie wiedziała, dlaczego. Miała dziwne przeczucie, że w pokoju za

drzwiami kryje się coś przerażającego. Wolała po raz kolejny stanąć twarzą w twarz z Damienem niż samotnie opuścić sypialnię.

Przykryła się prześcieradłem. W ramionach nadal tuliła poduszkę, jakby w niej próbowała znaleźć pocieszenie. Czas dłużył się w nieskończoność. Wydawało jej się, że minęła wieczność, zanim usłyszała, jak Damien zakręcił wreszcie wodę. W końcu drzwi do łazienki otworzyły się i smuga światła wpadła do sypialni. Lizzie ukradkiem spojrzała na Damiena. Założył luźne spodnie, które zapewne niegdyś leżały na nim jak ulał. Włosy miał mokre, twarz świeżo ogoloną i jak zwykle pozbawioną wyrazu.

- Obawiałem się, czy nie uciekłaś – powiedział i sięgnął po jedną z podkoszulek, które Lizzie poukładała na krześle. Założył czarną, z emblematem zespołu Grateful Dead przedstawiającym okoloną różami trupa czaszkę.

- Nie zakładaj jej! - krzyknęła, wciąż tuląc do siebie poduszkę. Starła się uniknąć jego spojrzenia.

Damien zerknął w dół, posłusznie ściągnął koszulkę i wrzucił ją do kosza na śmieci.

- Nie zrobiłem ci krzywdy? - zapytało

- Wolałabym o tym nie mówić - odparła z zamkniętymi oczami.

Nie chciała na niego patrzeć.

Gdy poczuła, jak materac ugina się pod jego ciężarem, zeszywniała ze strachu. Bała się, że znów zechce ją dotknąć i że sama znów ulegnie pokusie. Jednak Damien siedział spokojnie i najwyraźniej nie zamierzał powtarzać swoich wyczynów.

- Nie zrobiłem ci krzywdy? - powtórzył łagodnym, cierpliwym głosem.

Zastanawiała się, co odpowiedzieć. Nie miała powodów, by go oszczędzać, mogła właściwie potępić go za to, co zrobił. Mimo to przemogła się i powiedziała tylko:

- Nie.

- Na pewno?

Lizzie nie wytrzymała i podskoczyła na łóżku.

- Mam to wykrzyczeć, tak? Żebyś nie mógł mieć żadnych wątpliwości? Jak mówię nie, to znaczy, że nie! Myślisz, że mówię tak po to, by nie sprawić ci

przykrości? Jeśli tak, to się mylisz. Było mi trochę niewygodnie i tyle. Rozumiesz?

- Przepraszam.

- Mógłbyś już przestać? Popelniliśmy błąd. Nie pierwszy w moim życiu i pewnie nie ostatni. Ostrzegałeś, żebym zostawiła cię w spokoju, że nic mi nie możesz dać, ale nie posłuchałam. Zawsze gustowałam w dziwnych facetach. O ile pamiętam, sam mi to wytykałeś. Potraktujmy więc to jako jeszcze jedną pomyłkę w moim życiu i zapomnijmy o całej sprawie...

Damien chwycił ją w ramiona i pocałował, skutecznie przerywając jej tyradę. Kiedy Lizzie poczuła słodycz tego pocałunku, prawie się rozplakała.

- To nie twoja wina - wyszeptał. - To przeze mnie. Coś się ze mną stało, zaczęło się dziać coś strasznego. Przestraszyłem się, bałem

się, że mogłem zrobić ci krzywdę. - Ujął dłońmi jej twarz i spojrzał głęboko w oczy. Patrzył szczerze, wzrokiem zagubionego człowieka i Lizzie po raz kolejny zrozumiała, jak mimo wszystko jest jej drogi. Chciała go znowu pocałować, lecz Damien potrząsnął głową i odsunął się. -Uwierzyłaś w to, co mówiła Courtland, prawda?

- Tak - odparła, zaskoczona nagłą zmianą tematu. -A ty?

- Sam nie wiem, ale wiem, że powinienem cię ostrzec przed czymś jeszcze.

- Przecież ostrzegałeś mnie już tyle razy. Nie zwrócił uwagi na jej słowa.

- Posłuchaj, to że nie byłem Kubą Rozpruwaczem w poprzednim wcieleniu, nie znaczy wcale, że nie jestem nim teraz. Sama zauważyłaś, że role się zmieniają - powiedział, po czym wstał, w milczeniu otworzył drzwi i wyszedł z sypialni.

Bez trudu włamał się do opuszczonego mieszkania. Teraz stał pod prysznicem, zmywając krew z ciała, usuwając jej ślady spod paznokci. Wprawdzie założył płaszcz przeciwdeszczowy, ale buty i tak były w oplakany stanie. Nawet włosy miał utyłane we krwi.

Byłoby o wiele prościej, gdyby mógł pracować nago. Nie musiałby wtedy marnować czasu na usuwanie zdradzieckich śladów z ubrań.

Niestety, nie w tym wcieleniu, pomyślał ze smutkiem. Wyszedł spod prysznica i przyjrzał się własnemu odbiciu w brudnym lustrze. Zmrużył oczy i zobaczył, jak z barczystego kulturysty o wąsko osadzonych oczach i falujących blond włosach zmienia się w pulchnego biurokrateę po czterdziestce. Mrugnął ponownie i przybrał postać łagodnej kobiety o zaokrąglonych kształtach. Poczuł, że znowu wzbiera w nim żądza krwi. Po chwili wszystko wróciło do normy i w lustrze zobaczył się takim, jakim postrzegała go większość ludzi. Znowy wyglądał jak przeciętny, nikomu nie wadzący mieszkaniec Venice.

Ten dar otrzymał od Boga. Kiedy znajdował się w morderczym transie, mógł przybrać każdą możliwą postać. Nic dziwnego, że nikt nigdy go nie rozpoznał, że udało mu się pozostać nieuchwytnym tak w obecnym, jak i w wielu poprzednich wcieleniach.

Ubrał się pospiesznie. Tanie buty ze sztucznej skóry przesiąknęły na wylot, szczególnie w tych miejscach, z których musiał

zmyć krew. Mokre skarpetki dokuczały dotkliwie. Z niezwykłą ostrożnością podniósł paczkę z podłogi i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się na chwilę i odwrócił. W lustrze ujrzał odbicie rozbieganych oczu o trudnym do określenia kolorze. Zaśmiał się cicho na widok własnego łagodnego, pełnego troski spojrzenia.

Kiedy Lizzie wyszła z sypialni, w pokoju paliły się wszystkie światła. Damien stał zgarbiony przy oknie i spoglądał na miasto. W dłoni trzymał szklanekę wypełnioną jasnym płynem.

Lizzie stanęła w drzwiach i rozejrzała się niespokojnie. Coś było nie tak w tym pokoju. Czuła to od chwili, kiedy leżąc w łóżku, spojrzała na zamknięte drzwi. Wtedy nie potrafiła określić przyczyny niepokoju, lecz i teraz przychodziło jej to z trudem.

Damien odwrócił się, słysząc kroki Lizzie, ale nie zauważył niepewnego wyrazu jej twarzy.

- Znalazłaś czyste ubranie? - zapytał.

- Tak - odrzekła, obciągając za dużą podkoszulkę. Szybko tego pożałowała, gdyż wzrok Damiena natychmiast spoczął na jej piersiach. Poczowała, jak zmieniają się pod wpływem tego spojrzenia, więc szybko, niczym wstydliva nastolatka, skrzyżowała ramiona, żeby zasłonić zdradzający jej uczucia widok.

- Wcale nie to miałem na myśli - zauważył zgryźliwie, widząc jej gest, i odwrócił się do okna. Znowu zaczęło mżyć, strumyki deszczu spływały powoli po pękniętej szybie. - Chcesz się napić? Zostało jeszcze trochę. No tak, pamiętam, ty przecież nie znosisz

tequili. - Wysączył trochę płynu ze szklanki. - Tym lepiej, zostanie więcej dla mnie.

Zbliżyła się i położyła mu rękę na ramieniu. Damien odskoczył jak oparzony, rozlewając przy tym alkohol na podłogę.

- Nie dotykaj mnie! W ogóle nie zbliżaj się do mnie!

- Dlaczego? - Lizzie nie ruszyła się z miejsca.

- Już zapomniałaś? Omal nie wyrządziłem ci krzywdy. Może mogłem cię nawet zabić. Cholera, coś we mnie wstąpiło. Sam nie wiem co. Może jakiś diabeł mnie opętał. Te wszystkie wspomnienia, sny... A może to jeszcze coś innego. Dzięki Bogu, udało mi się wycofać, zanim nie stało się nic gorszego.

Gniew i żal Lizzie zdążyły już wyparować. Wiedziała, że nie może obwiniać Damiena za jego szaleństwo; że raczej powinna go pocieszyć, przytulić, uleczyć, przepędzić dręczące go demony. Na razie mogła tylko stać i patrzeć.

- Wcale mnie nie zraniłeś.

- Ale mogłem, nie rozumiesz tego? Sam nie wiem, jak daleko mogłem się posunąć. Chcesz skończyć poćwiartowana na kawałki jak Mary Kelly?

- Zdawało mi się, że jestem Smukłą Liz.

- To nie jest temat do żartów. Uśmiechnęła się lekko.

- Masz rację.

Znowu wyciągnęła rękę, żeby go objąć, lecz Damien błyskawicznym ruchem zdążył ją powstrzymać.

- Nie rób tego - ostrzegł. - Nie rób, bo w końcu zaniosę cię do sypialni i Bóg jeden wie, jak to się skończy. Może nawet nie zdążę cię donieść. I przestań tak na mnie patrzeć, bo zedrę z ciebie ubranie i wezmę dokładnie tu gdzie stoisz!

- Nie będę stawiać oporu. Damien tylko jęknął.

- Niczego nie zrozumiałaś...

- Nieprawda. Zrozumiałam, że cię kocham. Złapał ją za rękę i pociągnął ku sobie. Przecież nadal jej pragnął.

- Cholera - burknął pod nosem i nachylił głowę nad jej twarzą. Nagle znieruchomiał. Wbił wzrok w jakiś punkt za jej plecami, dłonie zacisnął kurczowo na ramionach Lizzie.

- Co się stało? - zapytała przyciszonym głosem.

- Zniknęły maski.

Lizzie odwróciła się i spojrzała na ścianę, gdzie powinny wisieć dwie dobrze znane jej prace. Ściana była pusta. Pozostał tylko żółtawy ślad w miejscu, w którym były przytwierdzone.

- Kiedy to mogło się stać? - wykrztusiła.

- Były na miejscu, kiedy wróciliśmy do domu. Pamiętam, że wisały jeszcze, jak niosłem cię do sypialni.

Lizzie zatkała dłonią usta, żeby nie zacząć krzyczeć. Damien pociągnął ją za rękę.

- Wynosimy się stąd. Natychmiast.

- A jeśli on nadal jest w budynku?

- Wszystko jedno. Skoro i tak zdołał tu wejść, mimo wszystkich zabezpieczeń... Idziemy, Lizzie. Wynosimy się z Venice, w ogóle

wyjeżdżamy z Los Angeles. Wyjedziemy tak daleko, jak tylko się da, i to jak najszybciej. No, chodź już! - krzyczał, ciągnąc ją za rękę do drzwi.

Korytarz był pusty. Jedyna goła żarówka lekko bujała się u sufitu, choć trudno było wyjaśnić, co też mogło wprawić ją w ruch. Wzrok Lizzie padł na rdzawobrunatne smugi na ścianie.

- Damien, zobacz - wyszeptała.

- Nie patrz na to, tylko rób, co ci każe. - Wcisnął guzik windy. Gdzieś z dołu dobiegł ich jęk kabiny, która ociążale ruszyła z miejsca.

- Cholera – zaklął i ruszył zakrwawionym korytarzem w kierunku metalowych drzwi prowadzących na klatkę schodową. Lizzie zatrzymała się na chwilę.

- Poczekaj. Przecież on może być gdzieś na dole.

- Wiem, ale nie możemy jechać windą. - Damien próbował pociągnąć ją za sobą.

- Poczekaj, już jedzie - zaprotestowała Lizzie, słysząc, że winda jest blisko.

- Chodź ze mną i nie zbliżaj się tam.

Nie posłuchała. Wyrwała się i pobiegła korytarzem. Dobiegła do windy akurat w momencie, gdy otwierały się drzwi.

- Nikogo tu nie ma! zawołała przez ramię. -Chodź, możemy...

W tym momencie jej wzrok padł na podłogę. W kałuży krwi zobaczyła ciało. Było tak potwornie zmasakrowane i tak zdeformowane, że z trudem rozpoznała, że to ludzkie szczątki. Na środku leżała maska clowna, zupełnie przesiąknięta krwią.

Lizzie stała bez ruchu, sparaliżowana tym, co ujrzała. Nawet nie poczuła, kiedy Damien otoczył ją ramieniem i odciągnął na bok. Nie czuła upływu czasu, całą uwagę i siłę woli koncentrowała na tym, żeby nie krzyczeć. Wyłączyła wszystkie zmysły, nic nie widziała, niczego nie czuła, bezwiednie szła tam, gdzie ją prowadził. Otoczyła się skorupą, przez którą nie mogła odczuwać bólu.

Skorupa pękła dopiero po kilkunastu minutach, gdy

Lizzie siedziała już na przednim siedzeniu samochodu. Deszcz walił o szyby, Damien jechał szybko. Nie miała pojęcia, ile czasu mogło upłynąć od chwili, gdy opuścili mieszkanie. Dziesięć minut, a może kilka godzin... Czuła dreszcze. Ciało drżało jej z taką siłą, jakby zaraz miało rozpaść się na kawałki. Damien spojrzał na nią kątem oka.

- Nie myśl o tym, co zobaczyłaś, bo będzie cię to prześladować do końca życia.

- Myślisz, że potrafię? - szepnęła łamiącym się głosem. - Boże, ta biedna kobieta...

- Uspokój się, Lizzie. Już nic nie możesz dla niej zrobić.

Zapewniam cię, że prawie nic nie czuła.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Czytałem wyniki wszystkich sekcji. Podcina im gardła, dopiero jak są martwe, przechodzi do bardziej twórczych poczynań...

- Przestań! - krzyknęła tak głośno, że Damien przestraszył się gwałtowności jej reakcji. - Przestań - powtórzyła, tym razem już spokojniej. Rozejrzała się dookoła. - Jedziesz w złym kierunku.

- Nie rozumiem.

- Chcę pojechać do własnego mieszkania.

- Lizzie, nie mogę zostawić cię tam samej. Musimy stąd wyjechać. Po drodze zatrzymamy się i zadzwonimy na policję.

- Wcale nie chcę, żebyś mnie zostawił. Muszę tylko coś zabrać.

- Co?

- Maski. Nie zostawię ich tam, żeby wpadły w ręce mordercy.

Gdy mu ich zabraknie, nie będzie mógł dalej zabijać.

- Obawiam się, że nie jest to takie proste.

- Ale to jedyna rzecz, jaką mogę zrobić - powiedziała po cichu. -
O nic więcej nie będę cię prosić.

- A jeśli on tam na ciebie czeka? Nie przypadkiem wybrał moją windę na miejsce kolejnego morderstwa. Chciał ci przez to coś pokazać.

- Może myślał, że to ja. Damien potrząsnął głową.

- Nawet jeśli tak, to następnym razem się nie pomyli. -

Gwałtownie skręcił kierownicą, samochód obrócił się na mokrej jezdni. Jechali z powrotem.

Gdy tylko zatrzymali się pod jej domem, Lizzie wyskoczyła z samochodu. Damienowi udało się ją dogonić dopiero przy drzwiach. Zagroził jej wejście.

- Pozwól mi sprawdzić. Do tej pory nie atakował mężczyzn.

Lizzie nie zareagowała na jego słowa. Z przerażeniem w oczach przyglądała się kłamce.

- Ktoś tu był - powiedziała.

Damien ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do środka. Lizzie ruszyła w ślad za nim. Ujrzała kontury masek na ścianach i odetchnęła z ulgą. Wtedy właśnie, na tle okna, zobaczyła nieruchomą sylwetkę mężczyzny.

To on, pomyślała.

W końcu ją dopadł.

Było już za późno na ucieczkę.

Jedynie, co przyszło jej w tej chwili do głowy, to żal, że związek z Damienem, tak trudny, lecz mimo wszystko tak obiecujący, pozostanie na zawsze niespełniony.

- Lizzie, uciekaj - szepnął.

Nie zareagowała, tylko tępo wpatrywała się w postać, która odwracała się ku nim powoli.

Damien zapalił światło błyskawicznym ruchem ręki i ujrzeli przed sobą przygarbioną postać... Hickory'e-go. Tak, to był Hickory! Dawno nie strzyżone, siwe włosy okalały starczą twarz o nieprzeniknionym wyrazie.

Strach, który przed chwilą odczuwała, opuścił Lizzie tak nagle, że zachwiała się na nogach.

- Hickory? - zawołała i ruszyła w jego kierunku. Zatrzymała ją dłoń Damiena.

- Za bardzo ufasz ludziom - stwierdził chłodnym tonem.

- Nie bądź śmieszny. Przecież Hickory nie jest Rozpruwaczem - oburzyła się, próbując strząsnąć z ramienia jego rękę.

- Lizzie ma rację - Hickory potwierdził jej słowa. - Zresztą, trudno mnie nawet o to posądzać, zważywszy mój Wiek i zdrowie. - Wyciągnął przed siebie pokręcone artretyzmem ręce. Rzeczywiście, w żaden sposób nie był w stanie operować nożem z chirurgiczną precyzją, jak to czynił morderca.

Damien zaklął i puścił ramię dziewczyny. Zamknął drzwi, pozostawiając za nimi deszcz i mrok.

- To co, do cholery, pan tu robi? I jak się pan tu dostał?

- Courtland dała mi klucz - wyjaśnił. - Szukałem cię, Lizzie.

Rozpruwacz znowu uderzył.

- Wiem - odrzekła smętnie. - Widzieliśmy ją, a raczej to, co z niej zostało. Właśnie stamtąd wracamy. Jeszcze przed chwilą tam byliśmy...

- Lizzie, wyjechaliśmy z domu godzinę temu - poprawił ją Damien i podszedł do masek wiszących na ścianie. Sięgnął po wiklinowy koszyk, w którym Lizzie trzymała szyszki i suche gałęzie. Wyrzucił je na podłogę i na dnie zaczął układać maski.

- Godzinę temu? Nie bądź śmieszny, przecież minęło najwyżej kilka minut...

- Byłaś w szoku. Jest już po pierwszej w nocy. Lizzie chyba nie przyjęła tego do wiadomości.

Zwróciła się do Hickory'ego.

- Dlaczego mnie szukałeś?

- Szukałem was oboje. Z dwóch powodów.

Damien, który w tej chwili delikatnie trzymał maskę rudej dziewczynki i bezwiednie gładził ją ręką, skierował baczne spojrzenie na starca.

- Jakich? - zapytał.

- Czas ucieka. Wprawdzie sam nie chcesz jeszcze poznać prawdy, ale nie mogę liczyć, że doczekam chwili, kiedy będziesz na to gotów.

- Pewnie pan nie doczeka - mruknął Damien, zawijając maskę w miękki gałganek z afgańskiej wełny.

- Powiedz nam - poprosiła Lizzie, rzucając Damienowi karcące spojrzenie przez ramię.

Hickory przeszedł przez pokój, szurając stopami po podłodze. Robił wrażenie śmiertelnie zmęczonego.

- Wiem, czego się obawiasz, młody człowieku - zwrócił się do Damiena, który przerwał pakowanie i przyglądał mu się nieufnie.

- Czyżby? Pewnie rozmawiał pan z tą niezrównoważoną przyjaciółką Lizzie, Courtland, czy jak jej tam...

- Nie - odparł Hickory, a z jego głosu bił tak wielki smutek, że Lizzie poczuła przechodzące ją dreszcze. - Choć to ja nauczyłem ją wszystkiego, co umie. Tak czy inaczej wiem, czego mogła się dowiedzieć o twoim poprzednim wcieleniu. I wiem, co cię czeka.

- To może mnie pan w końcu oświeci? - zakpił Damien. - Ile pan żąda w zamian?

- Opiekuj się Lizzie. Troszcz się o jej bezpieczeństwo. Śmierć gości wśród nas zbyt często - słowa Hickory'ego zabrzmiały jak marsz żałobny.

- I tak to robię. No dobrze, niech mi pan powie, co też takiego mnie czeka? - Damien stał z założonymi rękami i sceptycznie spoglądał na starca.

- W poprzednim wcieleniu byłeś dziennikarzem.

Nazywałeś się James Killian i pracowałeś w jakiejś popołudniówce. Pozwoliłeś umrzeć kobiecie, bo tak bardzo chciałeś napisać swój artykuł. Od tamtej pory stale za to płacisz.

- Oho, musieliście wymyślić to razem z Courtland - zakpił Damien.

Przestań! - znów skarciła go Lizzie. -I nie próbuj udawać, że nie wiesz, o czym mowa. Damien rzucił jej gniewne spojrzenie.

- W porządku, jeśli ma ci to sprawić przyjemność, zagrajmy w tę grę. Więc zgoda, pozwoliłem umrzeć jakiejś tam Mary Kelly. Ale nawet jeśli dopuściłem do jej śmierci zamiast ją uratować, to z etycznego punktu widzenia popełniłem zaledwie błąd, nie zbrodnię.

- Rzuciłeś się z mostu kilka lat później, kiedy zrozumiałeś, że nie uda ci się zapać na śmierć - ciągnął Hickory z odrobiną przygany w głosie. - Dlatego wróciłeś dopiero teraz. Samobójcy nie ulegają szybkiej reinkarnacji.

- Proszę was, oszczędźcie mi tych bzdur - westchnął Damien.

- W końcu jednak wróciłeś, żeby odkupić swój grzech. I co zrobiłeś? Przyglądałeś się beczynnemu, jak umiera kolejna kobieta.

Znów nie zrobiłeś nic, żeby zapobiec jej śmierci, bo znowu ważniejsze było dla ciebie, co będziesz mógł o tym napisać.

Damien natychmiast przestał udawać znudzenie

- Dość tego! - ryknął z wściekłością.

- Spokojnie, młody człowieku. To wcale jeszcze nie czyni z ciebie Rozpruwacza - Hickory niewzruszenie ciągnął swoją opowieść.

- Jednak to właśnie jest powód, dla którego się tu znalazłeś. Masz uratować Mary Kelly. Widzisz, co robi Rozpruwacz, lecz na razie widzisz to zbyt późno, żeby go powstrzymać. Pozbędziesz się dręczących cię wizji dopiero wtedy, kiedy go zabijesz.

Damien nie był w stanie udawać dłużej cynika.

- Za późno. Przecież Mary Kelly została zamordowana.

- Nie w obecnym życiu. Czy tak cię oślepiła pogoń za Rozpruwaczem, że nie widzisz, kogo masz przed sobą? Lizzie to wcale nie Smukła Liz. Nie jest kolejnym wcieleniem tamtej śmiesznej, starej pijaczki. Życie nie jest aż takie proste. Lizzie to Mary. I tym razem musisz ją uratować.

- Nie - zaprotestowała Lizzie wystraszonym głosem. - To nie może być prawda.

Hickory spojrzał na nią ze smutkiem.

- Nie mogę nic zmienić, płomyczku. Jedynie Damien może tego dokonać.

- Jak, do diabła, mam pokonać coś, czego nie rozumiem? - spytał z desperacją.

- Tylko ty będziesz w stanie to zrobić. Pamiętaj, że to, co masz zniszczyć, to nie człowiek, lecz istota, źródło wszelkiego zła, które tylko przybrało ludzką postać. Musisz zabić człowieka opętanego przez zło.

Jeśli ucieknie ci i w tym wcieleniu, za jakiś czas pojawi się znowu.

Damien trzymał bezwiednie koszyk wypełniony maskami. Na jego twarzy ponownie zagościł wyraz niedowierzania.

- Lizzie, chodź. Wynosimy się stąd. Na pana miejscu podzieliłbym się tymi rewelacjami z Courtland. Moglibyście się nieźle zabawić.

- Moglibyśmy. Tylko że już nigdy jej nie zobaczę

- Hickory powiedział to takim tonem, że Lizzie zatrzymała się.

- Mówiłeś, że przyszedłeś tu z dwóch powodów?

- Tak, płomyczku - odparł Hickory ze smutkiem.

- To nie jakaś przypadkowa kobieta została zamordowana w windzie obok jego mieszkania. To Courtland. Nie udało się jej wrócić do domu.

Lizzie siedziała w samochodzie z twarzą bladą jak ściana i rękami zaciśniętymi w pięści. Od chwili kiedy Hickory powiedział jej, czyje ciało znalazła w windzie, nie odezwała się ani słowem. Udała się do samochodu przed Damienem i w odrętwieniu czekała, aż zamknie drzwi mieszkania i zajmie miejsce za kierownicą. Wsiadł i od razu ruszył z kopyta. Pędził tak szybko, że ani policja, ani Gwardia Narodowa, ani nawet sam prezydent nie byliby w stanie go zatrzymać

Wiedział już, gdzie ją zawiezie. Gdyby Lizzie o to zapytała, wyjaśniłby jej bez wahania. Lecz ona znowu zamknęła oczy i odcięła się od całego świata, zamykając się w swoim własnym piekle. Łudził się, że w końcu uda jej się znaleźć jakieś pocieszenie. On sam stracił nadzieję na to już dawno temu.

Przeklęty starzec. Po co przy niej to mówił? Lizzie i tak była dostatecznie wystraszona. Mógł jej oszczędzić tej wiadomości. Jak może się czuć dziewczyna, która dowiaduje się, że tym razem jej najlepsza przyjaciółka padła ofiarą mordercy? Przyjaciółka, którą wcześniej sama zaprosiła do tego domu.

Nie musiał jej też mówić, na czym polega jej rola w tej upiornej historii. Doprawdy, nic tylko oszaleć. Kimże jest naprawdę? Wcieleniem Liz Stride czy Mary Kelly? A może przedziwnym połączeniem ich obu? On sam traci głowę, kiedy myśli o tym wszystkim.

Zresztą, po co w ogóle rozważa te idiotyzmy? Przecież reinkarnacja nie istnieje. Nie to jest ważne, co było kiedyś, lecz to, co teraz. Życie. Najważniejsze, żeby samemu jak najdłużej utrzymać się przy życiu i, co ważniejsze, uratować życie Lizzie.

Cholera, a może wszystkie te bzdury są jednak w stanie ułożyć się w jakąś sensowną całość. Może rzeczywiście dopuścił kiedyś do śmierci dziewczyny, a potem powtórzył ten sam błąd, przyglądając się kolejnej śmierci. Może naprawdę musi uratować Lizzie, żeby odkupić własne grzechy.

A może zwyczajnie, tak jak Hickory i jak sam Rozpruwacz, padł ofiarą obłądu. Na razie wie tylko, że to, co zobaczył w windzie, było mu wcześniej znane; i że taka sytuacja powtarzała się zdecydowanie zbyt często.

Im dalej odjeżdżał od Los Angeles, tym bardziej się przejaśniało. Kierował się na południowy wschód, na pustynię, gdzie spodziewał się suszy i słońca. Przy jego pechu jednak może i tam będzie wiał wilgotny wiatr z Santa Ana.

Rozpruwacz odnalazł ich w West Covina. Czy uda mu się znaleźć ich na pustyni?

Nie był tam od wielu lat. Nie odwiedzał tego małego miasteczka, w którym wychował się u boku swej leciwej, zgorzkniałej matki. Ojciec zginął w wypadku wkrótce po jego urodzeniu. Brat, sporo starszy od niego, stracił życie w pierwszych latach wojny w Wietnamie. Odtąd Damien z matką samotnie zajmowali wielki wiktoriański dom na obrzeżach miasta.

Uciekał stamtąd tak często, jak tylko mógł, aktywnie angażując się w najróżniejsze zajęcia organizowane przez szkołę. Nigdy nie był szczególnie towarzyski, ale potrzeba ucieczki była silniejsza niż skłonność do samotności. Zaczął uprawiać lekkoatletykę, grać w baseball, pisał do szkolnej gazetki, udzielał się w klubie dyskusyjnym, wszystko po to, żeby być jak najdalej domu i tej starej, zgorzkniałej kobiety, która w nim mieszkała.

Teraz już jej tam nie ma. Zachorowała na chorobę Alzheimera w czasie jego studiów. Kiedy była już w takim stanie, że nikt nie chciał

się nią zajmować, Damien umieścił matkę w domu opieki. Zmarła samotnie podczas jednej z jego służbowych podróży. Wróciwszy, zastał ją pochowaną u boku ojca i brata. Mógł tylko mieć nadzieję, że nareszcie odnalazła szczęście.

Pozamykał wtedy dom i wyjechał, obiecując sobie, że kiedyś go wyremontuje i może sprzeda. W końcu prawie o nim zapomniał. Łudził się nadzieją, że może pochłonie go pustynia i w ogóle nie będzie musiał się nim zajmować.

Teraz czuł, że dom stoi nadal, że oparł się trzęsieniom ziemi zdarzającym się w tamtej okolicy, że wytrzymał wichury i ulewne deszcze. Spodziewał się ujrzeć ten posepny, zapomniany budynek w nie zmienionej formie.

Nikt ich tam nigdy nie znajdzie. Mogą zamieszkać razem i zaczekać, aż sytuacja się wyjaśni. Ludzie w Kalifornii pałali żądzą zemsty, więc wcześniej czy później, Adamson na pewno zdoła schwytać Rozpruwacza. Tyle że będzie musiał sobie radzić bez jego, Damiena, pomocy i bez Lizzie w charakterze przynęty.

Spojrzał za oparcie siedzenia. Wiklinowy koszyk przewrócił się i maska rudej dziewczynki leżała teraz na wierzchu. Ta maska zrobiła na nim wstrząsające wrażenie już wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Poraziła go niewinność, ból i bezbronność, które wyrażała. Wtedy zakochał się. Nie w dziecku, lecz w pięknej, upartej kobiecie, która ją stworzyła na swój obraz z lat dzieciństwa.

Znał tę maskę i kryjącą się za nią wrażliwą duszę. Znał ją i kochał, zarówno w tym życiu, jak i w przeszłym.

Z zaskoczeniem zauważył, że Lizzie wciąż śpi. Słyszał jej równy oddech. Pięści jednak nadal miała zaciśnięte, napięcie nie opuściło jej nawet we śnie. Przeżyła już tak wiele. Bóg jeden wie, jak bardzo chce ją uchronić od śmierci i jak bardzo jest bezradny i chaotyczny w swych poczynaniach. Teraz przyjechał z nią tutaj. Nie przyszło mu do głowy nic mądrzejszego niż to miejsce, w którym, jak sądził, nikt nie zdoła ich znaleźć.

Podświadomie przeczuwał jednak, że to jeszcze nie koniec. Że wcześniej czy później, Rozpruwacz w końcu ich dopadnie. A wtedy, zgodnie z przepowiednią, John Ripley Damien będzie musiał odkupić swój grzech.

Albo znowu przyglądać się śmierci.

Uciekła mu. Uciekli mu oboje.

Jak mógł do tego dopuścić? I to właśnie teraz, kiedy był już blisko, tak bardzo blisko doprowadzenia swego dzieła do końca. Ta kobieta w windzie stanowiła smaczny kąsek. Jak tylko na niego spojrzała, od razu wiedziała, kim jest. Nawet zdążyła raz krzyknąć, zanim poderzwał jej gardło. A jej oczy wpatrywały się w niego przez cały czas, aż w końcu nie mógł dłużej tego znieść. Skończył i przykrył maską to, co zostało z jej twarzy.

Czas ucieka. Musieli opuścić dom Damiena tuż przed nim. W jej mieszkaniu też ich już nie było. Potknął się na ostatnim schodku i runął na drzwi. Ustąpiły pod ciężarem jego ciała, a gdy wszedł do środka i spojrzał na ścianę, była pusta. Wszystkie maski zniknęły.

Rozglądał się desperacko dokoła, kiedy nagle jakaś postać oderwała się od przeciwległej ściany. W smudze światła wpadającej do pokoju ujrzał starca.

Znał go. Był jednym z tych wróżbitów o prawym, jak im się zdawało, charakterze, którzy wiedzą stanowczo zbyt dużo. W dodatku przyglądał mu się tak, jakby znał prawdę, jakby wiedział tyle co tamta kobieta w windzie, zanim straciła życie.

Starł się nie wpaść w panikę. Chyba nie powinien próbować zmieniać postaci. Ludzie, którzy go znają, nie ulegają zbyt łatwo iluzji. Poza tym zamierza dziś skończyć z Lizzie Stride dokładnie tak,

jak to sobie zaplanował. Musi unikać sytuacji, w których byłby zmuszony coś sknocić.

Starzec wpatrywał się w niego wszystkowiedzącym wzrokiem. Uświadomił sobie, że właściwie może mu podać prawdziwy powód swojej wizyty. Ma wprawdzie już tylko jedną maskę, musi zachować ją dla Smukłej Liz i nie może jej zmarnować na tego wścibskiego starucha, ale...

- Co pan tu robi? - zapytał Hickory pewnym, pozbawionym trwogi głosem.

Zignorował pytanie.

- Gdzie oni są? Dokąd pojechali? Spodziewał się uzyskać natychmiastową

odpowiedź, lecz twarz starego człowieka była uparta.

- W tym życiu ci się nie uda - powiedział.

Podszedł bliżej. W rękawie ukryty miał nóż, z którego zdążył już zmyć ślady ostatniej zbrodni. Zrozumiał, że musi go użyć. Po raz pierwszy musi zabić mężczyznę. Może nawet mu się to spodoba.

- Mów, stary. Mów, zanim wytnę ci język - syknął i chwycił starca za pomarszczone gardło.

Hickory z wolna pokręcił głową i spojrzał mu w twarz pozbawionym trwogi wzrokiem. Dopiero wtedy dostrzegł nóż i poczuł rozrywający wnętrzności ból.

Dzień już dawno się zaczął, kiedy Damien wjechał na drogę prowadzącą do rodzinnego domu. Dwadzieścia lat temu mało kto mieszkał na tak dalekich przedmieściach. Wprawdzie cywilizacja

trafiła już na pustynię i osada zaczęła się rozwijać, lecz ludzie stawiali swoje domy na kółkach raczej po drugiej stronie miasta, a stara, wiktoriańska willa wciąż trwała samotnie, pozbawiona jakiegokolwiek sąsiedztwa.

Zatrzymał się przed domem i wyłączył silnik. Pomyślał z żalem, że musi obudzić Lizzie.

W samochodzie nie działało chłodzenie i ostre, poranne słońce powoli zamieniło jego wnętrze w gorący piekarnik. Wprawdzie dom także nie miał klimatyzacji, ale Damien łudził się, że uda mu się znaleźć na strychu stary, elektryczny wentylator i że elektrownia nie wyłączyła jeszcze prądu.

Zwykle regularnie opłacał rachunki, ale od kilku miesięcy nie miał głowy do takich spraw. Nie zdziwiłby się więc, gdyby okazało się, że odcięto mu dopływ elektryczności.

Zaraz będą mieli okazję to sprawdzić. Wiedział, że wieczorem zapanuje taki chłód, że nie wytrzymają bez grzejnika. O tej porze roku, tu, na pustyni, dni są upalne, a noce nieprawdopodobnie zimne.

Wyciągnął rękę i pogładził Lizzie po twarzy i włosach. Podskoczyła, nagle wyrwana ze snu, i spojrzała na niego z przestraszeniem.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział łagodnie.

- To znaczy gdzie? - Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedziała od czasu wyjścia z mieszkania.

- Przed domem mojej matki, na przedmieściach małego miasteczka, w samym środku pustyni.

- Nie wiedziałam, że masz matkę. - Głos miała nadal bezbarwny, a zielone oczy pozbawione były blasku.

- Mało kto nie miał kiedyś matki. Umarła wiele lat temu. Teraz nie mam już żadnej rodziny.

- To znaczy, że ten dom należy do ciebie? Wzruszył ramionami. Przynajmniej zaczynała mówić z sensem.

- Pewnie tak, ale dla mnie zawsze pozostanie domem mojej matki - odrzekł z goryczą.

- Jak długo tu zostaniemy? - zapytała, próbując otworzyć drzwiczki zeszywniałymi palcami.

- Tak długo, jak będzie to konieczne.

- Dopóki Rozpruwacz nas tu nie znajdzie?

- Nie uda mu się. Nikt nas tu nie znajdzie. Nawet Adamson nie wie, dokąd pojechaliśmy. Zmyliłem co najmniej dwa nieoznakowane samochody, które próbowały nas śledzić, i od ponad dwóch godzin nie spotkałem nikogo na drodze.

- Ale wiedzą, że masz ten dom.

- Nie. Nigdy go na siebie nie przepisałem. Nie byłem tu od lat. Nawet nikt z moich znajomych nie wie o jego istnieniu. Przynajmniej przez jakiś czas będziemy bezpieczni.

Spojrzała na niego z rezygnacją, jakby wiedziała, że nie uda jej się uciec przeznaczeniu.

- No dobrze - zgodziła się, jednak jej oczy zdradzały niewiarę.

- Lizzie, nie obawiaj się. Jestem cały czas przy tobie. Nie pozwolę cię skrzywdzić.

Lizzie uśmiechnęła się blado.

- Chciałabym się mylić, ale chyba na próżno się starasz. Nie będziesz miał nic do powiedzenia. Słyszałeś, co mówił Hickory. Musisz zapłacić za swoje grzechy. Mój los też nie lepszy - nie wystarczy, że jestem wcieleniem jednej z poprzednich ofiar Rozpruwacza. Jestem wcieleniem dwóch na raz. Nikt nie może mnie już uratować. A ty będziesz przyglądać się mojej śmierci i nic nie będziesz mógł poradzić. Dzisiaj zrozumiałam to wszystko...

Wysiadła z samochodu na pozbawione wszelkiej roślinności, targane wiatrem podwórko. Zawsze wysoka, sprężysta i energiczna, poruszająca się z wdziękiem kobieta, wyglądała teraz niczym męczennica udająca się na stos. Damien miał ochotę potrzasnąć mocno jej ciałem, żeby przywrócić je do życia.

Sięgnął po koszyk z maskami, wyminął Lizzie i wszedł na rozpadające się schody prowadzące do tylnego wejścia. Porywisty, gorący wiatr z Santa Ana owiewał dom, unosząc tumany kurzu z wyschniętego podwórza. Ileż to jesieni spędził w tym domu, marząc, żeby stąd uciec? I dlaczego, na Boga, teraz wierzy gorąco, że znajdzie schronienie właśnie w tym miejscu, które niegdyś traktował jak więzienie?

Bez problemu przekreślił klucz w zamku i otworzył drzwi do kuchni. Wokół unosił się zapach od dawna nie zamieszkałego domu, zapach kurzu, stojącego powietrza, zmarnowanego życia i straconych nadziei.

Damien postawił koszyk na stole i otworzył okno. Gorące, pustynne powietrze wtargnęło do wnętrza, wzniecając tumany kurzu, który zaległ grubą warstwą na wszystkich sprzętach.

- Nie zamierzasz spytać, gdzie trzymam odkurzacz? -
zażartował, by poprawić jej humor. Przekreślił kontakt, lecz żarówka się nie zapaliła. - Nic z tego. Musi ci wystarczyć miotła, chyba że wcześniej uda mi się włączyć prąd. Może ci przynieść parę wiader wody do sprzątnięcia? - Koniecznie chciał sprowokować Lizzie do jakiegoś działania, wyrwać ją z tego ponurego otepienia, sprowokować jakąkolwiek reakcję.

- Wszystko mi jedno - odrzekła tylko jednak i ruszyła w kierunku ciemnego korytarza.

Popatrzył za nią bezradnie. Czuł, jak ogarnia go rezygnacja. Co się z nią stało? To przecież on był wcześniej obojętny i odrętwiały, a ona próbowała tchnąć w niego życie. Wściekała się, żartowała, drwiła z niego i uwodziła go; robiła wszystko, by wydobyć go z beznadziejnej apatii, w jakiej się znalazł. I udało jej się, do licha, naprawdę jej się udało. Teraz role się odwróciły. To Lizzie otoczyła się skorupą obojętności, przez którą nie sposób było się przebić. Boże, wolałby chyba umrzeć, niż przez całe życie oglądać ją w tym stanie.

Zniknęła w ciemnym korytarzu, a Damiena natychmiast ogarnął niepokój. Opanował się jednak szybko. Tutaj naprawdę nic im nie grozi. Jeżeli cokolwiek nawiedza ten dom, to jedynie duch jego dzieciństwa.

Nic to, pomyślał, trzeba zająć się czymś konkretnym. Przede wszystkim musi zobaczyć, czy uda mu się przywrócić dopływ prądu. Mimo że stał na środku zalanej słońcem pustyni, dom był posepny i ciemny. Damien czuł, że musi wypełnić go światłem.

Na szczęście okazało się to dość proste. Pewnie przed laty sam wykręcił korki. Wystarczyło teraz, że dokręcił je z powrotem, a po chwili usłyszał cichy warkot włączającej się lodówki.

Kiedy w drodze na pustynię przejeżdżali przez miasteczko, zatrzymał się przy sklepie i zostawiwszy śpiącą Lizzie w samochodzie, zrobił zakupy. Teraz wrzucił torbę do lodówki, z nadzieją że stary agregat zdoła schłodzić nagrzane w słońcu jajka i piwo. Następnie udał się na poszukiwania Lizzie.

Znalazł ją stojącą na środku salonu. Meble tu były stare, drogie i okropnie niewygodne. Pod grubą warstwą kurzu rozciągała się drewniana, niegdyś starannie polerowana podłoga. Uszyte z materiału pokrowce chroniły oparcia twardych, pokrytych tapicerką krzeseł.

Lizzie stała przed ogromnym kominkiem, w którym nigdy jeszcze nie palono ognia, nawet w Boże Narodzenie. Myślami była gdzieś daleko.

- Chcesz posprzątać? - Damien znów spróbował ją sprowokować.

- Nie - odpowiedziała obojętnie. - Pewnie jesteś zmęczony? - zapytała w końcu, jakby z poczucia obowiązku, bo słychać było wyraźnie, że tak naprawdę nic ją to nie obchodzi.

Jakże bardzo różnił się jej głos od tego, którym jeszcze tak niedawno obwieściła mu, że go kocha. Chciał go znowu usłyszeć. Chciał usłyszeć ten pełen entuzjazmu głos, chciał przywrócić ją do życia. Wzdrygnął się. Błada twarz i spowolnione ruchy Lizzie przywodziły na myśl śmierć. Wyglądała tak, jakby się już poddała. I to właśnie teraz, kiedy on zdecydował się podjąć ostateczną walkę z dręczącym ich złem.

Miał ochotę objąć ją i pocałować, ale tylko zacisnął dłonie, starając się zachować spokój.

- Pewnie, kiedy ty sobie spałaś w samochodzie, ja musiałem sprawdzać, czy nikt nas nie goni.

- Wcale nie spałam. Uwierzył jej.

- Więc też musisz być zmęczona. Gdzie się chcesz położyć?

- Sama.

Nie wiedział dlaczego, ale zaniepokoiła go ta odpowiedź.

- Nie o to mi chodzi. Chcesz spać na górze, w jednej z sypialni, czy na kanapie na dole?

- Wszystko jedno - odrzekła obojętnie.

Lizzie! Lizzie!!! - chciało mu się krzyczeć, gdy widział jej nieobecne spojrzenie.

Chciał ją uderzyć, zrobić coś, żeby ją rozgniewać. Żeby odczuła taki sam gniew jak ten, który czuł sam, widząc ulatujące z niej życie.

- Idź więc i sama znajdź sobie łóżko - powiedział, starając się ukryć ból. - Ja spróbuję doprowadzić to miejsce do stanu używalności.

Na jej twarzy pojawił się lekki ironiczny uśmiech. Pomyślał, że to dobry znak. Skoro udało mu się wywołać w niej jakąkolwiek reakcję, to jest jeszcze nadzieja. Po chwili jednak Lizzie odwróciła się i bezszelestnie niczym duch wyszła z pokoju. Usłyszał skrzypienie schodów pod jej stopami, kiedy szła na górę.

Pomyślał, że powinien pobiec za nią i ostrzec, żeby tylko nie wybrała sypialni jego matki, lecz nie ruszył się z miejsca. Co za idiotyczne pomysły przychodzą mu do głowy. Przecież mama już dawno umarła. Dlaczego niby, śpiąc w jej ponurej sypialni, Lizzie miałyby popaść w depresję i stać się posępna jak ona?

Rozejrzał się dookoła. Nie przeszkadzał mu kurz, ale nie mógł znieść unoszącego się wszędzie zapachu stęchlizny. Nie był pewien, czy gorące, duszne powietrze niesione przez wiatr zmieni coś na lepsze, lecz gdy otworzył okna, zniknęło przynajmniej nieprzyjemne wrażenie odosobnienia i zamknięcia i zobaczył rodzinny dom takim, jakim nie widział go nigdy przedtem. W dawnych czasach, ilekroć wiał gorący, pustynny wiatr, matka zamykała wszystkie okna, zaciągała zasłony i siadała samotnie w dusznej ciemności.

Pomyślał, że będzie potrzebna im woda i zdecydował się uruchomić pompę. Nie robił tego od ponad piętnastu lat, uznał jednak, że jest to jedna z tych umiejętności, której nie zapomina się nigdy, podobnie jak jazdy na rowerze. Jak tylko uda mu się napełnić zbiornik wodą, wywietrzyć wnętrze i narąbać tyle drewna, żeby ogrzać mroźne, nocne powietrze, będzie mógł się zdrzemnąć. Przespać pozostałe godziny dnia i nabrać sił do kolejnej bitwy z mrokami nocy.

Uruchomienie pompy okazało się trudniejsze niż przypuszczał i zajęło mu sporo czasu. Kiedy w końcu udało mu się uzyskać odpowiednie ciśnienie i ułożyć stertę suchego drewna przy kominku, popołudnie miało się ku końcowi. Sięgnął po zimne piwo. Zrezygnował z tequili, świadom tego, że jedynie własnym wysiłkiem może uchronić Lizzie od śmierci, Nie może pozwolić na to, żeby cokolwiek osłabiło jego czujność.

Po południu dom pogrążył się w mroku. Po niebie przetaczały się gnane wichrem, ciemne chmury. Wyraźnie zbierało się na burzę, co było o tyle dziwne, że tu, na pustyni, deszcz należał do rzadkości i rzadko można było się go spodziewać.

Wcześniej Damien sądził, że po długich tygodniach nieustającego deszczu słońce i upał pustyni przyniosą mu ulgę. Teraz wiedział już, że się mylił. Jasne promienie zdawały się naigrywać z nieprzeniknionej ciemności, z mroków, które spowiły jego los.

Chyba zaczynam wybrzydzać, pomyślał, wchodząc na górę z opróżnioną do połowy puszką piwa. Bezwiednie ominął czwarty stopień, którego skrzypienie zwykle informowało matkę o jego spóźnionych powrotach do domu. Lizzie pewnie leży teraz w jej sypialni na środku wielkiego, ciemnego łóża. Nie chciał, żeby tam spała, lecz uznał, że lepiej jej nie przeszkadzać. Najważniejsze, by wypoczęła.

Nie mógł się jednak oprzeć pokusie, żeby sprawdzić, co się z nią dzieje. Przez otwarte drzwi zajrzał do wnętrza sypialni usytuowanej u wylotu schodów. Kasztanoworude welurowe zasłony były zaciągnięte,

a łóżko starannie przykryte podobnego koloru narzutą. Na przykrytej serwetą toaletce ujrzał szerniałe srebrne lusterko i szczotkę do włosów. Obok stało upozowane zdjęcie dwojga smutnych ludzi. Rodzice prezentowali się smętnie nawet w dniu własnego ślubu. Gdyby ojciec nie zginął w wypadku, i tak by pewnie porzucił rodzinę.

Rozsunął zasłony i wpuścił światło do pokoju. Oto co pozostało z nieszczęśliwego życia matki, pomyślał - fotografie, meble, kilka sprzętów. Nigdy nie odżałowała straty męża i syna. Zawsze uważała, że Damien żąda zbyt wiele, a za mało daje, aż w końcu przestał próbować dać jej cokolwiek i zdecydował się uciec przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Zmarła, tak jak żyła - nieszczęśliwa, zgorzkniała, opuszczona przez wszystkich. Dopiero po jej śmierci opuściło go poczucie winy.

Bo czy mógł czuć się odpowiedzialny za jej los? Do pewnego stopnia tak, ale przecież w istocie matka sama wybrała sobie takie życie. Poszła własną drogą, odgrodziła się od świata, ludzi i jedyne go pozostałego przy życiu syna, Zamknęła się w sobie, kiedy nie umiała już walczyć z coraz silniej ogarniającą ją depresją i zniechęceniem, i zapłaciła za ten wybór latami pozbawionej sensu egzystencji.

Damien nagle doznał olśnienia. Zrozumiał, że on sam również dokonał podobnego wyboru. W ciągu ostatniego roku, tak jak ona, zamknął się we własnych czterech ścianach. Nawet jego zaniedbane mieszkanie, mimo zewnętrznych różnic, zaczęło pod pewnym względem przypominać ten zawsze starannie wysprzątan dom, którego w dzieciństwie tak bardzo nie lubił.

Westchnął ciężko. Musi odgonić złe myśli. Już za późno, by obwiniać za to wszystko czy to matkę, czy też samego siebie. Teraz przede wszystkim trzeba chronić Lizzie. Zapewnić jej bezpieczeństwo. Na zawsze. Dopiero gdy osiągnie ten cel, będzie mógł wkroczyć w nowe życie i przestać się bać.

Zanim zacznie żyć, musi pokonać śmierć.

A Lizzie musi uczynić to samo.

Nie znalazł jej w pokoju brata, a także w nienagannie wysprzątanym pokoju gościnnym, który sprawiał wrażenie, jakby nikt w nim nigdy nie mieszkał. Nie było jej też w szwalni, gdzie jeszcze za życia ojca matka spędziła niejedną noc, śpiąc samotnie na wąskiej kozetce.

Odnalazł ją w końcu w swoim własnym pokoju. Spała w jego łóżku z kocem, pamiętającym jeszcze studenckie lata, nasuniętym na głowę. Zobaczył rude włosy rozrzucone na poduszce, której niegdyś powierzał sekrety wieku dojrzewania.

Nie przypadkiem wybrała właśnie ten pokój. Na jednej z półek stały puchary, które zdobył na boisku, na innej nagrody za osiągnięcia dziennikarskie. Na ścianie wisiał plakat z pewną kalifornijską aktorką w bikini, w której zapewne kochał się jako młody chłopak. Ze ściany obok spoglądał gniewnie James Dean, żywy symbol młodzieńczego buntu.

Damien rozejrzał się po pokoju i uświadomił sobie, że od lat nie czuł większej chęci życia niż w tej chwili.

Jeszcze nie jest za późno, myślał. Jest przecież tylko człowiekiem, który popełnił w życiu wiele błędów, strasznych błędów, lecz który zawsze może podnieść się, opatrzyć rany i pójść dalej. Jego upadek nie jest ostateczny. Póki Bóg na niebie, nie ma ostatecznych upadków. Jeszcze zdoła się uratować.

Tak, spróbuje naprawić wyrządzone krzywdy, poczynając od dziewczyny śpiącej teraz w jego chłopięcym łóżku. Ileż to nocy spędził, marząc o tym, żeby nie być w nim sam. Teraz nareszcie te marzenia mogły się spełnić. I to nie za sprawą byle jakiej dziewczyny. Nie tej blondynki z plakatu, z jej silikonowym biustem, lecz za sprawą prawdziwej kobiety, wspaniałej kobiety, jedynej, która pokonała mur, jakim się otoczył i jedynej, na której w życiu naprawdę mu zależało.

Nie, nie. Nie położy się teraz obok niej. Oddałby za to dziesięć lat życia, ale wiedział, że ulegając pokusie, mógłby przybliżyć jej śmierć. Wprawdzie intuicja podpowiadała mu, że Rozpruwacz nie znajduje się nigdzie w pobliżu i że przynajmniej na razie są bezpieczni, ale czy na długo? Poza tym, czy w ogóle powinien kierować się własną intuicją?

Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć.

Kiedy Lizzie otworzyła oczy, wokół było ciemno i zimno. Leżała zwinięta pod szorstkim, wełnianym kocem, w pokoju, który niegdyś był z pewnością sypialnią Damiena. Przez chwilę pozostała nieruchoma. Nienawidziła tego domu. Nienawidziła wszechobecnego kurzu, smutku i zapachu zmarnowanego życia. Nienawidziła starych mebli i brudnobrazowych tapet w niewyraźne kwiatki. Nienawidziła

poczucia beznadziejności, którą przesycone było to miejsce i które nieodparcie udzielało się także i jej. Jak, na Boga, udało mu się w ogóle znieść tak posępne dzieciństwo?

Gdy instynktownie wyczuła obecność Damiena, poczuła się lepiej. Dobrze, że nie położył się przy niej. Otoczyła się twardą, lodowatą skorupą i tylko dzięki niej nie straciła jeszcze zmysłów. Gdyby jej dotknął swą ciepłą dłonią, lód zapewne by się roztopił, a ból stałby się nie do wytrzymania.

Powoli usiadła na łóżku, W ciemności ujrzała sylwetkę Damiena wspartą o ścianę. Pograżony był w głębokim śnie. Długie włosy opadły mu na twarz i wyglądał teraz zupełnie jak chłopiec, który zamieszkiwał ten pokój, kiedy jego życie było jeszcze proste i czyste.

Czy jednak życie w tym posępnym domu mogło być proste? A już z pewnością nie radosne i beztroskie. Nic dziwnego, że nie lubi do niego wracać, że uważa go za dom swojej matki, a nie swój własny. Gdyby ten dom należał do niej, do Lizzie, pewnie też by go nie lubiła, mimo że sama nigdy nie miała ani domu, ani matki.

Wyślizgnęła się z łóżka i na palcach wyszła z sypialni. Ominęła Damiena z daleka. Nie chciała się do niego zbliżyć. Zbyt wielką stanowił pokusę, zbyt łatwo mógł złamać jej serce. Poza tym musiała zrobić coś, w czym zapewne próbowałby jej przeszkodzić.

Zaskoczył ją przejmujący chłód panujący na zewnątrz, szczególnie że dzień był przecież tak upalny. Nigdy dotąd nie spędziła dłuższego czasu na pustyni. Zawsze wolała góry, słońce i czyste,

orzeźwiający powietrze. Tu czuła się równie źle, jak w wilgotnej i dusznej atmosferze Los Angeles.

W lepszych czasach była kobietą praktyczną. Teraz nastały czasy zdecydowanie gorsze, lecz praktyczny zmysł nadal jej nie opuszczał. Sprawdziła ciąg powietrza w kominku. Żadne ptaki ani zwierzęta nie zagnieździły się w przewodzie kominowym domu pani Damien. Widocznie nawet one czuły się tu nie chciane.

Z zadowoleniem stwierdziła, że Damien wykonał, co do niego należało. Przy kominku znalazła stertę suchego drewna i papier na rozpałkę. Sprawnymi dłońmi ułożyła bierwiona i przypaliła starą, pewnie ponad dziesięcioletnią gazetę. Niczym zahipnotyzowana zaczęła wpatrywać się w płomienie, które zaczęły pełgać po suchych jak pieprz szczapach.

Podobno ogień przynosi ukojenie. Tym razem jednak żar bijący z kominka wypełnił duszę Lizzie przejmującym chłodem. Poczekała, aż ogień się rozpali i na dobre zajmie suche paliki. Dopiero wtedy sięgnęła po pierwszą maskę.

W sumie było ich siedemnaście. Lizzie uklękła przed kominkiem i niewzruszenie przyglądała się, jak płomienie ogarniają jedną po drugiej. Wpatrywała się w płonące papier mache, w topiący się z sykiem materiał i włóczkę, w klejnoty zamieniające się w węgiel, w rozpływające się twarze, w ginące w ogniu oblicza potworów i clownów, boginek i wielkich dam, dzieci i starców, w pyski smoków i psów. W siedemnaście masek, których Rozpruwacz już nigdy nie miał dostać w swoje ręce.

Dopiero gdy sięgnęła po ostatnią, poczuła, że zaczyna opuszczać ją spokój. W pokoju panowała ciemność, jedynie płomienie śmiertelnego stosu poruszały się w makabrycznym tańcu. Nadal było zimno, ciepło kominka nie zdążyło jeszcze ogrzać powietrza. Czyjeś ręce z czułością owinęły tę ostatnią maskę cienką bibułą i wełnianym gałgankiem. Lizzie spojrzała na swą własną, dziecinną twarz i znowu poczuła ból.

- Nie rób tego, Lizzie. - Głos Damiena był cichy, ujmujący i stanowczy. Nie słyszała, kiedy zszedł na dół, nie wiedziała, że się jej przyglądał.

Nie odwróciła się do niego. Twarz miała mokrą. Sama nie wiedziała, czy to od potu wywołanego bijącym z ognia żarem, czy od łez.

- Wiesz przecież, że muszę ją spalić - odrzekła z palcami zaciśniętymi na glinianej twarzy dziewczynki. Nie była jednak w stanie wrzucić jej do ognia.

Uklęknął przy niej na podłodze i sięgnął po maskę.

- Nie rób tego. Zdołamy uchronić i ją, i ciebie. Nie niszcz jej.

Wyjął maskę z jej dłoni i ponownie ułożył w koszyku. Potem nachylił się nad Lizzie i pocałował ją tak czule, że skorupa lodu, w której się zamknęła, pękła w jednej sekundzie.

Lizzie wyciągnęła ku niemu ramiona. Tym razem nie wypełniła jej namiętność i pożądanie, lecz ogromna tęsknota za życiem; i za mężczyzną, który zdawał się szukać jej od dziesięcioleci.

- Kocham cię, Killian - powiedziała i w tym samym momencie zdała sobie sprawę, że pomyliła nazwiska.

Odskoczyła przerażona.

Killian. Postać sprzed wieku. Mężczyzna, który dopuścił do śmierci tamtych kobiet, ten właśnie, którego pokochała wiele lat temu.

Teraz wiedziała na pewno, że on i Damien to ta sama osoba.

Scandalous

Damien wstał i podniósł Lizze z podłogi. Zniknęła gdzieś jego czułość, tkliwość, którą jeszcze przed kilkunastoma sekundami słyszała w jego głosie. Widać było wyraźnie, że to jedno słowo - Killian - całkiem wytrąciło go z równowagi.

- Musisz stąd wyjechać - powiedział szorstkim tonem,

- O co ci chodzi? - Lizzie spróbowała wyrwać się z jego ramion.

- O to, że ze mną nie jesteś bezpieczna. Zawiozę cię do Adamsona i zmuszę go, żeby przydzielił ci stałą ochronę. Oczywiście nie będzie chciał, ale kiedy powiem mu, że mogę wywalić krytyczny artykuł na całą stronę, na pewno zmięknie i się tobą zajmie.

- Nie! - Wyszarpnęła się z jego uścisku. - Nie wierzę mu.

Nikommu nie wierzę. Nikt nie będzie w stanie mnie uratować, kiedy Rozpruwacz zdecyduje się wyciągnąć po mnie swoje łapy. Ty jesteś moją jedyną szansą.

- A jeśli Rozpruwacz to ja? Porozmawiajmy uczciwie, Lizzie.

Co będzie, jeżeli okaże się, że to ja? Przecież tyle kobiet przeze mnie zginęło. Chcesz być następna?

- Ale przecież...

- Nie mów nic. Popatrz lepiej na siebie. Popatrz, do jakiego stanu cię doprowadziłem. Nie widzisz, co się z tobą dzieje? Zamykasz się we własnym świecie, dokładnie jak ja, jak przedtem moja matka. Uciekaj stąd, dziewczyno. Uciekaj ode mnie. Bo jeśli nie uciekniesz, to co? Będziesz siedziała w tym domu i czekała na śmierć? A ja będę

biegał dookoła, próbując zapobiec katastrofie, albo przyjdę po ciebie, jeśli okaże się, że jestem mordercą?

- Dosyć! Nie jesteś Rozpruwaczem! - krzyknęła Lizzie rozzwierającym głosem. Ten krzyk wyrwał ją z odrętwienia. Na nowo wzbudził w niej złość i energię. Złapała Damiena za ramiona i potrząsnęła nim, tak jakby chciała pobudzić go do rozsądnego myślenia. - Kto jak kto, ale ja musiałabym o tym wiedzieć!

- Lizzie, tamte kobiety też mu wierzyły. Też im się wydawało, że są z nim bezpieczne, choć, jak się okazało, wcale nie były. Nikt nie jest bezpieczny. Dlatego właśnie musisz uciekać stąd jak najdalej, na zawsze porzucić to przeklęte miejsce. Pomogę ci, zawiozę na lotnisko... Chodź, zabiorę cię. - Chwycił ją z całej siły za nadgarstek, a ona zamiast opierać mu się, albo przeciwnie - dać się poprowadzić, obróciła się w jego stronę i przyłgnęła do niego całym ciałem, jakby w ten sposób chciała okazać swą bezgraniczną ufność.

- Nigdzie mnie nie zabierzesz, rozumiesz? - oznajmiła i objęła go w pasie. Przez moment trwali w bezruchu, po czym Lizzie chwyciła twarz Damiena w dłonie i pocałowała go z pasją.

Próbował się opierać. Napięcie mięśni zdradzało walkę, jaką toczył z własnym pożądaniem. Ona jednak nie miała żadnych skrupułów. Nie pamiętała o strachu, niepewności, zniechęceniu. Była nieprzejednana. Przyciskała go mocno i całowała nieczułe usta.

Wreszcie Damien skapitulował. Odwzajemnił pocałunek, głęboko penetrując jej usta. Gdy przywarł do niej całym ciałem, poczuła, jak bardzo jej pragnie.

Jednym gwałtownym ruchem obnażyła jego tors. Damien podjął grę. Wsunął ręce pod cienki trykot Lizzie i poczuł, jak jej piersi twardnieją pod wpływem pieszczot. Nie namyślając się długo, ściągnął z niej koszulkę i odrzucił na środek pokoju. Poczula na skórze żar jego gorących warg, jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

- Nie bój się. Tylko się nie bój... Jeśli teraz się przestraszysz i odejdiesz, zabiję cię - wyszeptała.

Nie odpowiedział. W miłosnym zapamiętaniu ściągnął z niej spodnie i białe bawełniane figi. Stała teraz przed nim naga w migotliwym świetle ognia płonącego na kominku. Spojrzała mu w oczy. Były udręczone i niepewne, ale nie ulękła się tego. Wyciągnęła dłoń i powoli zaczęła rozpinać mu dzinsy.

Damien szarpnął się. Jeszcze raz spróbował się wycofać.

- Mogę ci zrobić krzywdę. Nie chcę...

- Chcesz. I zrób mi krzywdę, jeśli musisz. Oboje jesteśmy sobie potrzebni. Chodź, musisz przejść na drugą stronę, jeśli chcesz stamtąd wrócić.

- A jeśli nie wrócę? Co wtedy? - zapytał rozpaczliwie i dłonie zanurzył w jej włosach.

- Zaryzykujmy.

Poczula, że opuszczają go resztki rozsądku, że jego ciało wypełnia pulsujące pożądanie. Na moment ogarnął ją lęk, lecz zrozumiała, że za późno już, żeby się wycofać.

Uniósł ją w powietrze i przyparł do ściany. Jej nogi oplotły mu biodra. Wypełnił jej ciało. Zapomniała o lęku i bólu, a on rytmicznymi ruchami zaczął pogłębiać swoją w niej obecność.

Nagle zeszywniał w jej ramionach. Złękła się, że zechce ją opuścić, jednak Damien wydał z siebie tylko pojedynczy jęk bólu i spełnienia i Lizzie poczuła, jak stają się jednością.

Damien oparł głowę o ścianę, ciężko dysząc. Po chwili postawił Lizzie z powrotem na podłodze. Kolana pod nią drżały. Otoczył ją ramieniem, przytrzymał, a jednocześnie sam wsparł się na niej. Nie był pewien, czy będzie w stanie stać o własnych siłach.

- Cholera - zaklął. Czuł, że choć wszystko trwało tak krótko, to i jego, i ją kosztowało dużo sił. Napięcie, które cały czas narastało do tej pory między nimi, było widać tak silne, że teraz oboje czuli się tak, jakby całkiem z nich uszło powietrze.

Damien usiadł na podłodze i trzymał teraz Lizzie w ramionach jak w kołysce. Światło bijące od ognia na kominku odbijało się od ich spoconych ciał.

- Cholera - powtórzył nieco ciszej niż poprzednio. Lizzie przyjrzała mu się nieśmiało i niepewnie. Odgarnęła włosy z jego twarzy.

- Czemu klniesz? Kochaliśmy się i udało nam się przeżyć. Nadal jestem cała. - Spojrzała na swe ciało - Żyję, albo przynajmniej tak mi się wydaje. - Zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Cholera - powiedział jeszcze raz, pokręcił głową i uśmiechnął się do niej szeroko. - Po prostu cholera, Lizzie - wymamrotał i z czułością przytulił ją do siebie.

Dowiedział się, gdzie są. Zajęło mu to wiele ciągnących się w nieskończoność godzin, ale w końcu udało mu się ich wytropić. Damien odziedziczył dom w małym miasteczku na pustyni. Wystarczył jeden telefon i już wiedział, że dom jest niezamieszkały od lat, i że ktoś odpowiadający rysopisowi Damiena pojawił się w jednym z nowych sklepów, które wraz z rozwojem cywilizacji zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu nawet w najbardziej zapadłych dziurach.

Musi się spieszyć. Czas ucieka, zostały mu jeszcze tylko dwadzieścia cztery godziny. Powinien je sensownie wykorzystać.

Ostatnią maskę, jaką miał, zostawił przy zwłokach starca. Nie chciał tego zrobić, lecz gdy napotkał martwy wzrok Hickory'ego, zrozumiał, że takie było jego życzenie. Nie zamierzał mu się sprzeciwiać.

Potrzebna była mu jeszcze jedna. Ze sklepów zniknęły już wszystkie, sprawdził to osobiście. Mógłby ewentualnie poszukać w prywatnych kolekcjach, ale to zajęłoby zbyt wiele czasu, nawet przy jego możliwościach.

Poza tym, wie przecież, kto ma maskę, której szukał. Osoba, dla której jest przeznaczona, Smukła Liz, Elizabeth Stride. Tak, tym razem nie popełni tego błędu, co kiedyś. Wykona robotę do końca, bez żadnych niedociągnięć.

Dojazd do rodzinnego domu Damiena powinien zająć mu ze cztery godziny. Nie musi jechać zbyt szybko. Nawet może się na chwilę zatrzymać na kawę i pączka. A jeśli będą dobre, dokupi jeszcze kilka na potem, do domu.

Przecież tym razem wróci do domu po zakończeniu misji. W tym życiu nie będzie już mordował. Wróci do codziennych zajęć i zapomni o wydarzeniach ostatnich trzech miesięcy.

Będzie po wszystkim.

Damien przyglądał się śpiącej Lizzie. Ogarnął go dziwny spokój. A więc nic się nie stało, myślał. Przynajmniej na razie zdołał ją ocalić.

Na jej twarzy malowało się zmęczenie. Oczy miała podkrążone, usta nadal obrzmiałe od pocałunków. Wiedział, że ją naznaczył. I że nadal bardzo jej pragnie. Powiedziała, że wciąż jest cała, że żyje. Fakt, żyła, chociaż była tak wyczerpana, że w tę jej ochotę do życia trudno byłoby uwierzyć komuś, kto nie wiedział nic o tym, co przeszła przez ostatnie dni.

Chwiała się na nogach jeszcze w drodze do łazienki, gdzie wzięła długą, oczyszczającą kąpiel. Gdy wróciła, zaróżowiona, odświeżona i nieśmiała, Damien znowu poczuł chęć zerwania z niej luźnej podkoszulki, którą wygrzebała z jego starej szuflady.

Przytargał z góry materac i ułożył go na podłodze przed kominkiem. Na jego widok Lizzie uśmiechnęła się sennie. Uśmiech ten wydał mu się równie ponętny, jak widok jej długich, rozgrzanych gorącą wodą nóg.

- Bez prześcieradła? - zapytała i opadła na to prowizoryczne posłanie. Zasnęła natychmiast.

Począł, aż Lizzie zapadnie w głęboki sen, po czym sam udał się do łazienki. Gdy wrócił, dorzucił drew do kominka, przykrywając nimi resztki zwęglonych masek.

Pragnął wyciągnąć się obok Lizzie, wziąć ją w ramiona i kochać się z nią znowu. Skoro nic mu się nie stało, skoro przeszli tę próbę, a on nie zamienił się w monstrum, to czemu nie? Za pierwszym razem był to pospieszny, brutalny seks, sycenie głodu dwóch rozpalonych namiętnością ciał, które domagały się natychmiastowego zaspokojenia. Teraz kochałby się z nią inaczej - powoli, delikatnie, czule, bez lęku, za to świadomie delektując się rozkoszą.

Wciąż jednak nie ufał sobie do końca. Poza tym, obawiał się mroku nocy i potwora, który w każdej chwili mógł wyłonić się z ciemności. Gdzieś tam, na zewnątrz, czekał na nich Rozpruwacz. Nic się przecież nie zmieniło tylko dlatego, że on, Damien, wreszcie ją posiadał. W porównaniu z tym, co czuł jeszcze godzinę temu, zaszła jednak jedna, ale zasadnicza zmiana - z jego serca zniknął już lęk przed tym, że to on sam okaże się mordercą. Zrozumiał, że Rozpruwacz to nie on.

Dziwne, irracjonalne poczucie odpowiedzialności za popełnione zbrodnie nie opuściło jednak jego duszy. Musiał zachować czujność. Inaczej stanie się winnym kolejnej śmierci. Śmierci przepięknej dziewczyny, pogrążonej w głębokim, spokojnym śnie przed kominkiem.

Powietrze tamtej nocy było mgliste. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. W końcu każdej jesieni Londyn pogrąża się we mgle, a ostatnie miesiące roku 1888. były jeszcze bardziej wilgotne niż zwykle. Zupełnie jej to nie przeszkadzało. Właściwie to mgła dawała jej nawet większe poczucie intymności, a intymność była czymś, co zawsze ceniła wysoko, szczególnie że wychowała się w jednoizbowej chałupie z dwanaściorgiem rodzeństwa i rodzicami, którym obecność dzieci nie przeszkadzała w robieniu następnych.

Wszystkie pieniądze wydała na to, żeby wyjechać z Irlandii. Londyn przyjął Mary Kelly przyjaźnie. Była śliczna, ładniejsza niż większość znanych jej dziewcząt, nie mogła więc narzekać na brak klientów. Zwykle trafiali się jej kulturalni panowie o miękkich dłoniach; tacy, którym zdarza się czasem zapragnąć odmiany od codziennego, małżeńskiego życia. Mary była w stanie dać im taką odmianę, oczywiście pod warunkiem, że będą za nią płacić.

W sumie nie lubiła mężczyzn. Uważała, że podobnie jak jej ojciec i bracia, wszyscy są gruboskórni, a ich stosunek do kobiet, niezależnie od stopnia pokrewieństwa, sprowadza się na przemian do bicia i obłapiania pod kołdrą. Godziła się z tym, dopóki była zbyt młoda i słaba, żeby się przeciwstawić, aż w końcu przyjechała do Londynu. Mężczyźni, którzy przychodzili do Spitafields w poszukiwaniu wrażeń, byli przynajmniej trochę lepsi od braci.

Nie zamierzała pozostać zbyt długo w tej profesji. Chciała zarobić tyle, żeby wyjechać do Francji. A tam nie zostanie już zwykłą dziwką. Weźmie ze sobą tyle pieniędzy, żeby się utrzymać, i zaczeka

sobie spokojnie, aż trafi jej się jakiś bogaty mecenas, który zechce mieć tak śliczną dziewczynę na własność i sfinansuje początek jej kariery w teatrze. Bo przecież Mary umiała pięknie tańczyć i śpiewać. Recytowała wiersze czystym, mocnym głosem. Jeśli w końcu zdecyduje się wrócić do Anglii, to żeby podbić Londyn. Kariera Lillie Langtry zblednie w porównaniu z jej sukcesem.

Tylko dwie osoby mogły przeszkodzić jej w realizacji tego planu.

Kuba Rozpruwacz i James Killian.

Nie bardzo obawiała się Rozpruwacza. Była zbyt mądra, żeby oddalać się z kimś obcym, niezależnie od tego, ile banknotów podtykał jej pod nos. Poza tym, na wszystkie dotychczasowe ofiary Rozpruwacz wybierał stare, bezzębne prostytutki po czterdziestce, które bez namysłu oddawały się przygodnym typom wprost na ulicy. Nawet ta biedna Lizzie Stride była zwykle zbyt pijana, żeby zwracać uwagę na to, z kim idzie na bok. Wystarczyło, że dostała na nocleg i torbę orzeszków.

Mary lubiła Lizzie mimo dzielącej je różnicy wieku. Smukła Liz była inna niż ta stara dziwka Cathy Eddowes. Śmierć Liz głęboko nią poruszyła. Właśnie wtedy wdała się w rozmowę z tym wścibskim dziennikarzem

Wyglądał całkiem nieźle, choć uznała, że powinien wybierać garnitury o bardziej stonowanych barwach. Mary miała dobry gust i wiedziała, jak powinien ubierać się prawdziwy dżentelmen. Killian nosił na palcu duży sygnet z brylantem. Z początku Mary miała

nadzieję, że przy pewnych staraniach z jej strony, pierścień może zmienić właściciela i jej szanse na wyjazd do Francji wydatnie wzrosną. Przekonała się jednak, że Jack Killian to chytry lis, który dobrze wie, czego chce. Wyjaśnił jej bez ogródek, że do tej pory nigdy nie płacił za miłość i wcale nie zamierza zmieniać swoich przyzwyczajzeń. Jeśli zaś chodzi o te sprawy, to Mary nie ma się nawet co wysilać, bo i tak nie jest nią zainteresowany.

Wiedziała, że kłamał. Zdradzały go oczy, których nie mógł spuścić z jej biustu, ręce, które mimochodem wyciągał w jej kierunku. Wyraźnie widziała, że jej pragnie, a co dziwniejsze - odwzajemniała to uczucie. Pierwszy raz w życiu czuła, że naprawdę chce być z mężczyzną.

Powiedział, że ma pewien plan. Zaciągnął ją do swojego stolika w pubie „Ten Bells” i poił piwem z sokiem. Mary zawsze uważała na to, co pije. Musiała się mieć na baczności, żeby nie skończyć jak Lizzie. Plan Killiana spodobał się jej jednak i uznała, że wart jest ryzyka.

Gdyby im dwojgu udało się złapać Rozpruwacza, wcale nie musiałyby wyjeżdżać do Paryża, żeby trafić na scenę. W samym Londynie zostałyby zasypana ofertami. Killian powiedział, że nazwaliby ją „heroiną Whitechapel”, że on sam zadbałby o to, by zapewnić jej w swej gazecie należyłą reklamę, że ludzie tłoczyliby się, żeby tylko ją zobaczyć.

Niebawem wszystko się wyjaśni. Killian kupił już broń i jutro wieczorem mieli zastawić pułapkę. Nie wiedziała, skąd ten

dziennikarz miał takie informacje, ale mówił, że Rozpruwacz na kolejną ofiarę upatrzył sobie właśnie ją. Jej rola, to zwabić go do pokoju i czekać, aż Killian wpadnie do środka z odbezpieczonym pistoletem w dłoni. Jeśli będzie musiał, zabije go. W ten sposób oboje będą mieli zapewniony sukces.

Mary podniosła wzrok. Ujrzała brązowe, pełne determinacji oczy, patrzące na nią z ładnie skrojonych ust i równo przyciętych wąsów.

- Dobrze to sobie wykombinowałeś - pochwaliła go.

- Nie może się nie udać. Chyba mi ufasz? Wiesz, że nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwo.

- Nigdy w życiu nie ufałam mężczyznom - odrzekła zuchwale, odchylając do tyłu głowę.

Wzrok Killiana spoczął na jej ustach. Wiedziała, o czym pomyślał, i po raz pierwszy w życiu poczuła ogarniające ją ciepło wzajemności.

- Mnie możesz zaufać. W końcu oboje mamy tyle samo do zyskania.

- Tyle że ja mam więcej do stracenia - zauważyła. Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie chciałbym cię stracić - powiedział niespodziewanie łagodnym tonem.

Mary nawet nie drgnęła.

- Pamiętam, jak mówiłeś, że te sprawy cię nie interesują.

- Mówiłem tylko, że nie zamierzam płacić za miłość. Nie interesuje mnie spędzenie z tobą dziesięciu minut, albo nawet kilku dni. Chcę mieć cię całą, na zawsze. - Spojrzał na nią z tak wielką tęsknotą, że Mary poczuła, jak jej serce zaczyna bić szybciej.

Wtedy ją pocałował. Od lat nikt jej nie całował. Klienci zwykle przechodzili od razu do rzeczy, co Mary przyjmowała z ulgą, gdyż nie musiała się za bardzo angażować. Lecz kiedy Killian nachylił się nad stolikiem i jego usta musnęły jej wargi, doznała całkiem nowego, nieznanego uczucia.

Przez drobną chwilę, która zdawała się trwać całą wieczność, a w której ich usta trwały związane w tkliwym pocałunku, Mary niespodziewanie poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nigdy dotąd nie całowała i nigdy nie płakała.

- Killian... - zaczęła, żeby wyznać mu miłość, lecz nie pozwolił jej dokończyć.

- Zdaję sobie sprawę - powiedział z goryczą - że szukasz bogatego faceta, który zapewni ci wygodne życie. Niestety, nie spełniam tych warunków.

- Jeśli złapiemy Rozpruwacza, oboje staniemy się sławni. A jak będziesz sławny, staniesz się bogaty.

Spojrzał jej w oczy.

- Tak, masz rację.

- Więc jutro w nocy? - upewniła się z nieskrywanym zapałem.

Killian niespodziewanie pokręcił głową.

- Nie, nie... Rozmyśliłem się, to zbyt niebezpieczne.

- Nie bądź głupi! - Mary ogarnęła nagle ekscytacja. Zrobią to, uda im się. Niemożliwe, żeby cokolwiek mogło jej grozić. - Przecież będziesz mnie pilnował, a ja sama też mam głowę na karku, no nie? - przekonywała. - Nie jestem taka głupia jak te stare ropuchy. Będę się mieć na baczności. Mówię ci, musi nam się udać. Złapiemy Rozpruwacza, a potem będziemy żyć długo i szczęśliwie. I w dodatku razem.

Wstała i nachyliła się, żeby znowu go pocałować. Wtedy on wyciągnął dłoń i dotknął jej piersi. Chętnie zostałaby z nim, żeby poznać smak rozkoszy, jaką jedynie on mógł jej ofiarować, lecz musiała się śpieszyć do pracy. Odsunęła się z pełnym żalu uśmiechem.

- Dokąd idziesz?
- Muszę się z kimś spotkać.
- Daj spokój. Nie rób tego więcej, Mary. To zbyt niebezpieczne.
- Jezu, jakiś ty śmieszny. Przecież nie w głowie mi dziś te rzeczy
- powiedziała wesoło. - Przrzekłam ci już rękę i serce, że nie wspomnę o reszcie, prawda? Muszę opłacić czynsz, bo rano wywalą mnie na ulicę i co wtedy zrobimy? Uszy do góry, Killian. Wszystko będzie dobrze.

Zatrzymała się w drzwiach i pogroziła mu palcem. Dopiero gdy znalazła się na pogrążonej we mgle, ciemnej ulicy, zastanowiła się, czy choć przez chwilę wierzył jej zapewnieniom.

Może chce ją śledzić. Mary wiedziała, że nie ma czasu do stracenia. Naprawdę zamierzała porzucić to życie. Na samą myśl o

tym, że jeszcze dziś ma się spotkać z jeszcze jednym klientem, cierpła jej skóra. Nie żeby był to ktoś wybitnie nieprzyjemny. Przeciwnie. W dodatku mógł się okazać przydatny, gdyby znalazła się w potrzebie, co przecież mogło się zdarzyć...

No i był bardzo hojny. Na pewno da jej więcej niż inni. Schowa ostatnie zarobione w ten sposób dziesięć funtów razem z resztą oszczędności, a Killian nawet nie będzie o niczym wiedział.

Wyciągając z szafki czyste prześcieradło, nuciła pod nosem jakąś zwawą irlandzką piosenkę. Killian na pewno będzie miły w łóżku, myślała, żeby poprawić sobie humor. Inny niż te wszystkie zdyszane, spocone chłopy, z którymi miała do tej pory do czynienia.

Usłyszała pukanie do drzwi w chwili, gdy zdejmowała rękawiczki. Niektóre dziewczyny odczuwały zdenerwowanie przed przyjęciem klienta, ale nie Mary Kelly. Poza tym, ten akurat mężczyzna odwiedzał ją regularnie. Zjawiał się właśnie czwarty raz w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Był u niej zawsze wtedy, kiedy w mieście pojawiał się Rozpruwacz. Mary rozumiała, że szuka u niej wytchnienia.

Otworzyła drzwi i zobaczyła znajomą, miłą twarz. Tym razem miał w ręku torbę, lecz nie zwróciła na nią uwagi. Wpuściła go do pokoju, zanim ktoś z sąsiadów zdążył go zauważyć.

- Witam pana, nadinspektorze - powiedziała wesoło i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Witaj, Mary - odrzekł, stawiając torbę w nogach łóżka. - Mam dla ciebie niespodziankę.

Roześmiała się radośnie, mimo że w środku odczuwała już znudzenie.

- Uwielbiam niespodzianki.

- Ta ci się na pewno też spodoba, kotku - zachichotał nadinspektor policji, kierujący śledztwem w sprawie Rozpruwacza, i zdjął swą szarą, zwyczajną marynarkę.

W tym samym czasie Killian pędził co sił wąskimi uliczkami miasta. Podeszwy nowych butów ślizgały mu się na mokrym bruku. Zdawał sobie sprawę, że Mary go oszukała, on jednak wcale nie próbował jej przeszkodzić. W kieszeni miał pistolet. Jeśli Rozpruwacz upomni się o nią dzisiaj, co wydawało się całkiem możliwe, będzie na miejscu, żeby go powstrzymać.

Kiedy z nią rozmawiał, przez krótką chwilę zastanawiał się, czy wszystkiego nie odwołać. Zapomnieć o Rozpruwaczu, zabrać Mary Kelly do domu, nie pozwolić jej wychodzić na ulicę, zapewnić bezpieczeństwo. Uznał jednak, że to kiepski pomysł. Oboje byli zbyt ambitni, obojgu tak bardzo potrzebny był rozgłos, pieniądze, sukces. Nie zamierzał przecież spędzić reszty życia, wiodąc mamą egzystencję u boku flejowatej żony. Musi mieć wszystko - sławę, bogactwo i Mary. Właśnie dlatego warto spróbować, dlatego pozwoli Mary podjąć ryzyko.

Powinna teraz być w domu. Postoi na zewnątrz i poczeka, aż pokaże się klient. Najpierw go zatrzyma, a następnie pójdzie do Mary i spierze ją po jej pięknej buźce, tak że raz na zawsze odechce jej się

kłamać. Potem ją pocałuje, a Kuba Rozpruwacz będzie mógł się tylko przyglądać i skręcać ze złości.

Podszedł pod jej okno. Wewnątrz paliło się światło i było zupełnie cicho. A więc Mary wciąż jest sama, wciąż czeka na gościa. Killian ukrył się w ciemnym zaułku, usiadł na stercie gruzu, z której mógł obserwować kamienicę, i czekał. Jeśli pokaże się ktoś, kogo zna, przegoni go, a jeśli do środka wejdzie obcy mu człowiek, będzie nasłuchiwał pod oknem z rewolwerem w ręku. Tak, już jutro rano życie może stać się piękne.

Przez długi czas w okolicy nie działo się nic. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i Killian przysnął. Gdy się obudził, było już jasno. Ciało miał zziębnięte i zeszywniałe, bolały go wszystkie mięśnie. Mary zgasiła już światło i Killian przeklął sam siebie za to, że okazał jej brak zaufania. Czyżby rzeczywiście mylił się co do jej zamiarów?

Poczuł gwałtowny przyływ czułości. Zaraz do niej pójdzie. Musi ją przytulić i pocałować. Zapuka i ją obudzi. Przeszedł na drugą stronę pustej o tej porze uliczki.

Drzwi były lekko uchylone, otworzyły się szeroko, gdy tylko ich dotknął. Stał w progu, rozejrzał się i z jego ust wydobył się krzyk.

Jest z nim, jest tutaj. Nieważne, Lizzie czy Mary, ale siedzi tu z nim, przytula go i całuje, głaszcze drżącymi rękami. A przede wszystkim żyje. Żyją oboje. Koszmar minął.

Damien położył Lizzie na materacu i dotknął wargami jej ust. Poczł taką samą słodycz jak ponad sto lat wcześniej, kiedy po raz pierwszy pocałował Mary Kelly w pubie „Ten Bells”.

Scandalous

Lizzie rozluźniła mięśnie, gdy ujrzała nachylającą się nad sobą znajomą sylwetkę. Objęła Damiena ramionami. Krzyk Killiana, który wyrwał ją ze snu, brzmiał tak prawdziwie, że przez chwilę leżała zdezorientowana.

Pod plecami czuła materac z końskiego włosa, płomienie tańczące na kominku odbijały się w jej lśniącej skórze. Tuż obok niej był Damien.

W świetle ognia jego rysy wydawały się ostre i złowrogie, lecz Lizzie wiedziała, że to tylko złudzenie. Ujęła w dłonie jego twarz i nie śpiesząc się, czule pocałowała. Spodziewała się, że Damien znów ją zamknie w brutalnym uścisku swych silnych ramion, że pocałunek wywoła w nim kolejny przyływ gwałtownego pożądania, że zagarnie ją pod siebie z desperacją.

Pomyliła się jednak. Tym razem Damien daleki był od pośpiechu i gwałtowności. Z równą czułością odwzajemnił pocałunek i ułożył się w pozie zapowiadającej długą grę miłosną. Lizzie poczuła ciepło i niewypowiedzianą słodycz. Bez słowa położyła się obok niego.

Delikatnie całował i pieścił całe jej ciało. Wsunął ręce pod cienki materiał i ostrożnie dotknął jej gładkich piersi. Zatopiła się w rozkoszy. Chwilami ogarniał ją dziewczęcy wstyd, próbowała cicho protestować, lecz wtedy Damien łagodnie przykrywał jej usta, nie pozwalając wydobyć się słowom.

Nagle ogarnęła ją trwoga. Spodziewała się, że będzie równie gwałtowny jak poprzednio, i na to była przygotowana, lecz czułość, jakiej nagle doświadczyła, napełniła ją jakimś niewytłumaczalnym lękiem.

- Czego się obawiasz? - zapytał.

Zmusiła się, żeby podnieść wzrok. Zobaczyła ciemne, lecz wcale nie brązowe oczy i długą, wąską, nieogoloną twarz. Nie okalały jej bokobrody, nad ustami nie dostrzegła wąsów, a jednak czuła, że to ten sam człowiek, którego pokochała dawno, dawno temu.

- Tyle czasu minęło... - powiedziała, zdając sobie sprawę, jak dziwnie zabrzmiały jej słowa w uszach mężczyzny, z którym kochała się ledwie kilka godzin wcześniej.

Na twarzy Damiena nie dostrzegła jednak zdziwienia.

- Zbyt wiele, całe stulecie - odrzekł i pocałował ją znowu z tak wielką czułością, że Lizzie krew uderzyła do głowy.

Z trudem zaczerpnęła powietrze w płuca. Drżącymi rękami pomogła mu się rozebrać. W blasku ognia skóra Damiena przybrała złoty odcień. Czuła jej mocny, zmysłowy zapach. Pokonując wszelkie opory, bez reszty pogrążyła się w miłosnym, pełnym napiętności zapamiętaniu. Ofiarowała mu wszystko i wzięła w zamian tyle samo.

Chciała mu powiedzieć, że go kocha, że niezależnie od tego, co zrobił, kochała go zawsze tą samą, niezmienną miłością.

Przypomniała sobie swój sen. Musi mu wyjaśnić, że to także i jej wina. Że to ona otworzyła drzwi temu człowiekowi. Że zrobiła tak dlatego, bo zdawało jej się, że akurat jemu może wierzyć. A przecież

on ostrzegał ją zawsze, że nikomu nie powinna ufać. Obwiniął się od dziesięcioleci, musi więc mu powiedzieć, jak było naprawdę, wyjaśnić, że mają jeszcze jedną szansę.

Nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Damien położył się na boku i przytulił ją mocno. Zasłonił jej twarz ramieniem i odgrodził od świata, od nocy, od demonów. Jasne światło ich miłości zdołało na moment przebić się przez mrok.

Już jednak chwilę później znowu ogarnęła ich ciemność.

Czuła, jak odgarnia jej włosy z czoła i wargami muska skronie. Szeptał czule o miłości, oddaniu i szczęśliwej przyszłości, której - obawiała się Lizzie - mogli nigdy nie doświadczyć.

Słuchała jego głosu z rozrzewnieniem i próbowała przywołać z własnej pamięci pewien obraz. Przypomniała sobie, że we śnie widziała łagodną, znajomą twarz człowieka, który ją zabił. Już prawie знаła odpowiedź, prawie wiedziała już, kto nim był, lecz ogarnęło ją zbyt wielkie znużenie, żeby podążyć za nicią wspomnień, dojść do końca, poznać prawdę, której szukała z taką mocą.

Zamiast tego westchnęła tylko i wtuliła się w leżącego obok Damiena. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszała, zanim zapadła w sen, były jego słowa, płynące gdzieś z oddali:

- Mary, nigdy nie przestanę cię kochać.

Lizzie budziła się powoli. Ku własnemu zaskoczeniu, była całkiem spokojna. Jasne, bezlitosne światło pustyni sączyło się do wewnątrz przez zaciągnięte zasłony. Powietrze było gorące, wilgotne i pachniało stęchlizną.

Przed nią, na kominku, nadal leżały zwęglone szczapy. Zauważyła, że w czasie snu zrzuciła z siebie okrycie, i teraz leżała na materacu całkiem naga. Widocznie po wschodzie słońca temperatura zaczęła gwałtownie rosnać.

Obok nie było nikogo. Odnalazła zmiętą podkoszulkę, ubrała się i stanęła na drżących nogach. Miała za sobą długą noc. Czuła się lekko obolała, całą skórę miała wilgotną i lepka. Skrzyżowała ręce na ramionach, żałując że nie ma przy niej Damiena. Musi go poszukać.

Nie znalazła go na górze. Wzięła za to szybki prysznic i ubrała się tak samo jak poprzedniego dnia. W drodze do kuchni czuła się już lepiej. Nęcił ją zapach świeżej kawy i pewność, że zaraz go ujrzy.

Na stole rzeczywiście stała kawa, ale zamiast uśmiechniętej twarzy Damiena ujrzała posępne oblicze detektywa Finlaya Adamsona.

O mało nie krzyknęła, lecz zdołała opanować panikę.

- Przestraszył mnie pan - powiedziała i sięgnęła po dzbanek z kawą, rozglądając się zarazem dyskretnie w poszukiwaniu Damiena.

- Przepraszam. Przed chwilą wszedłem i usłyszałem szum prysznic. Nie chciałem pani niepokoić.

- Jak nas pan znalazł?

- Przez rejestry notarialne.

- Damien mówił, że ten dom nie jest na niego zapisany.

- To prawda, ale to on płaci podatek - wyjaśnił Adamson. -

Znalezienie was zajęło mi trochę czasu, ale, jak pani widzi, w końcu mi się udało. Gdzie on jest?

Wypiła łyk kawy. Była okropna. Na pewno parzył ją Damien.

- Nie rozumiem.

- Gdzie jest Damien? Nie widziałem ani jego, ani samochodu.

Dokąd pojechał?

Boże jedyny, nie mogę ulec panice, Lizzie próbowała podtrzymać się na duchu, nie dać poznać po sobie, że się boi. Może w ogóle nie ma się czego bać. Zaraz na pewno wszystko się wyjaśni.

Usiadła na twardym krześle na wprost Adamsona. Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie wiem - odrzekła naturalnym głosem. Adamson westchnął ciężko. Wyraźnie coś go trapiło.

- Lizzie - zaczął - sam nie wiem, jak to pani powiedzieć.

- Co?

- Sądzę, że powinna pani stąd wyjechać, zostawić Damiena.

Pewnie mnie usłyszał i ukrył się, żeby poczekać, aż wyjadę. Gdybym jednak tak zrobił, byłoby już za późno na ratunek. On panią zabije. Zostanie pani jego kolejną ofiarą.

- Czy pan oszalał! ? - zerwała się z miejsca, przewracając filiżankę z kawą. - To nie Damien jest Rozpruwaczem! Przecież byliśmy razem, kiedy popełniono wszystkie morderstwa! Byłam z nim wtedy! Ma alibi!

- A jednak nie powinna mu pani ufać. Zdarzało się pani zasypiać, nieprawdaż? O ile wiem, mógł nawet dyskretnie podać pani jakiś środek nasenny. Niech pani pamięta, że ten morderca działa

szybko. Rozprucie człowieka nie zajmuje dużo czasu, jeśli ma się odrobinę praktyki.

- Proszę przestać - jęknęła Lizzie, czując, że robi jej się słabo.

- Niech pani zrozumie, ja tylko próbuję ocalić pani życie. To on zamordował pani przyjaciółkę, a potem pozwolił pani znaleźć ciało. Mamy namacalne dowody, odciski palców, świadków. Obserwujemy go od dłuższego czasu i nareszcie zebraliśmy wystarczającą ilość materiału, żeby go aresztować. J.R. Damien jest Rozpruwaczem z Venice, choć może sam o tym nie wie. Zabił już dwanaście kobiet, a pani ma być następna. Teraz nawet zaczął zabijać mężczyzn.

- Mężczyzn? - Lizzie spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Tak. W pani mieszkaniu odnaleziono zwłoki starszego mężczyzny.

Rzucił jej przez stół gazetę. Lizzie zobaczyła ogromne nagłówki. Nie była to „Chronice”, która zwykle zachowuje pewną powściągliwość, tylko specjalizujący się w krwawych opowieściach brukowiec. Z kolorowego zdjęcia wpatrywała się w Lizzie martwa twarz Hickory'ego.

- Zabił go - powiedział Adamson - a teraz zamierza zrobić to samo z panią.

Lizzie poczuła, że zaczyna kręcić jej się w głowie. Opanowała się jednak. Zaznała już tyle bólu, że zamiast rozpaczycy czuła teraz tylko odrętwienie.

- Nie miał kiedy zabić Hickory'ego - powiedziała, podejmując jeszcze jedną desperacką próbę niedopuszczenia do siebie prawdy.

- Ani na chwilę go pani nie zostawiła samego? Jest pani pewna?

Lizzie przypomniała sobie, jak wybiegła z mieszkania, gdy dowiedziała się o śmierci Courtland, i jak czekała przez jakiś czas na Damiena w samochodzie. Ale przecież trwało to tylko minutę lub dwie.

- Po co miałyby go zabić?

- A po co w ogóle zabija? To nie jest normalny człowiek. Pani będzie następna, jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiemy. Nie zmasakrował ciała tego staruszka. Poderżnął mu tylko gardło i wyszedł. Zająć mu to mogło najwyżej trzydzieści sekund. Ale Hickory nie umarł od razu. Zdażył jeszcze własną krwią zapisać na ścianie nazwisko mordercy.

- Nie wierzę.

- Chce pani ryzykować życiem? - Ujął w dłonie jej rękę. - Proszę pozwolić się odwieźć do Los Angeles. Zapewnię pani stałą ochronę. Po ostatnich zbrodniach nie będą śmieli mi odmówić. To pani jedyna szansa do czasu, kiedy ujmiemy to monstrum.

Lizzie cofnęła rękę.

- Zaczekam na niego - powiedziała.

- Czy pani mnie nie słyszy? Mamy dowody. To on jest mordercą. No, może nie we wszystkich przypadkach. Zawsze istnieje możliwość, że jeszcze ktoś go naśladował. Nie mamy jednak żadnych wątpliwości co do tego, że zabił Courtland Massey oraz co najmniej pięć innych kobiet.

- Jednak zaczekam - upierała się. Adamson pokiwał głową.

- Jest pani tak samo szalona jak on. O ile nam wiadomo, przynajmniej skończyły mu się maski. Ostatnią zostawił przy zwłokach Hickory'ego Pottera.

- No właśnie. A bez masek nie będzie mógł zabijać - powiedziała Lizzie pozbawionym wyrazu głosem.

Wstała i pobiegła do pokoju. Zajrzała do koszyka. Ostatnia maska, ta którą Damien kazał jej zachować, zniknęła.

Wiedziała, że maska przeznaczona jest dla niej. Uklękła obok pustego koszyka na podłodze i o mało nie krzyknęła z bólu i z przerażenia. To był dowód, przed którym nie mogła już uciec. Podniosła wzrok i napotkała pełne współczucia spojrzenie Adamsona, który stał na progu.

- On panią zabije. Nie może mu pani na to pozwolić. Jeżeli już nie dla swojego dobra, to dla niego. Kocha go pani, prawda? Kocha pani człowieka, który chce panią zamordować, rozebrać pani ciało na kawałki i...

- Niech pan przestanie... - Chciała krzyknąć, lecz z jej ust wydobył się tylko cichy szept.

- Proszę pójść ze mną. Tylko ja mogę panią ocalić. Nie mogła nawet płakać. Byłaby to zbyt ludzka, zbyt banalna reakcja na coś, czego nie mogła ani zrozumieć, ani znieść, ani zaakceptować. I w co nadal nie mogła uwierzyć.

Żadne inne wyjaśnienie, poza tym, które poda Adamson, nie przychodziło jej jednak do głowy. Wstała więc i pozwoliła mu wziąć się za rękę i wyprowadzić na bezlitośnie jasne, pustynne słońce.

- Od dawna tu nie przyjeżdżałeś, Johnny - mruknęła stara kobieta za ladą.

Przyjrzał się jej i w końcu udało mu się połączyć starą, zniszczoną twarz z nazwiskiem.

- Pani Ramirez, miło mi panią widzieć - skłamał Pani Ramirez należała do najbardziej wścibskich kobiet w okolicy, a jej plotki były zawsze okrutne i po zbawione współczucia. Nie żeby teraz potrzebne było mu współczucie, ale niegdyś z pewnością zasłużyła na nie jego matka.

Postawił koszyk i wyłożył na ladę karton mleka piwo i papierosy. Sprzedawczyni przyjrzała się zakupom z miną archeologa odkrywającego skarby starożytności.

- A kiedy to zacząłeś palić, Johnny? - zapytała. Nie pani interes, pomyślał i tak właśnie z początku chciał odpowiedzieć, ale zdołał utrzymać względnie przyjemny wyraz twarzy. Musi zaraz wracać do domu, nie będzie wdawał się w pogawędki. Nie chciał zostawiać Lizzie samej nawet na kilka minut. Zrobił to tylko dlatego, że musiał zadzwonić, a matka nigdy nie postarała się o telefon i w domu go nie było.

Poszczególne elementy łamigłówki zaczynały do siebie pasować. To, co wydawało się niemożliwe, nagle okazało się więcej niż prawdopodobne. Jedyne sposobem, żeby się przekonać, czy to prawda, to zapytać samego Adamsona.

Detektyw Adamson był jednak jak zwykle nieuchwytny. Odkładając słuchawkę telefonu, Damien poczuł, że zaczyna ogarniać go lęk.

Usiłował zachować spokój. Wszedł przecież do sklepu nie tylko po to, żeby zadzwonić, ale żeby też zrobić zakupy. Zrobi je i pojedzie do domu. Nie może ulegać panice, musi wystrzegać się gwałtownych emocji, bo jeśli im ulegnie, siły ciemności znowu go dopadną, a wtedy będzie do niczego.

- Masz dziewczynę? - zapytała pani Ramirez, wyjmując z koszyka paczkę prezerwatyw, którą nieopatrzenie tam wrzucił, zanim zorientował się, kto stoi za ladą.

- Nie - odpowiedział z udawanym spokojem. - Kobietę.

- Zawsze miałeś powodzenie. Nawet moja Stella wypatrywała za tobą oczy. Pamiętasz ją, prawda? W szkole była o jedną klasę niżej niż ty.

- Oczywiście - zapewnił Damien, choć oczywiście nie pamiętał żadnej Stelli.

- Wyszła za mąż i ma czworo dzieci. Doprowadzają ją do szau. Ucieszy się, jak usłyszysz, że wróciłeś. Ty chyba już w poprzednim wcieleniu byłeś pozeraczem kobiecych serc - zażartowała.

Damien spojrzał na sprzedawczynię i nagle poczuł pewność, tę samą pewność, która zakiełkowała w jego sercu w chwili, gdy po raz pierwszy dotknął Lizzie. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości.

- Wcale nie! - zdążył tylko odkrzyknąć, po czym chwycił zakupy i wybiegł ze sklepu.

W miarę jak zbliżał się do domu, poczucie nieuchronności stawało się coraz silniejsze. Docisnął pedał gazu do końca i jego stary austin pomknął z rykiem pustą drogą.

Zatrzymał się na tyłach domu. Wyskoczył z wozu, nie zatraskując drzwiczek, i wbiegł po schodach, głośno wykrzykując jej imię. Przez cały czas powtarzał sobie, że niepotrzebnie ulega panice, ale lęk był silniejszy od niego.

- Lizzie! - zawołał, wbiegając do kuchni, lecz odpowiedziało mu tylko echo własnego głosu.

Potem zobaczył dwie filiżanki na zakurzonej, drewnianej stole.

- Nie - jęknął z rozpaczą. Wpadł do pokoju, spodziewając się ujrzeć ją na materacu, z martwym wzrokiem utkwionym w sufit. Jednak wewnątrz nie było nikogo.

Podbiegł do koszyka. Maski zniknęła. Oczywiście, Lizzie mogła ją zabrać ze sobą, żeby nie wpadła w ręce mordercy. Z kim jednak, na Boga, mogła odjechać? Komu ufała bardziej niż jemu?

Przychodziła mu do głowy tylko jedna odpowiedź, a to co z niej wynikało, przeraziło Damiana jeszcze bardziej.

Lizzie odjechała z jedynym człowiekiem, który według niej reprezentował władzę i bezpieczeństwo. Tak jak Mary Kelly była na tyle głupia, żeby spotkać się z jednym, jedynym mężczyzną, którego nie obawiała się zupełnie. Z człowiekiem, który w dziwny sposób zawsze gdzieś przepadał, ilekroć wydarzyło się morderstwo. I który miał dostęp do wszystkich informacji.

Odjechała z Adamsonem, z detektywem Finlayem Adamsonem, Rozpruwaczem z Venice.

Adamson nie przyjechał po nią służbowym samochodem i za to przynajmniej Lizzie była mu wdzięczna. Już zbyt wiele razy jeździła policyjnymi głuchotami. Ten wóz był większy i nie cuchnął potem, papierosami i moczem. Pachniał skórą i luksusem. Miał wygodne fotele.

Odchyliła do tyłu głowę i zamknęła oczy. Nie miała ochoty przyglądać się okolicy. Jechała do Los Angeles, gdzie podobno znowu miała poczuć się bezpiecznie, najchętniej jednak w ogóle opuściłaby ten świat.

- O czym to pani rozmyśla? - zagadnął Adamson, lecz Lizzie nawet nie otworzyła oczu.

- O niczym przyjemnym.

- Nic dziwnego. Dlaczego pani uciekła z Damie-nem? Przecież ostrzegałem.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć. - Lizzie pokręciła głową.

- Niech pani będzie rozsądna. Czy umierający człowiek wypisałby własną krwią nazwisko kogoś niewinnego?

Lizzie spojrzała na Adamsona.

- Nie wiem.

- Jeżeli istnieje jakieś inne wyjaśnienie, to na pewno do niego dotrzemy. Najpierw jednak musimy go złapać. Wypuściliśmy już list gończy do wszystkich posterunków w całej południowej Kalifornii. Złapiemy go, niech się pani nie boi. Nie mógł uciec daleko.

- Czy nie powinien pan się tym zająć, zamiast marnować tu czas ze mną?

Adamson odwrócił od niej twarz i prowadził dalej, ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

- Powinienem - przyznał niechętnie - ale najważniejsze jest pani bezpieczeństwo. Zbyt wiele kobiet zginęło tuż pod moim nosem i nie mogę dopuścić, żeby pani też się coś przytrafiło. Aczkolwiek prawdą jest, że powinienem koordynować pościg.

- Może mnie pan gdzieś zostawić,

- To by nie było bezpieczne - odrzekł.

- Dlaczego? Jest chyba dość dużo miejsc po drodze, gdzie mogłabym się ukryć. Proszę mnie gdzieś zostawić. Tylko pan będzie wiedział, gdzie jestem.

Adamson zdawał się rozważać jej słowa.

- Do zmroku będzie pani bezpieczna - odrzekł powoli. -

Rozpruwacz nie morduje w świetle dnia.

- Skąd pan wie? Wzruszył ramionami.

- Tak przypuszczam. Żadna z ofiar nie została zabita w dzień, żadna z wyjątkiem Courtland Massey, choć zgodnie z orzeczeniem lekarza sądowego i ona zginęła o świcie. Morderca pewnie nie zdawał sobie sprawy, że dzień już się zaczął, szczególnie że padał deszcz i było ciemno. To był jedyny błąd, jaki do tej pory popełnił, i nie sądzę, żeby miał go powtórzyć. Proszę zauważyć, że nawet ta kobieta w West Covina straciła życie tuż po zachodzie słońca. Nikomu więc nie może stać się krzywda w ciągu - spojrzał na zegarek - najbliższych

sześciu godzin. Właściwie mógłbym panią zostawić w takim jednym miejscu po drodze i wrócić wieczorem. Będzie tam pani bezpieczna.

- Gdzie?

- Jadąc w przeciwną stronę, przejeżdżałem obok starej, od lat opuszczonej stacji kolejowej. Wygląda całkiem solidnie. Mogłaby się pani tam ukryć, do czasu kiedy wrócę.

Sam pomysł powinien ją przerazić. Stara, opuszczona stacja pośrodku pustej, spalonej słońcem przestrzeni ... Lizzie jednak nie odczuła trwogi.

- W porządku - powiedziała nienaturalnie spokojnym głosem. Chciała znaleźć się jak najdalej od

Adamsona, jak najdalej od wszystkich. Pragnęła w samotności pogodzić się z okrutną prawdą o tym, że ręce, które jej dotykały i które ją pieściły, splamione są krwią.

Sądziła, że w drodze na zachód krajobraz się zmieni, ale okolica była jeszcze bardziej dzika i wyludniona niż przedtem. Skręcili w zanedbaną ścieżkę, prowadzącą wzdłuż zarośniętych, nie używanych torów. Prowadziła rzeczywiście do opuszczonej stacji, która pewnie od pięćdziesięciu lat nie widziała żadnego pasażera.

- Był pan tu wcześniej?

- Pomyliłem zakręt w drodze z Los Angeles - wyjaśnił od niechcienia. - Drzwi są, otwarte.

- Skąd pan wie?

- Szukałem telefonu. Niech się pani nie boi. Proszę wejść do środka. Jesteśmy o ponad godzinę drogi od domu Damiena. W żaden

sposób nie uda mu się tu pani znaleźć. W końcu jest zwykłym człowiekiem, a nie jakąś istotą o nadprzyrodzonej mocy.

- Tak, zwykłym człowiekiem... - powtórzyła Lizzie, wiedząc, że już kiedyś słyszała te słowa.

- No, proszę. Niech pani wejdzie do środka i zachowuje się cicho. - Sięgnął na tylne siedzenie i podał jej teczkę. - Tu znajdzie pani coś do zjedzenia i koc, na wypadek gdybym się spóźniał i zrobiło się zimno. I proszę nikomu się nie pokazywać, nikomu nie odpowiadać, rozumie pani? Wrócę po zmroku.

- Rozumiem.

- Proszę obiecać.

- Obiecuję. - Zmusiła się, żeby okazać mu odrobinę wdzięczności, której wcale nie czuła. Położyła mu dłoń na ramieniu.

Adamson odskoczył jak oparzony. Łagodny, pełen troski uśmiech nie zniknął jednak z jego twarzy.

- Dziękuję panu, panie Adamson. Obiecuję być posłuszna - powiedziała Lizzie, wysiadła z samochodu i udała się w kierunku opuszczonej stacji.

Kiedy odjeżdżał, czuł tak silne podniecenie i odrazę, że nie mógł opanować drżenia rąk. Damien w końcu uległ swej cielesnej żądzy. Cała nim pachniała. Nareszcie. Nie musi już dłużej zwlekać. Właśnie odstawił ją w ustronne miejsce, gdzie nikt jej nie znajdzie. Maskę spoczywała bezpiecznie w bagażniku wypożyczonego samochodu, razem z nożem i plastikowym płaszczem od deszczu, dzięki któremu nie zabrudzi sobie ubrania. Zostało mu jeszcze tylko poczekać do zachodu słońca.

Zachichotał pod nosem i ruszył dalej pustą autostradą. W końcu będzie mógł skończyć to, co rozpoczął ponad sto lat wcześniej. W końcu zrobi to, co do niego należało. Lizzie Stride podzieli los swych grzesznych sióstr.

Nareszcie będzie mógł odpocząć.

To będzie godne zakończenie. Dziś nie użyje maski jakiejś damulki czy chłopaczka, ani żadnej innej podobnej do tych, które wprowadziły w błąd wiele osób, próbujących rozwiązać zagadkę tych zbrodni. Dziś użyje specjalnej maski, najlepszej, najwłaściwszej. Umieści ją na twarzy Lizzie, kiedy z nią skończy, i zniknie na zawsze.

Przez chwilę zastanawiał się, co może stać się z Damienem. Policja przestała go podejrzewać już kilka tygodni wcześniej. Mimo wysiłków Adamsona, żeby skierować śledztwo na boczny tor, nie znaleźli niczego, co mogłoby rzucić na niego podejrzenie. No cóż, przeżyje resztę życia targany poczuciem winy za to, że nie zdołał

uratować Lizzie Stride. Dawał mu najwyżej kilka lat. W końcu biedak nie wytrzyma i pewnie rozbije się samochodem o przydrożne drzewo.

Jemu samemu cała ta historia będzie się jawić jak sen. Ciemność go opuści. Spełniwszy wyroki opatrności, będzie mógł spokojnie wrócić do pracy, utrzymywać porządek na ulicach Venice i sumiennie dbać o to, żeby żadne męty, prostytutki czy inne pasożyty nie zakłócały ludziom spokoju. Nikt nigdy nie dowie się o ciemności, która zstąpiła na niego pewnej jesieni.

Był już zmęczony. Ciężko pracował, żeby osiągnąć swój cel. Jeszcze jeden, jedyny dzień i sięgnie po nagrodę. Zostało mu już tylko jedno marzenie do spełnienia - aby Damien był świadkiem jego poczynań.

Damien nie miał broni ani niczego, czym mógłby powstrzymać mordercę. Zdecydował się nie marnować czasu na dzwonienie na policję. I tak mu nikt nie uwierzy. Finlay Adamson był powszechnie cenionym funkcjonariuszem i cieszył się dużym szacunkiem w środowisku. W czasach kiedy policja w Los Angeles była ogólnie uważana za skorumpowaną mafię, jedynie on świecił przykładem, hołdując niemodnym już wartościom. Nikt nigdy nie uwierzy, że to właśnie ten człowiek jest Rozpruwaczem.

Poza tym i tak nie zdołaliby go znaleźć. Damien był głęboko przekonany, że Adamson nie zawiózł Lizzie z powrotem do Los Angeles ani też w żadne inne miejsce, gdzie ktoś mógłby ich rozpoznać. Intuicja podpowiadała mu, że są gdzieś w okolicy. I że do zmroku Lizzie jest bezpieczna.

Musi ją znaleźć. To jedyne co teraz może zrobić. Cały jego sceptycyzm prysnął jak bańka mydlana. Nie mógł już sobie pozwolić na cyniczne czy nawet racjonalne myślenie. Musiał zawierzyć instyktom, zaufać intuicji, uruchomić swój szósty zmysł. Hickory powiedział, że musi uratować jej życie, żeby odkupić stare grzechy. Powiedział, że jedynie on jest w stanie tego dokonać, i oto teraz Damien uwierzył w jego słowa.

Wsiadł do samochodu i szybko ruszył przed siebie, nie wiedząc dokładnie, dokąd się kieruje. Gdzie też mógł ją wywieźć? Damien znał okolicę o wiele lepiej niż Adamson, więc wcześniej czy później powinien na to wpaść. Byle tylko nie za późno.

Im dłużej się zastanawiał, jeżdżąc w kółko bez celu, tym większa ogarniała go panika. Wyobrażał sobie Lizzie leżącą w kałuży krwi, z kasztanowymi włosami rozrzuconymi w nieładzie dookoła martwej twarzy. Wiedział, jak Rozpruwacz traktuje swoje ofiary. Wiedział, jak potraktował Mary Kelly za pierwszym razem. Nie może pozwolić, żeby powtórzyło się to znowu.

Przestał się zastanawiać. Wyłączył racjonalne myślenie. Kierował się tylko pragnieniem, by ją uratować. Nacisnął pedał gazu. Austin wystrzelił do przodu ze zdwojoną mocą. Damien po prostu pozwolił mu jechać; na wschód, w głąb pustyni, w poszukiwaniu zbawienia i kobiety, którą zawsze kochał.

Na stacji panował zapach kurzu, myszy i starego tytoniu. W oknach nie było szyb. Pewnie wybił je jakiś przygodny chuligan. Pozrywane blaty leżały w nieładzie, tworząc coś na kształt barykady.

Mimo upalnego słońca grzejącego na dworze wewnątrz było chłodno. Nadal wiał porywisty wiatr. Pokrywał wszystko wokół grubą warstwą piasku, ranił jej oczy, gdy wystawiała głowę na zewnątrz, wpadał do ust.

Przypomniała sobie o posiłku. Może jeśli coś zje, uda jej się zebrać myśli, odnaleźć jakiś sens w tym obłądnie i znaleźć odpowiedź na pytanie, jak dalej ma żyć.

Wybrała ustronne miejsce, wyciągnęła koc i ułożyła go na brudnej podłodze. Wzdrygnęła się lekko, lecz jej przywiązanie do czystości już dawno przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, po chwili skuliła się więc w kącie i bez obrzydzenia oparła głowę o ścianę.

Damien nie jest mordercą, kołatało się w jej pełnej sprzecznych myśli głowie. Jeśli czyjaś ręka wypisała krwią Hickory'ego jego nazwisko, musiała to być ręka Rozpruwacza.

Nie powinna była wyjeżdżać. Przecież Adamsonowi nie udało się jeszcze nikogo uratować, dlaczego więc ona miałaby być wyjątkiem? W dodatku uważał, że mordercą jest ktoś o czyjej niewinności była w pełni przekonana.

Nie nic układało się w sensowną całość. Za mało spała, za mało jadła i od dłuższego czasu nie zaznała spokoju. Teraz chciała wrócić do Damiena i poczuć wokół siebie jego mocne ramiona. Wołała to, niż siedzieć z podwiniętymi nogami w tym opuszczonym budynku na zalanej słońcem pustyni i oczekiwać nadejścia mordercy.

Nagle zrozumiała, że Rozpruwacz właśnie tu ją znajdzie. Powinna była odczuć lęk, ale przekroczyła już granicę strachu. Wiedziała tylko, że jest sama i że oczekuje nieuchronnej śmierci.

Potrząsnęła głową, próbując odgonić niesamowite myśli. Sięgnęła do teczki z jedzeniem. Wyjęła nagrzaną puszkę napoju i celofanową torebkę orzeszków.

Orzeszki!

Takie same jak te, które Smukła Liz lubiła najbardziej. Lizzie przyglądała się im przez moment z przerażeniem, po czym cisnęła torebką o ścianę, tak że cała zawartość rozsypała się po podłodze.

Mijały sekundy, minuty i godziny, lecz Lizzie nie czuła upływu czasu. Wokół rozciągała się spalona słońcem pustynia, gorący, suchy wiatr wpadał do środka przez powybijane okna, gdzieś w kącie chrobotowały myszy. Zastanowiła się, kiedy w końcu odkryją te orzeszki. Miała nadzieję, że niedługo.

Zapadła w drzemkę. Śnili jej się Liz Stride, Mary Kelly i James Killian. Mimo że sen nie układał się w żadną sensowną całość, Lizzie bezwiednie próbowała dociec prawdy. Nie może być dwiema kobietami jednocześnie. Hickory potrafiłby to wyjaśnić, Courtland pewnie też, tylko nie może ich zapytać, bo oboje zginęli z rąk Rozpruwacza. Wiedziała, że wkrótce podzieli ich los.

A może, mimo swego nazwiska, rzeczywiście wcale nie jest Liz Stride tylko Mary Kelly, jej kolejnym wcieleniem? Owszem, zna Liz, bo jej duch czasem ją nawiedza, ale...

Otworzyła gwałtownie oczy. A może Rozpruwacz nie jest świadom, że znowu ugania się za Mary Kelly, której ciało już raz potraktował z wyjątkową brutalnością? Może ciągle szuka Liz Stride, tej której nie zdążył zmasakrować?

Odrzuciła od siebie te ponure myśli, gdyż z zewnątrz dobiegło ją trzaśnięcie drzwiczek samochodu.

Zdała sobie sprawę, że już wcześniej, przez sen, słyszała warkot silnika.

Czekała. Cienie na pustyni wydłużyły się. Zapadał zmierzch. Ile czasu zostało? Kiedy się ściemni, Rozpruwacz w końcu upomni się o jej życie. I żaden rycerz na białym koniu nie będzie w stanie jej uratować.

- Lizzie? - ochryply, pełen trwogi głos Damiena przerwał ciszę panującą w budynku. Lizzie słyszała, jak gwałtownymi ruchami przewraca zakurzone sprzęty i przeszukuje wnętrze. Jeszcze głębiej wtuliła się w kąt. Poczowała ogarniające ją przerażenie. Może jednak Adamson miał rację? Jak udało mu się tu trafić? - Lizzie, na Boga, odezwij się! - usłyszała ponownie.

Z nienaturalnym wręcz spokojem pomyślała, że oto Damien właśnie zamierza ją zabić. Miała dostatecznie dużo czasu, żeby rozważyć każdą ewentualność, i jeżeli to właśnie ta, najtrudniejsza do zniesienia, ma okazać się prawdziwa, musi ją zaakceptować. I tak Damien ją znajdzie skuloną w tym kącie. Lizzie wołała stanąć ze śmiercią twarzą w twarz. Jeśli musi umrzeć, to przynajmniej z godnością, patrząc w oczy człowiekowi, którego pokochała.

I którego kocha w dalszym ciągu.

Podniosła się powoli, tak cicho że minęła chwila, zanim ją zauważył. Pogodzona z losem, przyglądała mu się zza sterty połamanych sprzętów.

- Lizzie - powiedział stłumionym, łamiącym się głosem. - Nic ci nie zrobił?

- Kto?

- Adamson. To on jest Rozpruwaczem. Nie wiem, jak mogłem tego wcześniej nie odkryć. To jedyne sensowne wytłumaczenie.

- Jakby mordowanie w ogóle mogło być sensowne

- zauważyła Lizzie martwym głosem.

Damien spojrzał na nią z przejęciem i wtedy Lizzie podświadomie zrobiła krok do tyłu. I tak nie miała dokąd uciec, jak się obronić, lecz instynkt kazał jej się cofnąć.

Damien spostrzegł to i zatrzymał się w pół kroku.

- Lizzie, ty się mnie boisz? - zapytał łagodnym głosem, który w jej uszach zabrzmiał jak głos mordercy. -

Patrzyła mu w oczy i spokojnie zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Nie - odrzekła w końcu. Przynajmniej częściowo opuściło go napięcie.

- Przecież wiesz, że nie mógłbym cię skrzywdzić

- powiedział, zbliżając się do niej powoli.

- Nie wiem, ale nie boję się śmierci.

Damien zamarł w bezruchu. Wpatrywał się w jej zielone oczy, wyraźnie widoczne w zapadającym mroku. Lizzie wiedziała, że to koniec, lecz nie było w niej strachu. Jeśli jest jej pisane zginąć z jego ręki, nie będzie się przeciwstawiać wyrokowi losu. Nie ma już siły walczyć.

- Co on ci powiedział? - zapytał łagodnie Damien.

- Że je zabiłeś. Wszystkie. I jeszcze Hickory'ego.

- Hickory nie żyje? - Sprawiał wrażenie zaszokowanego.

Lizzie tylko pokiwała głową

- A zanim umarł, wypisał krwią na ścianie twoje nazwisko.

- Przecież byłeś ze mną, kiedy ostatni raz go widzieliśmy. Kiedy miałbym go zabić?

- Ja pierwsza wyszłam do samochodu. Przyszedłeś minutę po mnie. To dość czasu, żeby podciąć mu gardło. Jednak nie zdażyłeś się upewnić, czy nie żyje, i w ten sposób zdołał przekazać nazwisko zabójcy.

- Adamson ci to powiedział. - Słowa Damiena zabrzmiały jak stwierdzenie, nie pytanie, więc Lizzie nie odpowiedziała.

- Znaleźli świadków innych zabójstw - mówiła dalej - ludzi, którzy cię rozpoznali. I w dodatku mają namacalne dowody.

- Jakież to ładne policyjne określenie - powiedział z nutą gorzkiego rozbawienia w głosie. - Ciekawe jakie? Włosy? Odciski palców? A może resztki spermy?

- O ile się nie mylę, żadna z ofiar nie została zgwałcona.

- Lekarz sądowy twierdził, że jeśli posuwał się do tego, to przy użyciu prezerwatywy. Wprawdzie jakoś nie mogę sobie wyobrazić Rozpruwacza stosującego antykoncepcję, ale w końcu nie ma rzeczy niemożliwych. Ale zastanówmy się - ironizował - co to może oznaczać dla ciebie? Przecież cię miałem. Oddałaś mi się. W takim razie kolejny dowód jest nadal w twoim ciele. Może jednak odstąpię od swoich niecznych zamiarów? W końcu nie tak łatwo, po ponad stu latach, nagle zmienić przyzwyczajenia, prawda? Rozpruwacz nie pieprzy kobiet, które zabija, przynajmniej nie tego samego dnia. Więc może będziemy musieli poczekać?

- Przestań! - krzyknęła Lizzie. Najchętniej zatkałaby uszy.

Damien podchodził coraz bliżej. W rękę trzymał jakiś przedmiot. Lizzie wiedziała, że to nóż, i tylko czekała, aż ją nim ugodzi. Nareszcie, po raz pierwszy w życiu, zazna spokoju. Nie miała już siły ani uciekać, ani walczyć. Jeśli chce ją zabić, nie będzie się bronić.

- I co? Nie masz dokąd uciec? - zapytał, parodiując zatroskanie. - Nie masz się gdzie schować? Wiesz, Smukła Liz, zawsze podobali mi się Martha and the Vandellas. Ciekawe czy londyński Kuba Rozpruwacz nucił piosenki z teatrzyków rewiowych? Może będzie mi potrzebne radio, żebym się nie nudził, krajając cię na kawałki?

Mógł ją już dotknąć. Całe wnętrze stacji tonęło w mroku. Prawą rękę, w której ukrywał nóż, nadal jednak miał opuszczoną wzdłuż tułowia. Co go zatrzymywało? Wiedziała, czego ma się spodziewać i

nie sprzeciwiała się przecież. Pogodziła się z losem. Na co jeszcze czeka?

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Usłyszała, jak

Damien przewraca stertę drewna, czuła, że teraz jest już naprawdę blisko. Zacisnęła mocniej powieki. Za nic nie chciała widzieć jego wzroku, kiedy będzie podnosić rękę. Czuła jego oddech i ciepło bijące z jego ciała. Lecz dalej nie śmiał jej tknąć. W końcu nie wytrzymała i otworzyła oczy.

- No już! Zaczynaj! - krzyknęła z wściekłością.

Podniósł rękę, ale nie trzymał w niej noża. Wyciągnął dłoń w jej kierunku i Lizzie zobaczyła, jak napięte ma wszystkie mięśnie.

- Tak, teraz rzeczywiście mam ochotę zrobić ci krzywdę - powiedział cicho, z goryczą. - Mam ochotę rąbnąć tobą o ścianę tak mocno, żebyś nabrała rozumu. - Dotknął jej szyi. Mimo targającego nim gniewu dłoń miał ciepłą i delikatną. - Szlag by cię trafił. - Przywarł do niej całym ciałem, tak że musiała oprzeć się o ścianę.

Instynktownie objęła go ramionami. A gdy to zrobiła, zrozumiała, że nie jest zwyrodniałym mordercą, lecz tym samym człowiekiem, którego pokochała.

- Damien - powiedziała przez łzy - przepraszam. Pocałowała go, odnalazłszy w ciemności jego usta, a on odwzajemnił pocałunek, mimo że nadal zionął gniewem. Nagle zeszywniał w jej ramionach.

- Uważaj - zdążył szepnąć jej do ucha. W ciemności rozległ się głos Adamsona.

- Odejdź od niego, Lizzie.

Nie ruszyła się z miejsca. Pod palcami poczuła wilgoć i Damien nagle osunął się na nią bezwładnie, z trudem łapiąc powietrze.

- Damien! - krzyknęła.

- Odejdź od niego - rozkazał Adamson. - On jest mordercą. Zabije cię bez wahania. Wiesz, co ma w samochodzie? Nóż, całą kolekcję noży. I jeszcze maskę małej dziewczynki, całkiem podobnej do ciebie. Odejdź, zanim nie jest za późno.

- Lizzie, uciekaj - wyszeptał Damien i powoli osunął się na podłogę. Była zbyt słaba, żeby go utrzymać.

Spojrzała na swoje dłonie. Były lepkie i czerwone od krwi.

- Co pan zrobił? - krzyknęła do Adamsona. - Myli się pan! On wcale nie chciał mnie skrzywdzić!

- On nie - odrzekł spokojnie - ale ja to zrobię.

Oczy Adamsona zaszły mgłą. Rzucił się w jej kierunku, a w jego ręku błysnął zakrwawiony nóż, którym chwilę przedtem ugodził Damiena.

Lecz tym razem Krwawy Jack, Jack Błyskawica, Kuba Rozpruwacz źle ocenił odległość. Lizzie zdążyła się uchylić i ostrze wbiło się obok niej w ścianę, rozdzierając jedynie rękaw jej koszuli i kalecząc ramię. Natychmiast rzuciła się do ucieczki, przeskakując przez rozliczne zwalone sprzęty. Była szybsza, zwinniejsza od Adamsona, mimo że tym razem jego ciała nie krępował żaden gorset ani długie spódnice. Wybiegła na zewnątrz, gnała przed siebie przez stary, zniszczony peron, byle tylko znaleźć się jak najdalej od stacji i niechybnej śmierci.

Za plecami usłyszała jego ciężkie kroki.

Potknęła się i upadła. Zrywając się na nogi, spojrzała do tyłu. Po drodze zgubił gdzieś czapkę i płaszcz z czerwoną podpinką, ale Lizzie rozpoznała tę twarz, tę samą twarz co niegdyś.

Krzyczał słowa, których nie była w stanie zrozumieć. Głos mu się zmieniał - od chłopięcego płaczu, poprzez pełen jadu wrzask kobiety, do starczego skrzeku. Był coraz bliżej. Lizzie nigdy by go nie posądziła o to, że potrafi biec tak szybko.

Nie wiedziała, jak długo sama zdoła utrzymać prędkość. Wcześniej czy później ją dogoni i zabije, tak jak zabił Damiena. A jej jedynym pocieszeniem będzie to, że zginą razem, i że może, w następnym życiu, staną wobec kolejnej szansy.

Słyszała go coraz wyraźniej. W ciemności dojrzała niewyraźny zarys starej szyny i skierowała się w tym kierunku, choć wiedziała, że już raczej nie zdąży po nią sięgnąć. Była blisko celu, kiedy złapał ją za ramię i odwrócił do siebie.

Lizzie ujrzała oblicze śmierci.

Nagle puścił ją i odskoczył jak oparzony.

- Nie - powiedział zdławionym głosem. - To nie ty. Gdzie jest Lizzie?

Wydało jej się, że zobaczyła jakiś cień majaczący w ciemności. Adamson był jednak zbyt przejęty, żeby go dostrzec. W ręku trzymał długi, mokry od krwi nóż. Jednym pociągnięciem mógł pozbawić ją życia.

- Ty nie jesteś Lizzie - wykrztusił z siebie z cierpieniem. -
Przecież cię znam. Nazywasz się Mary, Mary Kelly. Nie jesteś mi do
niczego potrzebna... Dziwka! Z tobą skończyłem już sto lat temu -
ciągnął, wyraźnie zdezorientowany. - Ja muszę mieć Lizzie, Smukłą
Liz Stride. Ktoś mi przeszkodził, nie zdążyłem dokończyć... A ja
zawsze kończę to, co zaczynam. Jak już coś robię, to dokładnie i
porządnie... Niedobrze. Niedobrze - jęknął i podniósł pełne obłędu
oczy do nieba. - Teraz nawet nie wzięłem maski. Damien mnie
zaskoczył. Gnida... Nie spodziewałem się, że przyjdzie. Wiesz, że
muszę mieć maskę, która wyszła z jej rąk. Bo w ogóle, to wcale nie ja
- teraz głos znów mu się zmienił. Szeptał konfidencjonalnie, a Lizzie
słuchała i patrzyła na niego z przerażeniem. Wiedziała, że jeśli jakimś
cudem przeżyje ten koszmar, wszystkie jej włosy będą siwe. - To
tamten we mnie wstąpił - mówił Adamson - wstąpił i powiedział, że
muszę udawać do momentu, kiedy znajdę Lizzie Stride. Wtedy
skończę, a maski nie będą już mi potrzebne. Rozumiesz mnie, Mary,
prawda? Powiedz mi, gdzie jest Lizzie, a obiecuję, że nie zrobię ci
krzywdy.

Chłód panujący na pustyni przejmował Lizzie do szpiku kości.
Na niebie jasno świeciły gwiazdy, wiatr z Santa Ana rozwiewał jej
włosy.

- Lizzie odeszła tam, gdzie jej nigdy nie znajdziesz. Nie uda ci
się jej skrzywdzić, Adamson.

Na jego łagodnej teraz twarzy pojawiło się rozczarowanie.
Chwilę później jednak znów uśmiechnął się upiornie.

- Nazywaj mnie Kuba. W takim razie muszę zadowolić się tobą.

W tej samej chwili z ciemności wyskoczyła zgarbiona postać i niczym rozwścieczona bestia rzuciła się z krzykiem na Adamsona. Upadli w kałuży krwi i nagle ze splątanych ciał dobył się długi, niski, zatrważający skowyt śmierci.

Jedna z walczących postaci odeszła na bok niepewnym krokiem i osunęła się na kolana. Był to Damien, zadyszany i ociekający krwią. Zachwiał się lekko na widok skręcającego się w konwulsjach policjanta.

- Nie podchodź do niego - powiedział z wysiłkiem, widząc że Lizzie rusza się z miejsca. Lecz ona wcale nie zamierzała zbliżyć się do umierającego. Uklękła obok Damiena i otoczyła go ramieniem. Pod palcami czuła lepka krew płynącą z rany na plecach. Słyszała, jak z trudnością oddycha. Po jej twarzy pociekły łzy.

Postać na ziemi leżała otoczona czerwoną podpinką płaszcza. Lizzie pomyślała, że jednak wcale go nie zgubił. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że czerwień pochodziła z krwi wypływającej z ciała na piasek pustyni. Rozpruwacz z Venice nadział się na własny nóż i sam rozpruł sobie brzuch, obracając się w czasie bójk wokół ostrza.

Damien wstał z kolan i nie zdejmując ramienia z Lizzie, zbliżył się do umierającego. Oczy Adamsona były szkliste, twarz wykrzywił mu dziwny grymas.

- Tym razem to koniec - powiedział głosem, który brzmiał jak westchnienie śmierci. Więcej się nie poruszył. Tylko piasek pod jego ciałem nadal nasiąkał krwią.

- Chodź. Wynosimy się stąd - powiedział Damien ochryple.

- Muszę cię zawieźć do lekarza.

- Tylko nie do lekarza. Nic mi nie będzie. Sama się mną zajmiesz.

- Przecież musimy komuś powiedzieć. Ujął w dłonie jej twarz i potrząsnął głową.

- Nikt nam nie uwierzy - powiedział. - Sam w to nie mogę uwierzyć. Podobnie jak sto lat temu nikt nigdy nie rozwiąże zagadki Rozpruwacza.

- Ale będą zadawać pytania. Znajdą ciało.

- W tej okolicy jest mnóstwo kojotów. Do rana nie będzie po nim ani śladu. Nawet kości porozwlekają daleko.

- Damien...

- Posłuchaj, Lizzie. Jeśli będą się pytać, powiemy im tyle, ile będziemy mogli. Ale zaręczam cię, że nikt nas o nic nie spyta. Będą próbowali odnaleźć ślad Adamsona, a policja to zgrana paczka. Jeśli zaczną coś podejrzewać, a wcześniej czy później na pewno tak się stanie, zatuszują całą sprawę. To już koniec, Lizzie. Nikt nigdy nie dowie się, kto popełnił te morderstwa. Tak samo jak za pierwszym razem. Nikt poza nami.

- Wtedy był to nadinspektor policji kierujący śledztwem - powiedziała po cichu.

- Skąd wiesz?

- Widziałam go. Teraz pamiętam. Damien powstrzymał się od komentarza.

- Wyjedźmy gdzieś - powiedział. - Gdzieś daleko, gdzie ty będziesz mogła robić maski, a ja pisać. Gdzieś, gdzie nieba nie przysyłają chmury i gdzie będziemy żyć długo i szczęśliwie. Tego chcę najbardziej. Chcę, bo kocham cię, Lizzie.

Otoczyła dłońmi śniadą, tak drogą jej twarz. Ręce miała splamione jego krwią. Zrozumiała, że ta krew właśnie przypieczętowała ich wspólny los.

- Tym razem na pewno nam się uda - powiedziała z przekonaniem.

EPILOG

Śnieg pokrywał wierzchołki wysokich, strzelistych gór. Mroźne, przejrzyste powietrze szczypało w uszy. Damien i Lizzie mieszkali w niskim, przytulnym domu przylepionym do zbocza. Opalali go drewnem. Przez duże okna mogli podziwiać nieskalany, górski krajobraz. Pili kryniczną wodę z własnego źródła, a płynący obok domu wartki potok dostarczał im prąd. Tu nigdy nie panowały ciemności, a nocą gwiazdy rozświetlały bezchmurne niebo.

- To niemożliwe. - Lizzie wpatrywała się w męża.
- Dlaczego?
- Nie mów mi, że chcesz napisać książkę o reinkarnacji.

Naprawdę zamierzasz to zrobić?

- Będę się przy tym dobrze bawić - powiedział, posyłając jej jeden ze swych cudownych uśmiechów. - Poza tym, proponują mi mnóstwo pieniędzy.

- Zawsze mówiłeś, że za New Age marnie płacą,
- To prawda, ale moja książka nie będzie miała z tym nic wspólnego. Ona rozwieje mit o reinkarnacji.

Czegoś takiego po prostu nie ma - odrzekł z błyskiem rozbawienia w oczach.

Przyglądała mu się przez chwilę. Spędzili tu, w górach Nowego Meksyku, z dala od wielkomiejskiego życia, niezwykle, szczęśliwy rok. Ciało Adamsona nigdy nie zostało odnalezione. Powszechnie przypuszczano, że został kolejną, ostatnią już ofiarą seryjnego

mordercy. Śledztwo w sprawie Rozpruwacza nie zostało zakończone sukcesem i pewnie nigdy do tego miało nie dojść. Nikt zresztą już się tego nie spodziewał, jakby zgodnie uznano, że zagadka tajemniczych zbrodni nigdy nie zostanie rozwiązana. Nie odnotowano dalszych morderstw, wkrótce więc sprawa przycichła.

Nie bojąc się już śmierci, Lizzie znowu robiła maski. Damien zaś pisywał artykuły do „Los Angeles Chronicle” i posyłał je do redakcji pocztą. Nie dał się skusić lukratywnym ofertom pracy w mieście. Życie w Nowym Meksyku było proste i czyste. Mieli grono dobrych przyjaciół, a Lizzie spodziewała się dziecka.

- Więc według ciebie reinkarnacja nie istnieje, tak? - zapytała i przysunęła się bliżej. Położyła jego dłoń na brzuchu, tak żeby mógł poczuć ciepło rozwijającego się w niej życia.

- Oczywiście. Nie istnieją żadne kolejne wcielenia.

- A kolejne szanse?

Przytulił ją do siebie i pocałował.

- Też nie. Zobaczysz, że przekonam o tym liczne rzesze czytelników.

- W takim razie jesteś pan świnią, panie Killian.

- Jestem, pani Kelly. - Poglądził ją po brzuchu. - Tylko proszę, nie mów tego naszej córce.

- Nie martw się, kochanie - odrzekła, całując go w sam czubek głowy. - Courtland nigdy nie zwątpi, że jej tata jest absolutną doskonałością.

Lizzie pochyliła się i tym razem pocałowała go w usta.

Długa, mroczna noc już na zawsze odeszła w przeszłość.

Scandalous